

*

Pozostawić opowieść o swoim życiu może warto dlatego, że przypa-
dło ono w moim pokoleniu na przełom w naszej cywilizacji, w powiązaniu z ca-
łością w świecie.

Razem z Wielu z tych co przeżyli straszne udręczenia ostatniej
wojny, więzień i obozów, mogłoby napisać wstrząsające historie ze swo-
jego życia. Czynią to niechętnie i wszystkie powody ich niechęci do
pióra, a nawet do budzenia wspomnień są chyba zrozumiałe.

1 września 1939 roku byliśmy jeszcze na swoim letnisku w Orwidowie.
To jest 30 km na północ od Wilna. Ja i brat uczyliśmy się w szkole,
tataś pracował w biurze, ale przedłużaliśmy pobyt na wsi o czerwiec
i wrzesień. Dojeżdżaliśmy do miasta "elektryczką".

Tam w Orwidowie były wszystkie rozkosze letniska, wsi no i była wi-
leńszczyzna. Wila blisko, pływanie, kajaki, plaże, łąki przybrzeżne,
grzyby w lasach, zagajnikach, czeremchy i kaliny nad strumykiem blis-
ko domu. W ogrodzie własne warzywa i zamiłowanie tatusia - pasieka.
Zapachy kwiatów, brzęczenie pszczół, śmigające jaskółki. Czasami z dal-
słysać było pieśni chóralne w porze kończącego się dnia, a z ogrodu
sąsiada płynęły z płyt operetkowe arie.

Kochający nad życie nas dzieci tataś, mamusia i moje 15 lat. Lato by-
ło piękne.

1 września rano - wiadomość - wojna. Tataś pojechał do pracy jak
zwykle, ale pociągi nie kursowały już według rozkładu. Z północy,
na Wilno w towarowych wagonach jechali wciąż poborowi. Nie mogąc do-
czekać się tatusia poszliśmy z mamusią na przystanek. Na trawie przy-
torach gdzie kwitły czerwone polne maki widziało się już wielu mło-
dych chłopców. Niektórych z nich odprowadzali ojcowie, matek nie było.
Na horyzoncie ukazał się dymek parowozu, wśród siedzących zaczęła się
jakaś pieśń i oto podnoszą się z ziemi i słyszać wyraźnie słowa:

"czy umrzeć nam trzeba na polu, czy w tajgach Sybiru nam zgnieć,
z trudu naszego i bólu, Polska powstanie by żyć..."

Pociąg zadudnił, krótkimi uściskami żegnają się, odjeżdżają na wojnę.

Moje życie rozpoczęło się 8 marca 1924 r. w Wilnie, ul. Zarzeczna
15 m. 5. Ulice Wilna brukowane były kocimi łbami, dorożki przejeżdża-
jące turkotały, a zimą sunęły saneczki z dzwoneczkami. Nasza ulica
Zarzeczna, w końcu swoim, na pagórku, miała rynek, dalej koszary, a
w dół zbiegała do krzyża stojącego pośrodku jezdnii i rozchodziła się
trzema uliczkami mniejszymi.

Mieszkanie było zwyczajne, dwa pokoje, trzeci był oddawany, wynajmowany, bez wygod. Tatuś pracował w Dyrekcji Kolei Państwowych, mamusia pracowała w Dyrekcji Poczty i Telegrafu, dopóki nie nastąpiła redukcja jednego z małżonków. Babcia była też, dziadek już nie żył. W domu mówiono, że kiedyś był wysłany na Sybir i wrócił stamtąd przywożąc kotka i pieska zapazuchą. Życie w domu było jasne, światłe. Dzieciństwo było prawdziwie szczęśliwe. Do łaźni się chodziło przy tartaku, zapach drewna, desek, zmrok, potem buchająca para - wrażenie ogromne. Śledzie kupowało się na Wielki Post u śledziarki, starej Żydówki, w maleńkiej komóreczce zastawionej beczkami. Ona sama tam sprzedawała, odkupując z każdego śledzia przy głowie łuskę, pokazując, że jest białe i tłuste. Był jeszcze sklepik z pieczywem. Młody Żyd tam sprzedawał, bardzo ładny, znający język francuski.

Pierwsza szkoła powszechna u Sióstr Bernardynek, potem gimnazjum Sióstr Nazaretanek. Przenosiny do innego mieszkania na ulicy Zakretowej. Nowa ulica Zakretowa to było piękne. Mało zabudowana, miała Uniwersytet, trochę will otoczonych egórdkami, asfalt, latarnie, które dawały piękny nastrój o każdej porze wieczoru, nocy, zimą, latem, w deszczu, w mgłę, i to wszystko już się chwyciło. Te wszystkie już były moją rzeczywistością, ~~moją~~ rzeczywistością wileńską.

Gimnazjum Nazaretańskie też było już inne niż poprzednia szkoła. Nowe koleżanki, nowe budynki, no i przede wszystkim bogate życie tam. I las kończyła się ta ulica lasoparkiem Zakryt. Sosny, żadnych alejek, trochę tylko ścieżek, Wilia w dole, w wąwozie, ptaki, brzegi porośnięte czeremchą. Z naszego domu gdzieś mieszkali, drewnianego, też bez wygod, można było po wejściu na pagórek po pierwsze widzieć mały lassek, część tego właśnie lasoparku, nieduży, rzadko porośnięty sosnami, uroczy, cały pofalowany i opadający od razu stromo piaszczystym brzegiem i częściowo wąwozem na malusieńkie, piaszczyste wybrzeże, brzeg Wilji. Ogród właściciela naszego domu oddzielony był od tego lasoparku płotem drewnianym, przez który się swobodnie przechodziło, z koleżankami zresztą.

Kiedyś tylko tam zamieszkali, ulica Zakrytowa w tym swoim końcu pod lasoparkiem była nieasfaltowana, był tam piach nie do przejścia i stała tam elbrzymia strzelnica. Dopiero w czasie naszego tam za-

mieszkiwania stała się ulicą, zniknęła ta ściana, mur ogromny, został wybudowany budynek dla pracowników i jakaś część Uniwersytetu Wileńskiego.

Najpierw może miasto. Miasto to były ulice. To jest dziwne, bo po raz pierwszy tam i bhyba po raz ostatni, było to właśnie życie ulicą miasta. Życie, które było całkowicie związane z życiem Wilna. Wilno było piękne. Wilno jest piękne. Jest na pagórkach. Pagórki są strome nieraz, co sprawiało ogromną trudność wjeżdżającym tam, wożącym ciężary woźnicom, którzy nieraz katowali konie, co dotychczas jeszcze budzi takie straszne wspomnienie. Chodziło się pieszo, autobusów prawie nie było. Ja nie znałam transportu miejskiego. Ale dlatego, że się chodziło, dlatego się było tam. Czy to była cisza, czy to były olbrzymie aleje kasztanów kwitnących wiosną. Te były mnóstwo kościołów, te były domy stare, z pewnością oddychające swoją przeszłością, historią, tymi ludźmi, którzy tam mieszkali. Poza językiem polskim nie słyszałam innego, żydowski słyszałam nieraz, ale to była jak gdyby też część tamtego miasta. Piękne były pory przed zapadnięciem zmierzchu. Po przyjeździe z gimnazjum do domu, siadałam od razu do fortepianu, zaczynałam grać, mamusia wiedziała, co już było w szkole, dobrze czy źle. Potem był obiad, siadałam do odrabiania lekcji i kiedy zaczynał zapadać zmierzch zostawiałam wszystko i wychodziłam. Jeśli to była zima, to wówczas moment zapalania się latarń był momentem czarodziejskim. Coś się wówczas niezwykle dokonywało i w kręgach światła krążyły drobniutkie pyłki śniegu. A w mgłach podszczytowych wszystko nabierało innych kształtów; cerkiew na szczycie Wielkiej Pohulanki, las ten właśnie koło naszego domu, rezsuwały się przedmioty, wyolbrzymiały kontury, rozplywały w jakichś lekkich mlecznych tonach. To był zachwyt, to było uczestnictwo w tym właśnie byciu, w tym mieście.

W naszym gimnazjum życie było bardzo bujne, żywe, głośnie, tak głośnie, że w klasach na przerwach można było zatykać uszy i edtykać co sekundę i był wybuch, uh, uh, straszego hałasu, jak wystrzały. Dziewczyny biegały po ławkach, które stukały wówczas tymi odrzucanymi częściami, padały nieraz kałamarze.

Nie tylko to było życiem dziewcząt ale i zjeżdżanie po poręczach, zjeżdżanie po stopniach w naszych płaskich pantofelkach demowych, czyli takich szklanych bez obcasów. To był ruch niesamowity. To było jednocześnie czytanie, myślenie, to były paczki na które dzieliła się klasa. Każda paczka miała jakiś swój specjalny rodzaj zainteresowania. Jedna paczka to byli sportowcy. Druga - to życie tawarzystkie, może arystokracja bardziej. Nasza to była paczka myślących. Biblioteczki, geograficzna, religijna, polonistyczna, czy może po prostu literacka, ~~inna~~ chyba też przyrodnicza, były całkowicie przeczytane. Teatr był co miesiąc dla klas starszych, a więc obejrzałyśmy: "Mazepę", "Makbeta", "Damy i huzary", "Mieszczanin szlachcicem", sztuki klasyczne, parę nawet komedii. A potem przez godziny całe nasza paczka spacerowała ulicami, czasami do późnego wieczora, i były rozmowy, rozmowy, rozmowy bez końca. To było życie, to było szkolne życie. Były mundurki, nie było pantofelków na obcasach, nie było jedwabnych pończoch, to wszystko było absolutnie zabronione. Były kapelusze filcowe duże, okrągłe z wstążką i ze znaczkiem Nazaretu. Były tarcze na rękawach, oczywiście koniecznie przyszyte porządnie. Były fartuchy na dzień powszedni i mundurki, takie same białe na święta. Dużo było fałd, składek na spódnicy, to było szerokie, przy kręceniu się to był jeden wielki krąg. Kapelusze żeby nie były nowe, czyli żeby nie mówiły, że się jest w młodszej klasie, wycierano o różne zakurzone kąty i jeszcze troszkę przydeptywano i wówczas było się prawdziwą Nazaretanką. Były tam składki na Czerwony Krzyż, na jakieś chyba inne stowarzyszenia, czy też jakieś związki szkolne, kasa klasowa była, zbiór książek dla więźniów czasami prowadzono, legię cudzoziemską, był bal dla dzieci z sierocińca. Raz w tygodniu drugie śniadanie przynosiła każda kolejna klasa - odnosiłyśmy dla sierot. Była Wigilia dla biednych, były przedstawienia dla rodzin bardzo ubogich z tej dzielnicy.

W życie społeczne więc byłyśmy już zaprawiane od początku, w pomoc szkolną, we wzajemną pomoc sobie. Nieobecna dziewczynka natychmiast spotykała się z pomocą koleżanek, przynoszono jej lekcje, to co było zadane., więc życie było bardzo bogate, bardzo treściwe. I chyba tam wówczas ukształtowały się nam właściwe postawy.

Nie wiem czy wszystkie właściwe owocowały, ale z tego co wiem o sobie, z tego co znam, to stamtąd wyniosło się właściwy stosunek do życia, rzetelny, rzeczowy, realistyczny, jednocześnie pewien poziom religijności. Szkoła była przecież zakonna, a więc raz w tygodniu msza święta we wspólnej kaplicy obowiązkowa i co kwartał sakramenty święte. Raz w roku rekolekcje, kilka dni wolnych od lekcji, czytania, rozmyślenia, cisza i wspaniałe kazania, nauki zaproszonego księdza. Kiedyś nim był O. Tomasz Rostworowski, Jezuita, który oczywiście podbił nasze serca. Nie było to hodowanie mimoz, jak się czasami dzisiaj mówi o młodzieży. Chociaż to jest niwelaściwe może oskarżenie, bo są inne czynniki składające się na taki a nie inny stan młodzieży dzisiaj.

W kaplicy nie było miejsc siedzących dla dziewczynek. Było tylko trochę krzeseł dla rodziców, niektórzy przychodzili. Stało się więc przez całą mszę św. i siedziało na podłodze w czasie kazania. I każdej niedzieli kilka dziewczynek mdlało. Wynosiło się je do przyległego pokoju i kładło jak szprotki na podłodze, póki nie otrzeźwiały. To było zupełnie normalne. Oczywiście była lekarka, była dentystka, była pomoc sanitarna, to wszystko tam było i chyba w bardzo zdrowym stopniu, zdrowej atmosferze.

Zabawy nasze w czasie dużej przerwy oczywiście na boisku, przeróżne gry, oczywiście lekcje zajęć fizycznych, języki. A przede wszystkim chyba literatura, ta obowiązkowa i ta nadobowiązkowa. Czyli po prostu czytanie, czytanie, czytanie zachłanne polskiej literatury, która ustawiała, która budziła poczucie przynależności narodowej, patriotyzmu, zaangażowania, zapału, zachwytu no i pragnienia być w przyszłości najlepszymi, którzy mieliby naprawdę ciekawe życie, przede wszystkim na polach walk.

I miałyśmy wspaniałą wychowawczynię, panią Marysię Steskiewiczównę. Staram się nie używać nazwisk w swoich wspomnieniach, ponieważ pamiętać mnie zawodzi, często nawet oszukuje, ale to nazwisko pamiętam na pewno, ponieważ jeszcze teraz niedawno spotykałam się z nią. Obecnie już nie żyje. Wykładała historię, była wychowawczynią klasową, była harcmistrzynią w Wilnie. Ponieważ w naszym gimnazjum nie można było łączyć Sodalicji Mariańskiej z harcerstwem, trzeba

było wybrać tylko jedną organizację młodzieżową. Kierownictwo gimnazjum wybrało Sodalicję, harcerstwa nie było. Jednak panna Marysia, chętnych, naszą maleńką grupkę, zbierała co pewien czas po lekcjach i wtedy wykonywałyśmy pewne ćwiczenia harcerskie. To było też wielkie wprowadzenie, wielkie ćwiczenie charakteru no i przede wszystkim naprawdę narodowości, naprawdę patriotyzmu. Ale również i cech osobistych: sprawności, obserwacji, spostrzegawczości, dyskrecji. Kiedyś miałyśmy za zadanie w ciągu pół godziny obejść najbliższe ulice i wrócić. Było pytanie, ileśmy zauważyły: aptek, szkół, postojów samochodów, dorożek itd. Inne zadanie - zanieść list, tylko złożoną kartkę papieru, na drugi koniec Wilna i wrócić po wykonaniu tego. Była straszna pokusa, co nasza panna Marysia komuś pisze, trzeba było tę pokusę przeczłonyć. To są drobne rzeczy ale z tego składała się ta wczesna młodość, która się kształtowała, formowała. No i jeszcze trudności, jeszcze pokonywanie naszych obaw i nieumiejętności w stosunkach z dziećmi poczynając ^{z sierocińca,} od paroletnich maluchów do kilkunastolatków. Trzeba było zrobić dla nich czapki, urządzać przedstawienia, zabawy, tańce, kolacje, kanapki, upiec własnoręcznie ciasta - to wszystko podać, sprzątnąć itd. To wszystko były praktyczne, naprawdę praktyczne ćwiczenia. Teraz przydałyby się na pewno dla wielu młodych. To w Nazarecie, a teraz miasto.

Miasto to ulice i kościoły. I jeszcze świętowania, te niezwykle momenty, które w mieście zachodziły. Defilady, Kaziuk, słynny na całą Polskę chyba, kiermasz w dniu 4 marca Kazimierza - patrona Wilna, królewicza kiedyś. Więc defilady, to było dygotanie, serce płonące polskością. Wojsko, ułani. Kiedyś szedł prezydent, za nim jego adiutant z jakimś wspaniałym pióropuszem, to się wszystko zauważało wówczas, jacyś wojskowi wyżsi, orkiestry wojskowe. Tłumy, tłumy ludzi wiwatujące, uśmiechnięte, radosne. To oddziaływanie jest ogromne. Muzyka w rytmach wojskowych, chociaż biologicznie tłumaczy się to oczywiście zupełnie naturalnie, to są rytmy, pewne vibracje, które pobudzają do prężności przed wybuchem agresji w stosunku do wroga. To wszystko jest też w tym, ale to nie tylko jest to. Jest piękno dźwięku, jest tradycja, zapamiętane przecież znane utwory. Poza tym, cała nasza historia przebiegała właśnie: wojska, wojska, różne

jednostki, różne formacje, różne walki, różne zwycięstwa czy porażki, ale to była zasadnicza historia nasza, szczególnie przez młodociane serca i umysły przyjmowana na gorąco.

Defilada to było coś przepięknego, cały człowiek tym żył, to było coś co dziewczęta podniecało do walki.

Ulice były ciche, zaułeczki wąziutkie, poza oczywiście tymi ulicami centralnymi, spośród których była prosta, szeroka, asfaltowana już ulica Mickiewicza. Pewien odcinek tej ulicy to był słynny "Jerrek", miejsce przechadzania się par, uczniów jeszcze, nie sędzę, żeby tam chodzili studenci. To jest coś takiego, pierwszy posmak, pierwszy aromat wczesnej młodości, wczesnych sympatii, wczesnych miłości. Ale te wąskie uliczki miały też i swoje tajemnice i swoje sprawy i kilka scen zostało w pamięci. Kiedyś byłam prowadzona za rączkę, miałam może 4 - 5 lat, wracaliśmy z gościny od znajomych. Uliczka była puściutka, wąziuteńka. Pfuzy samym chodniku otwarte okno, w nim susząca się para pięknych pantofelków damskich. I nagle z za rogu, czy może z podwórza, przed nami zupełnie niedaleko, wyłoniła się postać staruszki w łachmanach, autentycznych łachmanach prawdziwej żebraczki, tam wtedy można było zobaczyć taką, zgarbioną, kulejącą, skradającą się, wyciągnęła rękę do tych pantofli. Przeżyłam szok, a to jest coś dziwnego, zupełnie tego potem nie miałam nigdy i pamiętam tak dokładnie, jakby to było dzisiaj. To był niesamowity wstrząs. Co to było? Zobaczyła nas, cofnęła rękę i szybko się skryła. Wyjrzał przez okno, widocznie szewc, może coś zauważył, pantofle schował. I jeszcze tego samego wieczora, szliśmy dalej i w tej prościutkiej ulicy nagle rozdarł się śmiech, dźwięczny, rozsypujący się, głośny, skąd ja wiedziałam, że to śmiech prostytutki. W domu się nie mówiło o tym, nie było żadnych płyt, żadnych filmów. Nie wiem, dotychczas jest to dla mnie tajemnicą. Jeszcze kiedyś, na takiej wąziutkiej ulicy, kiedy byłam starsza, już w gimnazjum, chodziłam o zmierzchu, przyjechała karetka pogotowia i z niej wyniesiona na noszach jakąś postać kobiecą, przykrytą, która ciągle jęczała, coś wykrzykiwała. To był szpital, jak się okazuje, to otruła się służąca. Wówczas był niejeden taki przypadek. Najczęściej przyczyną był zawód miłosny.

Jeszcze jedna scenka w takiej wąziutkiej, prościutkiej ulicy. Jakaś pani stoi zdenerwowana, ma otwartą torebkę i w niej maleńką buteleczkę. Nie wiedziałam co robić, tylko strach, lęk. Nie wiem zupełnie co to było, ale mogłam przypuszczać jedno: obleje kogoś kwasem siarkowym albo sama się struje. Nic nie mogłam zrobić, to też było takie straszne. Jeszcze inna scena, na ul. Mickiewicza, tej szerokiej gdzie był hotel "Bristol", gdzie był teatr, operetki, gdzie było życie, cukiernia, wspaniałe sklepy. Tam kiedyś podjechał do brzegu chodnika dorożkarz, stary, zgarbiony, na kozłach. Zatrzymał dorożkę, pustą zresztą. A z ławeczki przed samym hotelem wstał portier, w uniformie z guzikami błyszczącymi, z długą białą brodą, w czapce portierskiej, bardzo, bardzo stary. Podszedł do dorożkarza i usłyszałam: "my teraz z tobą na dno, na dno.." To wszystko kiedyś się łąpało, to wszystko się słyszało i zapamiętało na całe życie.

Na ulicach jeszcze było coś bardzo pięknego. To były kwaciarnie, właśnie kwaciarnie wileńskie. Od tamtego czasu nigdzie takich nie widziałam. Maleńka ulica, pusta. Mały sklep z kwiatami, a w witrynie olbrzymi wazon pełen dziesiątków przepięknych róż. Ale zestaw, ale kolory. Przechodnie zatrzymywali się, patrzyli, nie trzeba było kupować. Takich witryn w kwaciarniach nigdy więcej nie widziałam. Miasto miało też swoje dźwięki. To było na podwórzach, przede wszystkim jeszcze w tamtym pierwszym mieszkaniu, kiedy byłam jeszcze maleńka. To były te, już teraz do legendy przechodzące, wykrzykiwania węgiel, węgiel, węgiel. nosili handlarza węglem zwyczajny drzewny węgiel, którym się paliło w samowarze. U nas też był samowar. Albo garnki drutuję. Garnek pęknięty to nie lada strata. To chyba byli górale, którzy umieli drutować garnki. Albo handel, handel, handel, to nieraz był stary Żyd, który nosił ze sobą cały mały sklepik: talerze, miseczki, kubeczki, a co skupował - stare obuwie, buteleczki od lekarstw, coś niepotrzebnego w domu, no i to właśnie był ten handel. Jeszcze szmaciarze przychodzili z długimi hakami metalowymi i w wólkach skrzyniach ze śmieciami szukali i wyciągali szmaty, papiery, starocie. To były takie dźwięki.

A jeszcze był rytm, puls życia miasta. To było już wtedy, kiedy byłam w 5 - 6 klasie, w tej przedmłodoci, przedwiośni, o którym kie-

dyś napisałam pisząc własne, takie sobie myśli, własne opracowania. Jednym z nich właśnie było przedwiośnie i to pierwsze zdanie brzmiało: jest wiosna, a przedwiośnie już się skończyło, cudne przedwiośnie ludzkiego życia, trwało jeden raz tylko, minęło, już się nie powtórzy, już nie wróci.

Rok życia piętnasty na tym się używa. Drugim tematem przeze mnie opracowywanym z ogromną ciekawością był kult wielkich ludzi.

Właśnie w mieszkaniu na Zakretowej można było wejść na pagórek i kiedy kończył się dzień i zaczęło szarzeć powietrze, u stóp leżało Wilno. Zaczynały zapalać się pierwsze ogieńki, pierwsze latarnie i słychać było leciutki szum. Czasami trąbka samochodowa, czasami urywek melodii jakiegoś tańca, jakiejś płyty z otwierających się drzwi może kina. Czasami orkiestra wojskowa przechodząca, jak zwykle z muzyką, przez ulice. Wciąż się zmrok zgęszczał, ten lekki szum, pogwar, gwizdeczki, jakieś urywki melodii. To czułam i tak wówczas nazywałam, tak dotychczas to nazywam. To był puls mojego miasta.

To miasto oczywiście było miastem starym, miało wówczas, jeszcze w moim wczesnym dzieciństwie to, co było moim życiem rodzinnym, to co było częścią składową życia rodzinnego. Był to więc swój fryzjer, jeszcze kilkuletnia byłam prowadzona do fryzjera co pewien czas. To był był właśnie ten fryzjer, który mnie zawsze strzygł, znał mnie i żartował ze mną. To był Sztrall, jedna z cukierni, bardzo dobra, u uważana za najlepszą, gdzie też znano mnie. Teraz to widzimy jako cel reklamowy, ale wówczas dostawałam malusieńką paczuszkę czekoladek "Paris" zapakowaną dla mnie. Raz w tygodniu, stale tatuś kupował tam dla mnie, może dla wszystkich, tego nie pamiętam, ciastka albo filiżaneczki wafłowe z kremem.

To było miasto, ale jeszcze nie wszystko, to były ulice, sklepy, sklepiki, punkty gdzie coś się dokonywało dla naszego życia. jednocześnie były też kościoły. Później, w klasie V - VI były samotne zachodzenia do kościołów. Kościoły w Wilnie są wszystkich stylów, tak słyszałam kiedyś. Kościół franciszkański mroczny, chłodny, prawie pusty o takich porach niezwykłych i niesamowita atmosfera, inny świat. A kiedy odprawiana była masza święta w niedzielę czy może w święta, wówczas organista grał całe utwory dla organów, które były

przepiękną muzyką w tym otoczeniu, w tym chłodzie, w tych murach, w tym półmroku. To było coś przepięknego, coś pełnego, innego niż to słońce buchające na ulicach kiedy wychodziło się z tych murów. To była przede wszystkim w Wilnie Ostra Brama, Kaplica Cudowna, ściany malusieńkiej Kaplicy całe były, już od pewnego czasu, uwieszane wotami, to są serca, nogi, ręce, tabliczki z wygrawerowanym napisem od kogo, za co. A pod tą Bramą, przejście, ulica nieprzejezdna, tylko przechodnia, asfaltowana. I zawsze ludzie modlący się na kolanach. To jest ciekawe, że to miejsce było czczone i święte dla Wilnian. Słyszałam kiedyś, że Piłsudski po wejściu do Wilna, na kolanach wszedł po schodach, po stopniach z ulicy do samej Kaplicy. To miejsce było czczone, było częścią naszego życia, częścią bycia, jestestwa, naturalności, że nie mógł przejść pod tą kaplicą mężczyzna w czapce. Pamiętam, to było w czasie wojny już, kiedy oficer niepolski oczywiście albo Żyd, zresztą Żydzi zdejmowali tam czapki, jeśli oficer to okupacyjnego wojska przechodził w czapce, to czapka zlatywała. Skądś brali się mali chłopcy, podrostki, chuligani nie-chuligani, czapki leciały, to było naturalne.

I jeszcze Katedra. Duży blok, płaski na placu. Na tym placu, w moim dzieciństwie, była po prostu ziemia, błoto i jednym miejscu okrągły, maleńki ogródek otoczony sztachetami^z, zieleniną, krzaczkami, klombami, ścieżkami i ławeczkami dla dzieci, mam czy niań. Nazywał się ten ogródek cielećnik. Od pewnego czasu wszystko tam jest już pokryte asfaltem, plac jest duży, stosunkowo oczywiście.

Co było ciekawe, też było wówczas i tylko tam. Jeszcze mała, tzn. może 7 - 8 - 9 może 10 letnia, sypałam kwiatki w czasie procesji przy święcie Wielkiej nocy. Rezurekcje odbywały się w każdym kościele o innej porze 7 - 8 - 9 wieczorem. Pamiętam, że pewnego roku brałam udział w rezurekcyjnej procesji w Katedrze. Cały plac był zastawiony wojskiem. Czworobokie wojsk. Na rogach orkiestry wojskowe sztandary, oficerowie z białą bronią przed każdą jednostką wojskową. Katedra ma wysokie, rzeźbione drzwi w przeciwległym końcu od ołtarza. Myśmy już przed tymi drzwiami były ustawione, ileś tam par, nie wiem ile dziewczynek w bieli całych, z koszyczkami z kwiatkami chodziłyśmy tylko tyłem, sypałyśmy bez przerwy przed siebie kwiatki. W pew-

nym momencie słychać było, kiedy się drzwi otwierały, że zaintonowano "Wesoły nam dziś dzień nastał", organy natychmiast podchwyciły tam na chórach. Katedra pełna była dostojników kościelnych, zakonników no i świeckich ludzi. To wszystko wylało się powoluteńku, wychodząc, wypływając na plac. Orkiestry wojskowe podchwyciły "Wesoły nam dziś dzień nastał" i cała procesja. Cała procesja z Najświętszym Sakramentem, przed którym myśmy sypały kwiaty, a kapłana, z monstrancją oczywiście, prowadzili pod rękę najważniejsi ludzie miasta, obeszła trzy razy cały plac z wojskiem. Oficerowie prezentowali w tym czasie białą broń, a sztandary pochylały się do ziemi. To trzeba było raz w życiu zobaczyć. To było Wilno wtedy.

W Wilnie był Kaziuk. Kaziuk, święto tylko wileńskie, które odeszło już w przeszłość. Przy głównej ulicy Mickiewicza, ostatnio już asfaltowanej, leżał po prostu, przy samym chodniku, plac zwyczajnej ziemi, na której odbywały się targi. Był to po prostu rynek, w tamtych czasach oczywiście. W dniu Św. Kazimierza Królewicza, 4 marca, początek wiosny. Często jeszcze roztopy wiosenne, czasami śnieg, czasami jeszcze pełno błota albo wody po tym śniegu. Na całutkim placu stały kramy, takie zwyczajne jarmarczne kramy. Było mnóstwo drobiazgów kaziukowych: obwarzanki, serduszka piernikowe od najmniejszych wielkości paznokcia różowych, poprzez wszelkiego rodzaju już brązowych, glazurowanych, do takich ogromnych w pudłach, wielkości dużego tortu, ozdobionych różami i napisami. Między innymi zapamiętałam jeden: "Daruję pannie Hani moje serce wraz z wątrobami" Studenti tam wystawiali robione przez siebie drobiazgi, pamiątki, jakieś malusieńkie zabaweczki. Sprzedawano tam przede wszystkim świstki, gwizdki, rozmaite zabawki, kolorowe baloniki, wyroby drewniane od najmniejszych do największych i dzbanuszki, dzbanki. I palmy ruszcycowskie dwóch rozmiarów. Takie normalne, no może pół metrowej wysokości, troszkę może mniej i mniejsze. To było też jedyne w swoim rodzaju. Tylko wówczas jed widziałam. Każda taka palemka, to na cienkim patyczku naklejony wzorek od góry do dołu z różnokolorowych maleńkich nieśmiertelników. Każdy wzorek był inny. Każdy zachwycał kolorami, harmonią barw, przepięknym ornametem. Każda z palm zakończyła na była pióropuszem z suchych traw. Maleńkie były takie same

tylko miniaturowe. Kupowano tego mnóstwo. Zjeżdżało się wielu gości z całej Polski. Podobno 100 tysięcy, nie wiem, bo nie sprawdzałam konkretnie. Kaziuk trwał dwa dni. Przejazd był zamknięty, więc fale ludzi, takich radosnych, świątecznych, troszkę żartobliwych, na luzie, z poczuciem humoru, z radością, przelewały się przez ten, wówczas wydawało się, wielki asfalt ulicy Mickiewicza. Plac kipiał, grzmiał rozmowami, szumem. Poza tym świstki świstały, języki teściowej, to takie były wydmuchiwane długie gumowe języki z gwizdem wielkim, potem się to wciągało z powrotem. Piłeczki jo-jo na gumeczkach malusieńkie były rzucały w głowy, w kapelusze, w plecy, w ramiona. To wszystko krążyło, ruszało się, huczało. Poza tym, jeszcze na rogach stały orkiestry dęte, wspaniale grały, no i całe olbrzymie kule baloników kolorowych otaczały plac. To było niezwykle, to było raz do roku.

Lekki humor, lekki uśmiech, lekka przyjemność, przedwzięcie, żart. Właściwie tak między jarmarkiem a zabawą. Między tradycją a czymś co życie miasta jakoś wchłaniało, akceptowało, cieszyło się tym przez dwa dni. To było naprawdę niesamowite, ale takie naturalne i takie przyjemne. Taki jakiś lekki rumieniec na codzienności. Nazaretanki też bawiły się. Miałyśmy jeden dzień wolny od nauki, a potem następnego dnia mogłyśmy w szkole używać tego wszystkiego cośmy przyniosły. No ale następnego dnia kończyła się zabawa.

Wspominając Kaziuka była jeszcze część druga, widowiskowa, też bardzo przyjemna no i chyba niepowtarzająca się gdziekolwiek i kiedykolwiek. W dniu, właśnie 4 marca Św. Kazimierza, o godzinie porannej zbierał się ogromny pochód. To było wspaniałe. Był wspaniały rydwan zaprzężony w czwórkę, czy sześć koni białych koni. Ogromny, wysoki, przykryty, kryjący w sobie coś. Ten rydwan posuwał się centralną ulicą Mickiewicza, za nim szły dzieci czwórkami. Grupki były ze wszystkich chyba średnich szkół, klas raczej młodszych, w białych czapkach z puszystej waty na głowach. To wszystko było zorganizowanym orszakiem, bardzo ładnie, równiutko. Na chodnikach oczywiście stało mnóstwo oglądających. W momencie kiedy rydwan dojeżdżał do Palcu Katedralnego, którym kończyła się ulica Mickiewicza, zresztą bardzo krótka, tam spotykali ich studenci z fanfarami. Podnosiły się te dłu-

gie trąby do góry, grzmiały fanfary i wówczas z rydwanu wychodziła po stopieńkach na sam szczyt królowa wiosna. W bieli oczywiście, najpiękniejsza dziewczyna Wilna. Wpuszczano stada białych gołębi. Wszystkie dzieci zdejmowały w jednej chwili białe czapki z głów. Pod tymi białymi przykryciami znajdowały się kwiaty wiosenne. Każda szkoła miała inny wiosenny kwiat olbrzymi, z kolorowego papieru. To była jedna część. A zaraz potem następował przemarsz, a właściwie przejazd platform, dużych ciężarówek, na których były jakieś olbrzymie zabawki, zrobione przez studentów sztuk pięknych. Wileńskie jakieś figury. Była tam między innymi pewnego roku grypa, mróz, zima. Olbrzymie kukły dojeżdżały do Placu, skręcały do bliskoznajdującej się Wilji i tam następowało topienie tych wszystkich naszych wielkich wrogów. Po czym pochód radośnie rozchodził się, ponieważ to wszystko było z uśmiechem, w nastroju absolutnie swobodnej, miłej i przyjemnej rozrywki.

W domu był fortepian i oprócz tego wspomnienia cichych, malutkich, wąziutkich najczęściej uliczek wileńskich, jeszcze się przypominają dźwięki. Były w domu nuty romansów rosyjskich Glinki i innych, których już nie pamiętam. Były też i romanse polskie. Ja już od najmłodszych lat uczyłam się grać na fortepianie. To była nauka u starszego bardzo pana, który mnie powolutenku wprowadzał w tę umiejętność. Podobno od razu po narodzinach położono mnie na fortepianie. Potem, kiedy nie sięgałam jeszcze pedałów, jednym palcem wystukiwałam "Wlazł kotek na płotek". I tak fortepian był czymś bliskim, drogim, wyrażającym nastroje, a może coś więcej. W każdym razie, kiedy już mogłam grać nieskomplikowany akompaniament do tych romansów, to mamusia z tatusiem śpiewali z dziećmi w domu. To było też piękne. Śpiewaliśmy też pieśni legionowe w szkole, w domu. Pieśni legionowe to była część naszej polskości, "Legiony to żołnierska nuta", "Rozkwitają pąki białych róż", "Wojenko cudna pani", coś chwyciło za serce, czy może myśmy w tym byli, czy może to było w nas. To było coś naszego, tak naturalne, że się nie wyobrażało, czy nie chciało się wyobrazić, że kiedykolwiek te melodie, te słowa przestaną być żywe dla rodaków, przestaną być śpiewane, szanowane. Tak to wtedy było. Oczywiście dziewczęta, to dziewczęta i w szkole, na najpoważniejsze

melodie, czasami wymyślało się słowa mniej poważne, no i na melodie, niestety ale legionów, śpiewały, co prawda starsze koleżanki: "Nie wolno nam na randki chodzić, malować się, z chłopcami chodzić, całować się. My się nie boimy, na randki chodzimy, bo nasz profesor sam, wyznacza randki tu i tam".

Potem kiedyśmy z panią Marysią, naszą ukochaną wychowawczynią, troszeczkę dotknęły harcerstwa, tych idei, tego piękna i tej poezji, zapamiętało się pieśni harcerskie, w których każde słowo, każde zdanie było naszym i byłyśmy tym. Dwie z nich zostały na zawsze "Wszystko co nasze Polsce oddamy, w niej tylko życie, więc idźmy żyć. Świty się bielą, otwórzmy bramy, hasło wydane, wstań w słońce idź. Ramię pręż, słabość krusz, ducha tęż, Ojczyźnie miłej służ. Na jej zew w bój, czy trud, pójdzie rad harcerzy polskich ród". Tak się myślało i nie myślało się, że można myśleć inaczej. I jeszcze jedna: "Naprzód dziewczęta, precz z bezczynnością, podajmy sobie siostrzaną dłoń. Idźmy z energią, idźmy z ufnością, naprzód a śmiało przez życia toń. Dążmy do celu ciągle, wytrwale, szukajmy nowych, szlachetnych dróg. Nie ustawajmy w czynu zapale, a hasłem naszym Polska i Bóg. Wystraszy widmo nędzy ponurej i bliźnim naszym otrzyjmy łzy i jasny sztandar postępu w górę silnymi dłońmi unieśmy my. Zapamiętany jest jeszcze jeden tekst? Pewien poeta wileński pisał: "Kto żyć się lęka, kochać kto się boi, bo ciernie w życiu, a łzy są w miłości ten nie wiem po co przyjaciele moi, na świat przychodził i na świecie gości. Do czary życia kto usta przyłoży, niechże odważnie do dna ją wysuszy. Mnie przyjaciele ten kielich nie trwoży, czar pierwszych kropel pozostał mi w duszy".

I czy można się teraz dziwić, że żaden z okresów życia nie jest dla mnie stracownym czasem.

No i tamte lata mijały. Pszyszedł czas, kiedy właśnie skończył się czas pokoju. Jeszcze przedtem u nas w domu sytuacja materialna się pogorszyła. Na ulicy, tej pierwszej, Zarzeczej, w tym wczesnym dzieciństwie, kiedy pracowali tatuś i mamusia, święta były takie, jak tradycja wówczas nakazywała. A więc na wigilię 12 dań, to było zawsze normalne. Ryb nie było, były za drogie, nawet nie wiedziałam gdzie się sprzedaje. Natomiast ze śledzi robiło się to wszystko co z ryb. A na Wielkanoc zawsze był stół wielkanocny, lukrowane baby

posypane kolorowym maczkiem, duży tort z jabłuszkami rajskimi po-
środku, mazurki no i szynka, schab, pasztet, jakieś pierogi i nawet
był prosiak. Potem w czasie zamieszkiwania już na ulicy Zakretowej,
pracował tylko tatuś. Następowaly obcięcia zarobków, a więc warunki
były wciąż skromniejsze. 50 groszy to już stanowiło pewną różnicę w
budżecie. Pantofle były nieraz dziurawe nawet w okresie wiosennym,
dopóki nie można było zdobyć się na podzelowanie. A o sukience no-
wej to w ogóle się nie myślało. Mamusia miała tylko jedną wyjścio-
wą z zielonego aksamitu, od początku chyba swojej młodości. Tatuś
miał dwa garnitury, jeden roboczy, drugi taki bardziej elegancki z
bardzo błyszczącymi plecami. Ale to wszystko było jakieś zwyczajne,
tym się specjalnie nie przejmowano. Może czasami mnie było smutno
na naszych zabawach, oczywiście prywatkach w domu już z kolegami z
Gimnazjum OO Jazuitów. Myśmy w starszych klasach spędzały całe wie-
czory, całe noce na tych prywatkach w domu to u mnie, to u koleżanek.
Smutno mi trochę było, że mam jedną, tę samą przerobioną ze starej
sukienki mamusi, no ale to nie był taki wielki smutek.

W końcu wojna. Przyszli Litwini, potem bolszewicy.

Jeszcze pierwszy rok spędziłam chyba w Gimnazjum Sióstr Nazareta-
nek. Następny już, to była szkoła koedukacyjna, w murach poprzednie-
go Gimnazjum OO Jezuitów, koło samego kościoła Św. Kazimierza.
Wówczas rozpoczęło się przepisywanie ulotek, bardzo nieudolne. To
się nazywało, że różnymi charakterami, to było jeszcze śmieszne,
niefachowe i to była pomoc komus, kto się tym zajmował. Były już
akcenty niewoli, tego innego władcy. Na zebraniach wspólnych, może
to były akademie, czy jakieś święta, śpiewaliśmy "Międzynarodówkę",
musieliśmy wstawać na odśpiewanie. Zresztą być może nie śpiewaliśmy,
może nam ją grano. Nie pamiętam. W każdym razie jeśli siedzieliśmy
twardo, przechodził między nam rzędami ławek jeden z nauczycieli i
zapowiadał, jeśli nie wstaniemy, co piąty ojciec odpowie. Także na
mniej więcej słowa .."powstańcie, których gnębi głód.." powoluteńku
nasze towarzystwo podnosiło się z ławek. Ciekawe, że wówczas jeden
z naszych profesorów - wykładowców, zdaje się biologii, Żyd, kosmo-
polita, komunista, który przemawiał do nas zachwalając po swojemu
tę właśnie ideologię, starając się nam trafić do przekonania mó-

wiażd nam, że przecież Chrystus był pierwszym komunistą, w jego us-
tach słyszałam najpiękniejszy język polski, jaki kiedykolwiek w życiu
słyszałam.

Potem, przed świętem Rewolucji Październikowej były ćwiczenia jak to
mamy w pochodzie ulicami maszerować. I wreszcie ten dzień. Od sa-
mego wczesnego poranka, gdzieś w zaułeczkach musieliśmy stać marznąć
Jakieś śmieci paliliśmy aby ogrzać ręce. I wreszcie przez Plac, na
którym stała trybuna, megafony i coś tam jeszcze, wszyscy musieliśmy
oczywiście pod strachem, że rodzice zostaną surowo ukarani, maszero-
wać. Sytuacja była taka, którą można wyobrazić, że to był film, po-
nieważ z jednego megafonu padały cały czas hasła, a właściwie pięk-
ne wykrzykniki, niech żyje to .. to.. to.., z drugiego megafonu la-
ła się bez przerwy kaskada słów hura, hura, całym wielkim tłumem. A
myśmy szli milcząc. W tym miejscu przypomina mi się małe epizod
jeszcze z Nazaretu. Starsze dziewczęta maszerowały ulicą, nie wiem,
czy może to przysposobienie wojskowe. Jako młodsza jeszcze, przyglą-
dałam się temu z chodnika. Lał deszcz. strumieniami. Z kapeluszy z
szerokimi rondami, strumienie spływały na ten nasze maszerujące Na-
zaretanki. Ponieważ nie było u nas werbli, jak być może miały szko-
ły męskie, to pamiętam dokładnie jak dziewczęta sobie pomagały re-
cytując: "Całowała babka, całowała babka, całowała babka dziadka w
nos, dziadek babkę w papkę, dziadek babkę w papkę, dziadek babkę w
pa^pkę trzasł."

Egzamin maturalny był już w innych warunkach, w zwyczajnej klasie.
Pomagali nam ci, którzy byli komisją. Po ostatnim egzaminie była
wspólna fotografia z naszym ukochanym matematykiem, ongiś wykładow-
cą na Uniwersytecie. I wyruszyliśmy taką swoją małą grupką, swoją
paczka do miasta, do Sztrala w ogródku. Trezech było Sztrali w Wilnie
Dwóch czerwony i zielony przy ul. Mickiewicza. Jeden z nich miał
ogródek, drugi miał szyby wychodzące na ulicę i tam przy stolikach
siadywali zwykle artyści z teatru, których myśmy kolejno uwielbiały,
oczywiście podkochując się niesamowicie. Trzeci był ani zielony ani
czerwony, był zwyczajny Sztral, na ulicy Wielkiej, który miał naj-
lepsze wyroby, ciastka itd., gdzie się kupowało kiedyś w dziecińs-
twie. Poszliśmy do ogródka. Miałyśmy odrobinę pieniążków. Zdaje się,

że były lody, czy jakaś woda kolorowa zaprawiona sacharyną. To było przżycie, byliśmy pierwszy raz dorosłe, siedziałyśmy przy stoliku, dookoła byli też siedzący, przyjemna atmosfera. Jakaś pani w stroju ludowym obnosiła przepiękny bukiet kwiatów na sprzedaż. Obok nas siedział Murzyn czarny na twarzy z różowym językiem, wesoło się śmiejący. Potem poszliśmy do Uniwersytetu. Zaszliśmy przez drzwi do ciemnego korytarza pustego. Wydawało nam się, że to ta atmosfera już przed nami jest otwarta, że to będzie nasza przyszłość, że my tam wejdziemy. To było piękne.

Wówczas, kiedy to Litwinom oddano Wilno powstała pieśń: "W krzyżach przegląda się wschód słońca poprzez mgłę. Wilnia barwami tęczy z od dali wciąż lśni. Żegnaj Wilno, miłe miasto me rodzinne, takie drogie no i inne niż setki innych miast. Tu młodość i niewinna moja miłość kwitły tak, jak kwitnie kwiat wśród murów twych i chat." Słuchając myślałam, jak można żegnać się z Wilnem, przecież tutaj będziemy. Ale potem, kiedy byłam w innych miejscach nigdy do Wilna nie tęskniłam. To było tylko wtedy, to nigdy nie powraca. Jest wspaniałe teraz, nowe, obecne, wspaniałe ciągłym poznawaniem i aktywnością w jakiejś dobrej sprawie. A tamto było.

Tu się przypomina opowiadanie pewnej osoby spotkanej w obozie na północy. Był tam Gruzin ze znanej książęcej rodziny, już niemłody i jego żona Leningradka. Ona opowiadała o swoim mężu, że gdy miał 5 lat jadł kiedyś gęsią nóżkę i miał usmarowaną buzię i rączki tym tłuszczem. Mama się zdenerwowała, kazała bonie zabrać nóżkę, dziecko umyć. Dziecko po chwili wybuchnęło strasznym płaczem. No więc mama oddaje mu tę nóżkę. Dziecko milczy, po chwili wybucha płaczem. Mama się rozżośćcała, wysmarowała mu buzię tłuszczem. Dziecko milczy i po chwili wybucha strasznym płaczem. Czegóż ci jeszcze potrzeba, pyta matka. Zrób żeby było wtedy, odpowiedziało dziecko. To było genialne, jak wówczas ta pani stwierdziła.

Póki szykowałam się do matury trwały już próbne alarmy. Nie raz coś się wkuwało z notatek trzymając je pod płaszczem i świecąc sobie latarką, bo trzeba było mieć czasem nocne dyżury. Pierwszy rok wojny spędziłam w Wilnie. Zima była bardzo surowa. Zmarzło wiele kasztanów na ulicach. W mieszkaniu zamarzała woda. Spaliśmy w zimowych

paltach okryci kołdrami. A potem rodzice z bratem i babcią przyjechali na stałe do tego letniska pod Wilnem do Orwidowa. Ja zostałam na ostatni rok u matki chrzestnej brata, a jej mąż był moim chrzestnym ojcem. Był jak mówiono prawą ręką Piłsudskiego w swoim czasie. Skończył się rok maturą, a następnego dnia czuło się już w powietrzu przybliżanie frontu. Wówczas zdecydowałam, że muszę wyjść natychmiast z miasta, wyjechać oczywiście do rodziców żeby nas front nie rozdzielił. Powiedziałam w domu tej pani, że postaram się pojechać, w przeciwnym wypadku wrócę żeby ją uspokoić. Wiedziałam, że nie wrócę. Wyszła. Dworzec kolejowy, to była masa ludzi na placu. Zgiełk, krzyk, dorożki, walizy, kufry, rodziny, lament. Sytuacja dramatyczna. Wszyscy chcą wyjeżdżać. Mowy nie ma o tym w ogóle żeby się dostać do torów kolejowych. Dworzec autobusowy - nieczynny. Iść szosą, powiedziano mi, że poborowi strasznie piją, także chyba nie byłoby to bezpieczne. Zdecydowałam się iść ale wzdłuż torów kolejowych. Doszłam do Kolonii Wileńskiej. Tam udało mi się wejść do jakiegoś pociągu, który przejechał jeden przystanek do Nowej Wilejki no i wszyscy musieli wysiadać. Poszłam do sali dworcowej i tam chciałam coś zjeść. Zobaczyłam rzodkiewki, chleb, pływały krążki masła w jakimś naczyniu z wodą, w bufecie. Zamówiłam to sobie. Dostałam rzodkiewki, chleb, masła już nie było. Zdaje się, że były jakieś gotowane pierogi, czy jakieś danie. Miałam w kieszeni zdaje się 4 lity. Okazuje się, pytałam niedawno, że i ruble i lity kursowały wówczas jednocześnie. Po tym posiłku, jednak zdecydowałam, że pójdę, do przejścia miałam około 30 km. Musiałam^{my} nabrać trochę sił i siedziałam. Ludzie, tak jak ja, czekali, denerwowali się, pytali, szukali możliwości gdzie dalej uciekać. Mógł być pociąg o każdej porze dnia, nie wiadomo było kiedy. Przesiedziałam tam długo, dobrych chyba parę godzin. W pewnej chwili czułam, że muszę wstać i wyjść. Po prostu impuls jakiś. Poszłam. Odeszłam^{my} niedaleko, weszłam na najbliższy pagórek, idąc wzdłuż torów kolejowych. Posłyszałam za sobą warkot samolotów. Obejrzałam się. Leciały trzy trójki. Zataczając krąg nad stacją, kolejno każdy z nich pikował w dół i od niego spadała bomba. Wybuch. Dwa razy zataczyły krąg. Odleciały. Ze stacji buchnął dym ogromnym słupem. Mogłam tylko ukłęknać, podziękować Bogu, że mnie stamtąd coś wyprowadziło. Szłam dalej, nogi sobie obtarłam. Przerwałam chusteczkę do

nosa i zawiązałam bąble na piętach. W pewnym momencie, to było już pod wieczór, po zachodzące słońca. Z ziemi dało się słyszeć jakieś metaliczne drżenie, coś jakby ziemia drżała. To było dziwne bardzo, po raz pierwszy w ogóle przeżyte. Ale co to było? Głuche, dalekie, spod ziemi. Weszłam znówu na wzgórek, spojrzałam w kierunku zachodu słońca, jak gdyby stamtąd to dochodziło. Niebo było złociste, była mglista, złocista fala powietrza nad ziemią i w niej krążył rój jakby malusieńkich jakby muszek. Od nich spadały w dół malusienieczkie punkciki. Bombardowano Wilno.

Było już zupełnie ciemno kiedy przyszłam do domu. Brat był w domu. Rodzice cały czas czekali na mnie na przystanku. Brat pobiegł nocą, jeszcze był przecież nie taki duży, po rodziców no i w końcu, prawie biegiem, wszyscy się zjawili i byliśmy razem. Kiedy przybliżałam się do domu już słyszałam czołgi jadące gdzieś niedaleko szosą, więc Niemcy już wchodzili na ten teren. No i co teraz trzeba było robić tam na wsi, w tym naszym małym drewnianym domku.

Była to walka o przetrwanie, a jednocześnie pytanie, co robić dla kraju. No więc kupować, ile się tylko dało, materiały opatrunkowe w aptekach. Zakopywać je do ziemi. Przeszłam kurs nakładania opatrunków rannym u mieszkającego niedaleko lekarza, tak zresztą kilka młodych osób to zrobiło z otoczenia. Przyjmowałyśmy czasami w nocy chłopców z lasu. Chowaliśmy czyjąś broń.

Żyliśmy już na samych kartoflach z odrobiną mleka, bo za fortepian wymienili rodzice krowę dającą dwa litry mleka dziennie. Trzeba było jakoś żyć. O chlebie zapominaliśmy przez wiele, wiele miesięcy. Czasami były tylko zacierki z żytniej mąki z odrobiną mleka. Chodziliśmy na wymianę. Wynosiło się z domów, my i znajomi Wilnianie, którzy też starali się przeżyć tę wojnę na wsi, drobne przedmioty, ubrania, cokolwiek, wszystko, co mogli kupić wieśniacy za produkty. Bywały czasami łapanki. Niemcy otaczali wioski, punkty zasiedlone. Wówczas uciekało się, to znaczy chowałam się do pobliskiego majątku. Dokument miałam już podrobiony, tzn. ponieważ rodzice nie przyjmowali żadnej karty wolksdojeza, więc byli tzw. obcokrajowcami. Na jednym arkuszu papieru do danych tarusia wpisana była żona i dzieci. Na zgięciu arkusza znajdowały się moje 16 lat, któreśmy przerobili

delikatnie na 12. Sama starałam się nie trafiać im na oczy. Brat był o 6 lat młodszy ode mnie. W majątku mieliśmy miejsca obmyślane na ewntualne chowanie się, a więc pod brudną bielizną w wannie, w budzie psiej, w pokrywie. Na cały dzień wychodziło się do lasu, równie tacy jak ja ukrywający się. Na wszelki wypadek miało się tam przygotowaną owcę, złoty zegarek, wiaderko miodu, jeśli trzeba będzie się wykupić, gdy znajdzie się coś tragicznego. Skończyło się na razie wszystko dobrze. Widzieliśmy tylko całe gromady ludzi pędzonych szosą do pobliskich widocznie stacji kolejowych, na wywózkę do Niemiec. Tatusz pracował jak stróż nocny w żwirowni odległej o 5 km. Brat gospodarował w domu gdyż mama po ciężkiej chorobie serca zmarła i babcia też.

^{Schutz} Szuc - punkty warowne prawie twierdze, w których Niemcy pilnowali drogi kolejowej, znajdowały się chyba co kilka kilometrów wzdłuż torów kolejowych. One były bardzo silnie obwarowane, natomiast w naszej miejscowości mówiło się o tym, że w nocy była u nas Rzeczpospolita Polska, żaden Niemiec z Szucpunktu najbliższego nosa nie wyściubił. W nocy, nasi chłopcy wysadzali tor kolejowy i czasami przez kilka nocy z rzędu słyszało się detonacje.

Byłam wówczas już zaprzysiężona w siatce AK. Przysięgę składałam przed "Sękiem" - pseudonim, w Bezdanach, bratem mojej przyjaciółki. Była to gotowość, jeśli trzeba, do niesienia pomocy. Nie była to służba w oddziale konkretnym. Pomoc wyraziła się np. w ten sposób, że potrzebowano maszynę do pisania dla fabrykowania lewych dokumentów. Za posiadanie maszyny do pisania była śmierć, ponieważ Niemcy kazali je wszystkie oddać. Udało się ją kupić ew stacji Bezdany, 3,5 km od naszego domku. I ocierając się niemalże o Niemców, prawie dosłownie, kupiło się ją oczywiście nie za pieniądze, bo nikt nie chciał sprzedawać za pieniądze lecz za miód. Za miód zwrócono nam pieniądze. Potem dokumenty te roznosiłam niejednokrotnie potrzebującym, informując, jak trzeba się nimi posługiwać, tzn. jak postawić odcisk palca - szkiełko posmarowane tłuszczem, potem sadzą, tak się to robiło. Oczywiście taki dokument służył w ostatecznym przypadku, bo lepiej było nie pokazywać się Niemcom na oczy.

W tym czasie życie było względnie normalne przy tej całej biedzie

materialnej, przy ciągłych chodzeniach po wsiach w poszukiwaniu jakiegoś pół puda żyta na mąkę, czy jakiegoś sera. Czasami już słabło się w drodze. Ale święta były świętami, z tą różnicą, że nie było tortu, prosiaka, mazurków itd. Z żytniej mąki, z odrobiną cynamonu uchowanego jeszcze z czasów przedwojennych, może trochę zasiadłego mleka i sody, może miodu, piekło się mazurek czekoladowy inaczej. Mamusia pomagała wieśniakom, znajomej rodzinie w gospodarce i przynosiła na wielkie święta czasami pół bochenka dłuższego chleba, czasami trochę słoniny. Ale jednak młodość była młodością i życie było życiem.

Rodzina wiejska składająca się z ojca patriarchy, matki nie było, ciotki starszej i jej trzech córek i dwóch synów jeszcze nieżonaty, pozostali już byli poza rodziną. Mieszkali przy samym szucpunkcie w odległości może 50, nawet 30 metrów, oddzielał tylko mały lasek. Ponieważ rodzina była zamożna, mieli sporo gruntów, prawdopodobnie niejedną krowę, więc Niemcy tam zaglądali w dość przyjaznej atmosferze po chleb, mleko, słoninę. Ci chłopcy też pracowali w siatce, przeprawialiśmy stale broń z Wilna do nich, od nich do Wilna. Uczyła się tam trochę strzelania, na szczęście nie było potrzebne praktykowanie tego na serio. W któreś święto, to była chyba Wielkanoc zebrali się młodzi. Były trzy panienki w domu. Był też ktoś z lasu, nie wiem, jeden czy więcej, narzeczony jednej z dziewcząt z lewymi dokumentami. Był patefon, tańczyliśmy tanga, walce, potem kolacja przy długim stole w kuchni. Podłoga z ziemi ale to nie przeszkadzało. Przy stole śpiewy, w pewnej chwili ktoś zechciał wyjść za róg domu. Wrócił - dom jest obstawiony. W takich przypadkach wiedzieliśmy czym to się kończy. Młodzież jest podejrzana, po prostu czekają rana bo jest noc. W nocy się nie poruszają. Z rana przyjedzie po nas ciężarówka żeby wywieźć na Ponary, tam gdzie było miejsce straceń, znane nam już ze słyszenia bardzo dobrze. Tańczyliśmy, jednocześnie szeptem przekazując sobie wiadomość, że jest tak jak jest i że zmówmy sobie Anioł Pański za swoją duszę, a mamy się bawić tak jakby nic nie zaszło. Taka była noc do rana. Z rana, o dziwo, straże zniknęły. Mogliśmy się normalnie pożegnać i rozejść do domów. Jak się okazało Niemcy wygadali się, prawdopodobnie znowu przychodząc tam po mleko czy po słoninę, że mieli informację, że tej nocy partyzantka szyko-

szukowała napad na szucpunkt. Ponieważ wiedzieli, że obok są młodzi, obstawili nasz dom, przypuszczając, że to będzie jakaś siła pomocnicza. Jeśli zauważyli by w lesie najmniejszy podejrzaný ruch, nas zarzuciliby granatami, po prostu. Dlaczego termin napadu został odłożony, tego nie wiem, ale faktem jest, że tej nicy nie się nie stał

W majątku, w odległości mniej więcej kilometra od naszego domku mieszkały panie warszawianki. Mężowie ich byli na wojnie. Miały one dzieci 5 - 6 lat i 14 - letniego chłopca, który z kolegą, który się tam ukrywa, należeli do siatki AK. Do tego majątku przychodzili Niemcy, szczególnie jeden oficer, oczywiście z jakąś swoją obstawą, żeby trochę odetchnąć atmosferą domu inteligentnego, kulturalnego, muzyką. Nieraz się zdarzało, że zjawiał się nagle w nocy, oświetlał rakieta dom, potem wchodził. Pani wstawała z pościeli, on się kładł do tej ciepłej pościeli w mundurze i miał wrażenie domu.

Tam też w święta zbieraliśmy się. Tam się tańczyło, były malusieńkie przyjęcia, byli młodzi mieszkańcy tego domu. Kiedyś w dzień świąteczny był tam Niemiec. Jeden z tych delikatnych kulturalnych, którzy czuli się zażenowani tym, że są w roli ciemiężców. Wówczas nie tańczyło się przy nim, ale ponieważ była muzyka, a wszyscy siedzieli bo to wszystko się nagle przerwało z jego wejściem, on poprosił do tańca jedną z pań właścicielek. Miał w ręku kieliszek z winem. Dla niego, w czasie wojny, to też był jakiś okrucieństwo, odetchnięcie innym powietrzem. Nagle synek tej pani, kilkuletni, zaczął strasznie płakać. Przyszła babcia, wzięła dziecko, zaczęła uspokajać. Niemiec pyta, dlaczego dziecko tak płacze. Na to babcia czystą niemiecką odpowiada - dlatego, że jego matka tańczy z niemieckim oficerem. Kieliszek wypadł z ręki. Rozbił się w drobny mak.

Kiedy Niemcy odchodzili, gdy już napierała armia radziecka, ten chłopak, właśnie 14 - letni synek^m najpierw chodził w płaszczu niemieckim, robiąc wrażenie, że jest wielkim przyjacielem, że oczywiście pójdzie z nimi. Potem zniknął i kiedy było zupełnie bezpiecznie, zjawiał się w domu. Potem był już w lesie w oddziale. Zdarzało się, że ci z lasu przez miesiące całe nie znali w ogóle dachu, nie znali domu, spalali w lesie, w stogach siana. Kiedyś opowiadali, że po przyjsciu do domu to nad ogniskiem z koszuli wytrzyssało się wszy.

Potem, po okresie niemieckiej okupacji, kiedy jechały pociągi wciąż i wciąż pełne bomb, po raz pierwszy się widziało te straszne, śmiercionośne, rzeczywiście olbrzymie cielska.

Weszła armia radziecka. To było wejście nie armii, to było przeciąganie szosą, która była niedaleko przed płkami naszego domku, szkieletów koni. Na końskich szkieletach siedzieli wychudzeni ludzie. To była wówczas armia i ona przecież zwyciężała.

Kiedys jedliśmy przy stole obiad przy otwartym oknie. Na obiad każdy miał łyżkę rozgotowanych kartofli i pół szklanki mleka. W oknie, zasłaniając całe okno, stanęła postać wojca, żołnierza rosyjskiego. Pochylił się, by przez okno powiedzieć "mat radnaja, ja troje sutok nie jeł, matko rodzona, ja trzy doby nie jadłem". Mama wzięła swój talerzyk i swoje mleko, oddała mu. Wypił jeszcze dwa kubki wody i poszedł.

Kiedys, znacznie później, przyszło uświadomienie, że spełniło się nasze dziewczęce, jakże piękne patriotycznie ale przerażające bezmyślnością pragnienie. Spacerowałyśmy jak zwykle naszą paczką ulicami Wilna dyskutując o wszystkim. W pewnym momencie, to pamiętam jak dziś, na wzgórku Wielkiej Pohulanki, koło pięknej cerkwi, zapytała jedna z nas, ile chciałabyś mieć teraz lat? Odpowiedź była jednakowa u wszystkich. Osiemnaście i żeby była wojna. Widziałyśmy siebie w roli sanitariuszek na polu bitwy.

A więc byłam nie sanitariuszką lecz łączniczką. Po śmierci babci i mamy byłam ciągle w drodze zatrzymując się czasami na krótko w domu. Tatuś nie pytał nigdy dokąd idę, co robię. Naturalna była moja nieobecność, naturalna jego postawa żeby nie wiedzieć. Kursowałam między terenem i Wilnem. Chodziłam po pięknej ziemi wileńszczyzny. Piękna. Łąki rozkwiecione, zagajniki malutkie z przeświecającym przez nie słońcem. W małych dolinkach złoto kaczeńców wiosną. Latem polany czerwieniejące od poziomek. Nie brało się ani jednej żeby nie tracić cennego czasu, idąc, idąc, idąc przed siebie. W głębokich, okrągłych wpadzinach malutkie jeziora ze lśniącymi niewypowiedzianym pięknem, białymi gwiazdami nenufarów. W świetle księżyca przeprawa promem przez cichą, jakby śpiącą rzekę. A na drugim brzegu kościół z czerwonej cegły w białych obłokach kwitnącej czeremchy i gdzieś z wąwozu

unoszący się cienki dymek. Tam chłopcy, z miejscowym księdzem, swoje sprawy podziemne omawiali. Lasy, przez które się szło znajomymi ścieżkami o każdej porze nocy i przy każdej pogodzie. Zboża falujące na polach przetykane makami, bławatkami. Ścieżki zbiegające w dół do strumyków, a potem wspinające się na niskie pagórki. Wykręcanie ubrań po ulewie. Drogi, drogi, drogi. Wilia płynąca zakrętami wśród zieloności drzew. Ziemia, gdzie stuletnie dęby, lipy, plaże małe z najczystszej piasku, z trzciniami i złotymi gwiazdkami żółtych lilii wodnych w małych zatoczkach. To chyba wówczas na terenach naszych powstała pieśń.:

"Każdy ciebie jak własność swą targa,
ziemio nasza męczeńska, kresowa.
My wbrew gniewom, namowom i targom
chcemy Polsce wierności dochować.
W wolnej Polsce zrodzone my dzieci
lat młodzieńczych dobiegli w niewoli.
Od warsztatu, od książki, od roli
idziem walczyć o wolność po świecie.
Szumią sosny i jodły nad głową
i szeleści słomą wiejska chata.
Co dzień badać musimy na nowo
czy w nas wroga zobaczą czy brata.
Rosną polne i leśne mogiły,
rośnie krzywda paląca, wiekowa.
Ale nasze wzrastają też ~~ezyny~~ siły,
rośnie Armia Podziemna Krajowa.
Przyjdzie czas kiedy wyjdzie z ukrycia,
rozproszonych zgromadzi żołnierzy,
uciśnionym da prawo do życia,
sprawiedliwość każdemu wymierzy.
Przyjdzie czas, kiedy zbierzem się razem
z Kazachstanu i z Tajgi wyrwani,
w wolnym Wilnie przed świętym obrazem
złożyć hołd naszej Matce i Pani.
Nie rońcie po nas łez, co noc czekajcie nas,
a gdy nadejdzie świt, schronienie da nam ciemny las.
Więc naprzód w mroczną głąsz, wiemy, że chceć do móc.
Nic to, że straszny wróg. Zwycięstwo da nam niebios wódz.

Jeszcze w czasie niemieckiej okupacji, chłopak z miejscowości gó gdzie mieszkaliśmy w czasie wojny, kilkunastoletnią wdowę, biednej kobiety, zaczął zbierać chłopców wokół siebie. Poszedł do lasu. Przyjął pseudonim "Edek". Zdobywał broń na Niemcach. Grupa rosła. Potem bolszewicy dawali za jego głowę żywą czy martwą 50.000 rubli. Ktoś słyszał taką rozmowę siedząc w piwnicy pod podłogą, słuchając zabronionego wówczas radia, kiedy w tej chacie stacjonowali radzieccy żołnierze. Jak stwierdził potem któryś z oficerów polskich, chłopak ten miał prawdziwy talent taktyka. Ale chodziła o nim niezbyt dobra fama, co zresztą w tej pieśni jest: "co dzień badać musimy na nowo, czy w nas wroga zobaczą czy brata.." Chyba grupy były różne, nie tylko AKowskie, może takie jak jego spontaniczne, może nawet nie związane z żadną organizacją. Tego nie jestem pewna. W każdym razie pewnego dnia przyszedł wyrok z Wilna - kara śmierci na nim za rozboj. Ponieważ tę informację otrzymałam od oficera, z którym się kontaktowałam jako łączniczka. Znając tego chłopca poręczyłam za niego swoją głowę i musiałam tylko zebrać dowody na jego niewinność. Więc chodziłam po jego śladach od wsi do wsi zbierając informacje o nim. Rzeczywiście nie było żadnych przestępstw na jego rachunku. Był nawet przypadek, kiedy jeden z chłopców, który jednak popełnił coś, może niejedyn raz z rozboju, został właśnie przez tego zastrzelony na oczach wszystkich.

Jego historia skończyła się dramatycznie. Ponieważ jego oddział liczył 50 osób, to już się tylko słyszało, ktoś z wieśniaków wydał ich bolszewikom. W nocy kiedy spali, dość rozluźnieni, odpoczywali, zostali wystrzelani na łodzie jakiegoś jeziora. Zostało ich podobno 5. Spotkałam go jeszcze raz w Wilnie. Może kilkanaście minut przed moim aresztem, w cichej, małej uliczce, tak niefrasobliwie, jak młodość tylko może się zachować. Mówił swobodnie, że ma lewy dokument, na jakie nazwisko. Potem się rozstaliśmy, i wkrótce ja miałam już swoją przygodę. Natomiast słyszałam później, że go złapano. Więc jakie były jego dalsze losy trudno cokolwiek przypuszczać, czy myśleć. Nic nie słyszałam.

Drogi zimowe prowadziły czasami przez odległe miejscowości. Jeden taki przypadek był, kiedy otrzymałam wiadomość, że do pobliskiej wsi

gdzie się znajduje lekarz, ma być przywieziony ranny chłopiec z oddziału, ale tam szykuje się już zasadzka. Miałam pójść i zawiadomić chłopców żeby nie zjawili się u lekarza. Daleko od domu już byłam. Zbliżał się koniec dnia. Przez Wilię, wzdłuż jej części już pokrytej lodem zgodził się przewieźć mnie jakiś wieśniak. Otrzymałam kierunek gdzie mogą być chłopcy. Wsiadłam z łodzi. Przede mną było białe pole pokryte wysokim śniegiem i nic więcej. Zaczynała się zmierzchać. Szłam przed siebie w mniej więcej wyznaczonym kierunku i nagle widzę w bardzo dużej odległości, na szczycie pagórka pięć męskich postaci w takim równym szyku jeden za drugim, posuwających się do przodu i z karabinami na plecach. Więc to oni. Biegnę, śmiejąc po kolana, żeby im przeciąć drogę. Pot ścieka strumieniami, zdaje się, że serce pęknie z wysiłku. Zauważają mnie, zbliżają się, no bo krzyczę, wołam. Podchodzę do nich, oni do mnie. Na ich czapkach widzę pięcioramienne gwiazdy. Nie wierząc jeszcze własnym oczom zaczynam tłumaczyć się, że ktoś mnie gonił. Wierzą, czy nie wierzą, nie wiem. Jeden tylko z nich mówi: teraz będziesz nas prowadzić do kolei żelaznej. No rozumiem - dezertery - w myśli opowieść, niezbyt przyjemna, o takim spotkaniu łączniczki z dezertarami, niestety tragicznym. No, ale kolej jest za rzeką. Rzeka w tym miejscu jest zupełnie pod lodem tylko przy brzegach są takie ciemne, czarne plamy wody. Żadnej wsi. Idziemy wzdłuż brzegu w poszukiwaniu jakiegokolwiek siedziwy człowieka, który mógłby nas przeprowadzić. Jest maleńka chatka. Taka, jak tylko można sobie wyobrazić albo narysować w dziecięcej książce. W pustym zupełnie miejscu na brzegu, może tam są wierzby, śnieg. Pukam do chatki, stukam, pukam, walę z całych sił, tracę już nadzieję. Nagle słychać jakiś zgrzyt, otwierają się drzwi i na progu staje postać kobiety starej, wychudłej, w takich łachmanach, jak tylko można starać się narysować sobie czy wyobrazić, w zwisających strzępach ubrania. Pytam oczywiście po polsku, ona przecież widzi Rosjan koło mnie: gdzie tutaj jest przejście przez rzekę. Ona pokazuje mi ręką, wychudłą, gołą, w kierunku rzeki, tam, a w oczach taka straszna pogarda dla mnie. I skryła się w chatce, jakiś rygiel szczęknął, zostaliśmy sami. Trzeba było iść dalej. Przypominam sobie zasady przechodzenia po zamrożniętej wodzie. Mówię, za mną, w odległościach

równomiernych, mniej więcej dwa metry, równym krokiem, nie za szybko, nie za wolno. Znajduję jakieś bielejące pasmo lodu od brzegu do brzegu. Szczęśliwie docieramy na drugi brzeg. Pokazuję ręką w kierunku gdzie jest kolej żelazna i wtedy mogę już iść sobie gdzieś w inną stronę. Miałam dobry zmysł kierunku, do domu mogłam trafić. Była już noc, ale okropność, chłopcy są niezawiadomieni. Na szczęście zawiadomili ich w inny sposób.

Wiejskie rodziny, do których chodziłam z informacjami o ich młodych ludziach /krewnych/, którzy byli w oddziałach, nosząc czasami już potem liściki, albo też jakieś informacje potrzebne od nich, to byli wspaniali ludzie. Nie wiem czy wszyscy byli tacy, ale ci, z którymi się stykałam, to byli takimi z ludzkim sercem, ciepłi, naturalnie prości. Jeden taki przykład. W pewnej rodzinie zabito młodzieńkiego syna w oddziale. Trup leżał na placu w środku Wsi przez kilka dni, dla postrachu, a matka przyjmowała nadal chłopców z lasu, jak swoje dzieci. A młodsza jej córka też w tym pomagała. Nosila do lasu jedzenie, podpisywała się na śniegu "Olimpia". Nie widziałam u matki uczucia rozpacz, tragedii czy pretensji do kogokolwiek. Syn poległ w walce za ojczyznę jak tylu innych synów, jakby to było naturalne. Byli też Polacy zdrajcy. Jeden znany był w okolicy. Nie znam go osobiście i nie znałam, tylko o tym słyszała się. Kiedyś idąc swoją ścieżką z pagórka widziałam ciągnące drogą wozy, sznur wozów z ENKAWuDzistami, na pierwszym jechał właśnie taki człowiek, prowadząc ich. Słyszałam, że został w końcu zgłodzony i że jego trup leżał niepochowany na rozstaju dróg. Od matki jednego z partyzantów słyszałam, że zdrajcę obdzierano żywcem ze skóry, ale konkretny przykład nie był podany. Mówiła też ona, że w^eśniakom, którzy biorą od bolszewików ziemię z rozpałcelowanych majątków, nacierają siedzenie tarką, posypują solą i pieprzem i ci umierają w strasznych mękach. Ta wiadomość powtórzyła się też w drukowanym jakimś zapis~~ie~~ie niedawno spotkanym.

Był już lipiec 1945 roku. Wojna się skończyła. Praca łączniczki była jednak wciąż potrzebna, bo chłopców przeprowadzano z lasu do Polski, różnymi kanałami oczywiście. Mój komendant przeprowadził już 4 dwie grupy przez zieloną granicę. Po powrocie przywiózł trójką i

listów do rodzin tamtych chłopców. Roznosiłam je po terenie, po sprawdzeniu, czy nie zawierały one niepotrzebnych informacji. Otrzymałam propozycję wyjazdu do Polski. Odmówiłam, ponieważ nasi chłopcy byli jeszcze w lesie.

Zachodząc do domu brat mi już mówił, że bywali jacyś Rosjanie sowieccy. Raz pytali go o jego brata, powiedział, że nie ma brata. Innego dnia, kilku w wyzionych mundurach radzieckich, dyskretnie obstawili domek, przejrżeli momentalnie wszystkie pokoje, poprosił ktoś o wodę i poszli sobie. I jeszcze raz byli.

W ostatnich dniach czy tygodniach, otrzymywałam już jakąś małą dietę na wyżywienie, kiedy byłam w Wilnie, gdzie musiałam^m coś sobie kupić do jedzenia. Tam niejedna z Wilnianek na pewno utrzymywała się z tego, że robiła tzw. babki kartoflane. Malusieńkie, na małej patelni, takie grube placki. Oczywiście, wtedy to dodawało siły.

Było to 26 lipca, po noclegu w swoim domu, tam w Orwidowie. Tatuś wówczas już dyżurował na żwirowni we dnie. Wychodził wcześniej na swój dyżur niż ja do pracy i czemuś, zupełnie nie wiadomo, powrócił. Wrócił, jeszcze raz się pożegnał ze mną, po raz drugi. Wyszedł, zawrócił, pokręcił się koło uli i podszedł do mnie, pożegnał się po raz trzeci. Poszedł. Ja pojechałam do Wilna. Tam, ponieważ musiałam coś zjeść, zaszłam pod hale. To są duże hale, były, może są jeszcze, niedaleko dworca, gdzie był rodzaj nie tyle zajazdu co jadłodajnia. Odbywała się tam sprzedaż różnych towarów przywiezionych ze wsi. Siadłam wówczas na ławeczce przy stole, zaczęłam coś jeść. Ktoś za mną stanął. Czułam, że wysoki mężczyzna. ~~Łąka~~ Ręka jego zwisająca wzdłuż tułowia, widoczna była takim bocznym spojrzeniem w dół. To było dziwne. Ta ręka była ręką zwyrodnialca. Nie odwracałam głowy. Jadłam po woli. W końcu ten człowiek znikł. Wyszłam. Ktoś czekał na mnie. Jakiś mężczyzna. Widać było, że zaczął za mną iść. Poszłam w kierunku Ostrej Bramy, żeby tam pod Ostrą Bramą skręcić w lewo, już do centrum miasta. Zatrzymywałam się, robiłam wrażenie, że mi coś pękło w sandałku. Stałam przed jakąś witryną. W końcu przed Ostrą Bramą, z lewej strony było wejście, z prawej leżała kupa gruzu po jakimś zbombardowanym budynkówu. Wówczas skręciłam w lewo, chociaż człowiek ten mógł ukryć się w gruzach i obserwować ale nie spostrzegłam żeby poszedł za mną. Właściwie to było tak, że najpierw docze-

kałam się aż on poszedł w prawo i wówczas dopiero poszłam w lewo, oczywiście oglądając się dyskretnie za siebie. Nie zauważyłam żeby on szedł za mną. Całutki dzień chodziłam załatwiając potrzebne sprawy. Po południu byłam już za Wilią i schodziłam ze wzgórzka uliczką wąziutką, cichutką. Spotkałam tam Edka. Potem szłam dalej zupełnie pustą, maleńką uliczką i w pewnej chwili, nagle nie wiadomo skąd, spoziemi, czy z bramy rozległy się kroki dwóch mężczyzn idących bardzo szybko za mną i u wylotu tej uliczki, już prawie przed mostem nad Wilią podeszło do mnie dwóch. Jeden wojskowy, ale bez żadnych oznak na naramiennikach, drugi w cywilu. Poprosili o dokumenty. Miałam ten dokument jaki miałam i po okazaniu prosili przeliterować nazwisko, ~~poweł~~ czy dosłownie jest to moje nazwisko. I po chwili - pójdziemy. Poszliśmy w lewo na most przez Wilię. Jeden z lewej, drugi z prawej koło mnie. Widziałam jak bacznie, znów boczny spojrzaniem, śledzili znów mnie. Na szczęście miałam narzucony na ramiona letni płaszcz, pod pachą miałam torebkę, taką damską z płótna z podszewką. Podszewka była w jednym miejscu lekko podpruta i tam był wsunięty spis, o ile pamiętam, około 10 danych personalnych na lewe dokumenty i mała fotografia, też na taki dokument. Idąc przez Wilię była myśl, wrzucić do Wilii, ale po pierwsze, chwyciłby mnie szybciej za rękę, ten co był z prawej strony od balustrady, a po drugie, z wody też można było to wyłowić. Więc nie. Idziemy powoli. Jest popołudnie już po zachodzie słońca, przed zmrokiem, jeszcze niebo jest jasne./Mijamy/ bardzo wielu ludzi, już nie spieszących, po pracy. Jest cudowny lipcowy dzień. Jeden z nich mówi, chyba po polsku, proszę patrzeć na swoje Wilno, pani je widzi po raz ostatni. Idziemy dalej, okazuje się, że do gmachu Sądu Głównego przy ul. Mickiewicza. Wchodzimy przez główne drzwi. Jeden z przodu, drugi z tyłu za mną. Wejście jest wąskie. W tym czasie, pod płaszczem zza podszewki wyjmuję tę kartkę i fotografię i wkładam je do ust. Ale niestety to się nie da przełknąć. Już przesuwamy się do przodu, jakieś kilka stopni i w lewo jest duży pokój. W końcu pokoju pod oknem stoi biurko. Ci moi stóże jakoś się spieszyli, zaczynają się kręcić. Ktoś poszedł kogoś szukać. Ja idę sobie spokojnie do biurka, wyjmuję z ust wszystko, skręcam w rulonik, no i połykam. Staję przed tym biurkiem spokojna bo już swobod-

na i czysta. Teraz, po zapisach, po zarejestrowaniu kogo przyprowadzili, zaprowadzono mnie do jakiegoś pokoju i tutaj zaczęło się oglądanie torebki. W torebce był notes ale bez żadnych niepotrzebnych informacji. Nie dostrzegli na grzbiecie notesu pisanych takich machaniem jaki moje oczy widziały a ich nie, pewnych danych, nie kompromitujących, ale potrzebnych do pracy. Zabrali mi złoty zegarek, który miałam ze sobą na wszelki wypadek wzięty do Wilna, bo może trzeba będzie czy sprzedać czy kogoś wyręczyć. Dali mi pokwitowanie, wiedziałam, że niepotrzebnie, że więcej go nie zobaczę. Był pamiątkowy, ale to nie ważne. No i póki siedziałam, oczywiście nie sama, przyszedł do mnie ten człowiek w cywilu, który ^{mnie} nie aresztował. Zaczął ze mną rozmawiać po polsku. Podał swoje imię i nazwisko, którego nie podaję nigdzie nikomu, ponieważ to nazwisko zdarza się w innych rodzinach, by w żaden sposób nie kojarzono sobie z jego pozycją tam. Mówił, że pracuje właśnie w ten sposób i wie, że czeka go kula z za pierwszego węgla, gdzie tylko uda się podziemu zgładzić go. Mówił to z jakimś uśmiechem, nie wiem, naturalnym nie, cynicznym też nie, żalonym też nie. W tej chwili może nie pamiętam, a może to było nie określone. Ręka była jego, ręce obie to były ręce zwyrodnialca. Powiedział mi, byłem u pani ojca i on nie wiedział komu wodę podawał. To by się zgadzała z tym, co ręce mówiły.

Zauważyłam, że radzieccy śledczy odnosili się do niego z najwyższą pogardą i nie podawali jemu ręki.

Póki siedziałam tam, przychodzili do tego pokoju różni, widać było, że śledczy, w każdym razie wojskowi, przyglądając mi się z ciekawością. Wiedziano więc kogo złapano. Kogo? Oczywiście jakąś łączniczką, taką maleńką, ale tylko tyle, że mieli to w planach, więc wiedzieli, że znowu ktoś wpadł.

Jeden ze śledczych, czy właściwie tych, którzy się tam pojawili, w rozmowie takiej z uśmiechem, chyba po rosyjsku, ale rozumiałam na pewno to, co teraz przekazuję. Powiedział do mnie: "my was nie zabijemy, my was pošlemy tam, gdzie zechcecie umrzeć ale nie będziecie mogli". To nie było mówione ze złością czy nienawiścią czy sadyzmem. To było naturalne przekonanie człowieka, który był informowany przez ideologię, że wrógów się niszczy bezpardonowo nie zwracając uwagi na cierpienia czy na losy tych, których dotyczy niszczenie. Potem,

Po zapytaniu czy moje włosy są naturalne itd, tzn, czy mam jakieś sztuczne oznaki na sobie, zostałam wprowadzona do innego pokoju, gdzie gdzie za biurkiem siedział rosyjski śledczy, jak sądziłam. Potem dowiedziałam się jego nazwiska - Borowikow- ale to był pseudonim, jak później ktoś mi powiedział. Wysoki, surowy. Zaczął zadawać mi pytania. Rozumiałam te pytania, chociaż nie wszystkie słowa rosyjskie wówczas znałam. Trochę uczyłam się rosyjskiego w szkole, trochę z tych rosyjskich roamansów, które śpiewali rodzice. Mieliśmy także przyjaciół Rosjan nad granicą rosyjską, jeszcze przed wojną, gdzieśmy niejedno lato spędzili. Więc się osłuchiłam. Na jego pytania miałam odpowiedzieć teraz może to będzie wyglądało sztucznie, trochę teatralnie, ale tak to teraz wygląda, wtedy to było moją naturalną postawą. Miałam trzy odpowiedzi: "Niet, nie znaju i horoszo". Na pytanie konkretne mówiłam "net" albo "nie znaju", a na groźby "ehoroszo". Czemu tak było, to nie była fanfaronada, nie jakaś duma, pycha czy jakaś specjalna siła charakteru. Tego nie potrafię wytłumaczyć. To było zwyczajne, naturalne.

Wyciągnął z szuflady biurka gumę na łańcuszku z żelazną kulką, walił tą gumą w biurko. Obiecywał, po rosyjsku, co on ze mną zrobi i ciągle w tych swoich mocnych słowach, wymawiał słowo "mat". Ja nie rozumiałam, czy on mówi o swojej matce, czy o mojej. Podszedł potem do mnie uderzył mnie w twarz. To jest nie do opisania. To jest bardzo dziwne przeżycie, jedno z najcięższych, przypuszczam, moralnie, jakie może być, a może najcięższe.

Potem jeszcze drugie przeżycie tak moralnie ciężkie było w obozie na północy, w pracy w cegielni. Kiedy wyładowywałyśmy, często nocą, cegły z pieców, gdy były wypalone. Piece po lekkim ostudzeniu otwierano i wówczas nam na plecy wkładano tzw. kozły drewniane i przyczepiano do ramion. Na te kozły wkładano ileś cegieł, kilka to było ale człowiek się zginał wciąż niżej, prawie do prostym kątem. Trzeba było donosić te cegły do wagonu stojącego na linii kolejowej, niedaleko. To ciekawe, że takie wkładanie na kozły na plecach cegieł, to było w moim odczuciu, podobne do uczucia policzkowania. Nie wiem czemu. Znowu podszedł do mnie, jeszcze dwa razy uderzył mnie po twarzy, przestałam odpowiadać. No i w końcu ta jego rozmowa się skończyła. Już za-

padł wieczór, on wyszedł. Przyszła kobieta, młoda z czarnymi włosami, jak sądziłam, Żydówka w przezroczystej czerwonej sukni na nagim ciele. Zaczęła mnie namawiać po macierzyńsku, że nie trzeba kłamać, że wszystko może być dobrze, że nie mogę swego życia przecież zmarnować. Nic to nie dało.

W tym pokoju stała malusieńka kuszетка, taka dziecinną, z kilkoma książkami w jednym końcu. Pozwolono mi się tam położyć. Położyłam się z książkami pod głową, zamknęłam oczy. Wchodzi Borowikow z jeszcze jakimś śledczym i patrząc na mnie wypowiada, to taki komplement, może to trochę śmiesznie znowu to przypominać teraz ale pewne szczegóły zapadały w pamięci na całe życie: "czto eta czertowka tak spokojno i słodko spit", co ta diablica tak spokojnie i słodko śpi. Poleciał temu drugiemu śledczemu, że by następnego dnia wyciągnął ze mnie moje spotkanie z matką Kotki, gdzieś tam na jakiejś ulicy. Ten drugi patrzył w stół, widać było, w twarzy, absolutny brak chęci do wykonania rozkazu.

Kiedys policzyłam wszystkich śledczych, którzy wówczas, w czasach więziennych, przewinęli się. Było ich dziewięciu. Prawdopodobnie wyglądałam wówczas tak młodo, ogromne, brązowe loki na ramionach, ładna byłam, więc chyba nie mieli serca by pastwić się nade mną. Więc ciągle jeden drugiemu mnie przekazywał.

Na noc oni odeszli, ale przedtem przyszedł żołnierz. Młodziutki żołnierz z bronią. Usiadł przy biurku patrząc na mnie z leciuteńkim uśmiechem żalności. Bardzo, bardzo delikatny. Bardzo był młody.

później, po 4 miesiącach więzienia, kiedy prowadzono nas już do pociągu, on też stał na ulicy pod tym gmachem i tam właśnie z takim samym uśmiechem patrzył na mnie. Ale to już było później.

Z rana przyszedł inny śledczy. Kolejne pytania, gdzie byłam, co robiłam. A przede wszystkim było jeszcze śniadanie. Przyniesiono i mnie i temu śledczemu po talerzyku - bułeczka, masło, zdaje się kotlet zimny i haerbata.

Cały dzień następny to były rozmowy z kolejnymi śledczymi. Oczywiście namawianie, jeśli będę im pomagać, inni tak zrobili, będę wolna, życie przede mną. To jeszcze nie było wypytywanie, tylko skłanianie żeby zaczęła mówić o tym, jak, gdzie i z kým pracowałam. Moja gatka, moja bajka była taka, tak mnie wcześniej poinformowano, że na wsi

ulicę Mickiewicza, potem przez pusty Plac Łukiski. i zaraz tam było więzienie. Wiem, że szedł za mną i miałam wrażenie, że ma broń. Przed więzieniem były ogromne zwały gruzów - myśl, by skoczyć w te gruzy. Ciemno, on sam tylko za mną, może by nie postrzelił. Ale nie było żadnego impulsu żeby uciekać. Zresztą nie było też może odwagi a może jakiejś intuicyjnej możliwości, że to coś mi da.

No i brama. Wielka, ogromna, żelazna brama. Brzęk tej żelaznej bramy, doświadczenie, pierwsze obserwacje, tyle razy czytany fakt w powieściach czy innych opisach i zatrzasnęła się gdyśmy przez nią przeszli z głośnym, głośnym dźwiękiem. Zostałam wprowadzona do innego świata, innego życia. Drzwi wejściowe do następnego budynku, jak mi się teraz wydaje, z ogromnym, okrągłym holem. Ale może już mi pamięć nie służy. Pierwsze spostrzeżenie, w holu, niedaleko wejścia, siedzi na ławce mężczyzna w mundurze, tak mi się zdawało, wojska polskiego. Ktoś potem mi powiedział, że to był "Wilk". Nie wiem bo wtedy już słyszałam o dwóch z pseudonimem "Wilk". Ten ktoś był zdenerwowany, rzucał się na ławce, wykrzykiwał, coś mówił.

Ten hol był przez wszystkie piętra do samego sufitu, a dookoła szły galerie, czy też może z dwóch stron, jeśli to było prostokątne, wiszące jak gdyby w powietrzu, z których prowadziły drzwi do cel. Drzwi, drzwi, drzwi. Wówczas, abyła już noc, wprowadzono mnie do jednej z cel. Ciemność była absolutna. Zatrzaśnięto drzwi. Jakiś głos kobiety: proszę tutaj, tu na podłodze jest siennik, zmieścimy się razem. I tak obok kobiety, której nie mogłam zobaczyć spędziłam noc. Z rana rozwidniło się, wilczek ciągle się otwierał, ktoś zaglądał przez niego. Kolacji nie było, śniadania nie ma. Jakiś kawałek chleba zostawił ktoś kto odszedł stamtąd. Dano mi w miszkę trochę wody ciepłej, ta woda cuchnęła gotowanym śledziem ale to było jedyne, co tam można było wówczas zjeść.

Po jakimś czasie, czy się ta cela zapełniła, czy przeprowadzono mnie do jakiejś innej, chyba przeprowadzono mnie do jakiejś innej. Była to cela pojedyncza zapełniona całkowicie. W nocy to spało się na podłodze jak śledzie. W kącie była parasza, taka słynna metalowa beczka do załatwiania się i wysoko gdzieś okienko. Kąt był czerwony od pluskiew. Było gorąco.

ktoś do mnie przyszedł, zapytał, czy nie chciałabym pomagać w konspiracji. Owszem tak, zgodziłam się. Spotykamy się czasami z kimś według jakiegoś znaku umownego na ulicy, czy w kościele, czy jeszcze inaczej. Cały czas to samo powtarzałam. Wiedziałam, że można podawać adresy osób, które wyjechały już do Polski. To może nie było solidne, bo w przypadku sprawdzania mogli być pociągnięci do odpowiedzialności. Okazało się, że to ich nie interesuje, bo w pewnym momencie mówiłam, że mogę podać pewne adresy gdzie bywałam. To ich zupełnie nie interesowało. Wiedzieli widocznie, że to nie o to chodzi. Pokazywali mi i czytali rzekomy list od mego komendanta, który jest aresztowany i namawia aby wszystko mówić. Czułam, że to nieprawda, a wcześniej byłam poinformowana żeby nie wierzyć żadnym czytany listom, zeznaniom rzekomych znajomych ^{osób} z podziemia. Więc mnie to absolutnie nie poruszyło. Komendant nie był w tym czasie jeszcze aresztowany. Były inne argumenty, to grzech kłamać, szkoda sobie sumienie obciążać itd.

W pewnym momencie popełniłam błąd, który nie miał prawdopodobnie żadnych konsekwencji, kiedy była mowa o pewnej ulicy, a przecież śledczy mówił, że przecież pani była na tej ulicy. A ponieważ wiedziałam że na tej ulicy rzeczywiście domek, który był miejscem specjalnym, szczególnie obserwowanym od dość dawna. Pomyślałam, że jeśli powiem że nie byłam, to podważy to wiarygodność moich poprzednich bajan. Odpowiedziałam, ~~nie~~ ^{no} tak, byłam.

Była wielka radość tego śledczego, a ale nie było żadnych pytań, żadnych nazwisk, żadnych adresów. Przypuszczam, że on chyba w ten sposób osiągnął jakieś zwycięstwo, zresztą to później na myśl mi przyszło, że ma ten owoc swojej pracy śledczej, że ma dowód, że ja do organizacji należałam.

Potem w południe, tak jak śniadanie, przyniesiono mi obiad. Bułka z masłem, kotlet i herbata. Śledczy też jadł obserwując wnikliwie i z całą ciekawością mnie - łączniczkę, którą mieli już u siebie.

Wieczorem, kiedy zapadła całkowita ciemność, przyszedł żołnierz i zaprowadził mnie na łukiszki. Żołnierz czy oficer tego nie wiem ale wojskowy.

Nie pamiętam zupełnie w jaki sposób to się odbywało. Czy miał on wysunięty pistolet czy w kieszeni, bo jednak trzeba było przejść przez

Na razie nie było wezwań na doprosy, czyli na badania. Życie więzienne płynęło po prostu dzień po dniu. To były kobiety inteligentne, niektóre może były też ze wsi. Polki. Nie pamiętam kogokolwiek innego, Wyprowadzano nas, nie pamiętam już co jaki czas na spacer do klatki. Klatki to to cztery ściany, jedno tylko wejście po stopniach w dół tej klatki. Tam się troszeczkę w kołeczko, a może i nie w kołeczko pospacerowało. Nad głową było niebo. Na ścianach były wypisane wydrapane przeróżne napisy. Nawet plan Łukiszek. Tego oczywiście nie zapamiętałam, chociaż starałam się zapamiętać. Życie więzienne płynęło. Wiedziałyśmy, że nad nami siedzieli mężczyźni. Do nich też czasem /z piętra/ kursowały jakieś malusienieczkie zupełnie paczuszki z jakimiś tekstami, czy może z czymś do palenia. Nie wiem.

Żywnienie. Zupa była z odpadów grochu na głowach śledzi, woda, ełk chleb. Ktoś otrzymywał jakieś paczki, czy też może maleńkie przesyłki ze słoniną i cebulą. To dzieliło się na wszystkie, po maleńkim kawałeczku. To było bardzo smakowite.

Jedna z pań uszyła sobie bluzkę z obszycia paczki, ciekawe, że kłojoną kawałkiem szkła, które było pieczołowicie przechowywane w jakimś kącie. Bluzka była szyta rybią 0ścią nawlekaną nitką wyciąganą z tego materiału. Czyli powtarzała się historia z bardzo dalekiej przeszłości. Wieczorami odbywała się modlitwa wieczorna, czasami głośna, jeśli zaborniona - to cicha.

To była bytowa strona życia w celi. Zakończenie tej strony bytowej. Ponieważ ludzie są ludźmi, a Polki mają fantazję, więc któregoś dnia urządzony był koncert, kto z czym mógł wystąpił przed obecnymi. Jedna z pań coś deklamowała. Jedna mogła zaśpiewać hiszpańską piosenkę więc została ubrana odpowiednio. Ktoś z obecnych miał płachtę czerwoną służącą jako prześcieradło. Z tej płachty była wspaniała spódnica. Z kolorowych biustonoszy zebranych od wszystkich pań - pęk wspaniałych róż przy gorsie i jeszcze jakiś czarny stroik na głowie. Ostatni numer programu to była deklamacja zakończenia utworu Konopnickiej "Pan Balcer w Brazylii" mówiącego o przepięknym powrocie wygnańców do ojczyzny, do pięknej, odradzającej się w blaszkach słońca ojczyzny. Ten wiersz ja znałam na pamięć ze szkoły. Ubrano mnie w jakąś wiejską sukieneczkę, zrobiono dużą kokardę we wło-

sach. Po skończonym koncercie otworzyły się z wielkim szczękiem drzwi. Wpadł śledczy. Ponieważ kokardę udało mi się schować za siebie, a cały strój hiszpanki mówił o przestępstwie, została ona odstawiona do karceru.

Te panie, które znały rzeczywistość więzienną znały sposób wydobywania z karceru. Kiedy przyniesiono obiad rozpoczęłyśmy głodówkę. To podziałało błyskawicznie i piorunująco. Hiszpanka triumfalnie wróciła do celi.

Była też inna stonarona dwumiesięcznego mego życia na Łukiszkach. To były szczególnie wieczorne krzyki. To były właściwie trzy słyszane w tamtych czasie. Jeden to był męski, długimi minutami ciągnący się w nieskończoność ojej, ojej. Któregoś innego dnia to było: o Jezu, też ciągnące się w nieskończoność - to byli bici.

I potem było najstraszniejsze, chociaż inne zupełnie, kobiecy głos, z innego skrzydła Łukiszek: "Dzieci moje" - to była chyba choroba psychiczna, czy szok. To trwało godzinami, ^{bez przerwy} tragiczny krzyk, do ochrypnięcia. Po przerwie zaczynało się od początku. To trwało ileś dni nie pamiętam dokładnie ile. I jeśli by trwało to dłużej, to chyba dostaliśmy pomieszania zmysłów.

Potem widocznie zmieniła się część więźniarek, czy też może byłam w innej celi, przybyła grupa Żydówek. Historia przez nie opowiedziana była taka. Ponieważ Żydzi czynili starania o wyjazd do Palestyny ze swoją majątkością, która była zapewne niemała, zrobiono taki straszny manewr. Jednego z Żydów zmuszono, można przypuścić jakimi środkami, do tego by napisał rzekomy list z Palestyny, że przyjechał że wszystko jest dobrze, że czeka na pozostałych. Może bardziej była skomplikowana cała ta prozedura. W każdym razie kolejni Żydzi wsiadali z całym dobytkiem do samolotu. Samolot krążył nad Wilnem, potem lądował. Po wylądowaniu wkładano wszystkim worki na głowy i odwożono na Łukiszki. Tak realacjonuję to co słyszałam i pamiętam. W celi, w której byłam, bardzo sędziwa Żydówka umierała na chorobę serca. Tak jak niegdyś umierała moja mama w Orwidowie. Na kołdrze, na podłodze. I to też było do granic nerwowych wytrzymałości. Potem widocznie byłam przeniesiona gdzie indziej.

Po dwóch miesiącach pobytu na Łukiszkach znów znalazłam się w gmachu Sądu Wielkiego czy Głównego. Wprowadzono mnie innym wejściem, nie od ulicy Mickiewicza i do innego pomieszczenia pod parterem. Tam był korytarz, łamany mocno z zakrętami. Strażnik, który mnie prowadził, przed każdym zakrętem gwizdał. Jeśli nie było odpowiedzi-gwizdka, to znaczyło, że dalszy odcinek był wolny. Jeśli nie, to po jakimś czasie szliśmy dalej, z tym, że więzieⁿ, prowadzony przez innego strażnika musiał stać twarzą do ściany żeby nie widział nowego przybysza. Wprowadzono mnie do celi dość dużej. Pod samym sufitem było okienko jedno, czy może dwa, przez które widziało się stopy chodzących po trotuarze na ul. Mickiewicza. Tam był stół, na stole wiadro z wodą, parasza jak zwykle i chyba kilkanaście więźniarek. Podłoga już nie cementowa jak na Łukiszkach. Stąd były wezwania na doprosy czyli na badania. Najczęściej wieczorem pojawiał się ktoś z papierami i żeby nie zdradzać, jak można przypuszczać, nazwisk osób które się tam znajdowały, to było to słynne "na bukwa" p,t,b,z itd - na literę taką to, padały odpowiedzi od obecnych. Jeśli się zgadzało zapotrzebowanie, wówczas "idiom", tzn. idziemy. Prowadzono na górę do pokoju śledczego. Czasami to było pod bardzo jaskrawym światłem jupiterów czy też specjalnych lamp, czasami zwyczajnie. Tam pamiętam nazwisko, które było pseudonimem "Daniłow", to już nie był ten groźny, surowy Borowikow, tu był zmęczony, taki dość ślamazarny człowiek. To podobno byli wojskowi, oficerowie z frontu, do tych służb przymusowo kierowani. Był to normalny rozkach w tamtych organizacjach. Było znów wypytywanie, zapisywanie, potem sprawdzanie, potem czytanie. Cały czas powtarzanie tego samego. Czasami on dosłownie zasypiał nad tymi papierami. Trzeba było siedzieć. Kiedyś trzeba było siedzieć chyba przez 5 godzin w nocy. To były takie normalne sposoby. Kiedyś, któraś z aresztantek w celi opowiadała, że jej śledczy, kiedy tak zasypiał nad kałamarzem pełnym atramentu, wówczas jeszcze nie było długopisów, ona podunęła mu kałamarz pod sam nos. On się wykąpał nosem. Żarty też sobie stroiły Polki. Pisały złośliwe wierdzyki na nich. Potem je im odczytywały. To były właśnie te doprosy, aby była właściwa ilość zeznań, co stanowiło widoczny dowód pracy śledczych. Były straszenia karcerem w zupełnym podziemiu, gdzie tylko wo-

da i szczury. Ubrano mnie w celi we wszystkie możliwe ciepłe rzeczy ale skończyło się na straszaniu.

Ktoś mi dał prześcieradło więc spałam nie podłódze a na prześcieradle, tylko, że ten sen nie był zbyt udany. Człowiek budził się w nocy dosłownie oparzony, cały bok był czerwony od ugryzień pcheł i dosłownie czarna chmura rozlatywała się spod człowieka. Ale takie były warunki. Lepsze było trochę wyżywienie, bo jakiś krupnik się dostawało, no i jeszcze chleb i wodę.

Humor i dowcip był. Kiedyś jednego ze strażników z brzęczącymi kluczami, który otwierał drzwi, wypuszczał po wodę albo na wyniesienie paraszy, postanowiono z jakiegoś powodu przestraszyć. Może było on bardziej surowy od innych. Zasadniczo nie było żadnych strasznych znęcań z ich strony. Przestraszono go w bardzo prosty sposób. Wysoka bardzo Polka, też z wileńskiej sprawy, okręciła się białym prześcieradłem. Proszkiem do zębów pokryła sobie twarz, tutkę od papierosów wzięła między wargi, wyglądało to na jeden straszliwy kieł. I kiedy on otworzył drzwi aby wyjść po wodę. Być może, to była zemsta za to, że nie chciał nam więcej wody dawać, już tego nie pamiętam, ona powolnym ruchem, jak rzeczywiście widmo, podniosła się z podłogi. Krzyk, klucze padają na podłogę, strażnik ucieka, drzwi otwarte. My się pokładamy ze śmiechu. W końcu musimy szybko to wszystko uporządkować, ubrania schować. Wchodzi strażnik z innym. Przyglądają się nam bardzo uważnie. Nic nie ma, żadnych śladów, nic nie wiemy. Tylko tyle, że troszkę się go nastraszyło.

Jedna z więźniarek była rzeźbiarką. Z chleba, lepkiego razowca, robiła różańce, płaskorzeźby, popielniczki.

Czasami urządzałyśmy sobie deklamacje.

Była też jedna bardzo przykra choroba ogólna - świerzb. Podobno ta cela była zakażona i nie odkażona. Po jakimś czasie, wieczorami rozlegał się straszny chrzęst. Mianowicie, wszystkie drapią sobie straszliwie brzuchy. Swędzą ręce, między palcami pojawiają się pęcherzyki, nogi, stopy, brzuchy. Wjeżdżała beczułka na dwóch kółkach z żółtym, rzadkim płynem. Całe towarzystwo obnażało się, smarowało, nacierało by chronić się przed tym świerzbem, czy z efektem być może tak.

W tym czasie zdarzyło mi się coś z sercem. Nie wolno było leżeć, trzeba było siedzieć z oparciem o ścianę. Zaczęłam się obsuwać na podłogę bez mojej woli i wówczas słyszałam słyszałam bicie serca, coraz wolniejsze. I jakby pod zamkniętymi powiekami widziałam na tarczy strzałki jakby zegara. Jedna z nich zaczyna obchodzić ten cały krąg i zostało już niedużo, aby się zamknęły tak jak na 12 przypuścimy. Czułam, że serce mi już nie bije, nie oddycham i jeśli jeszcze trochę ten stan potrwa, nastąpi pożegnanie z tym światem. Ciekawa myśl, bo to było świadome, co teraz trzeba robić. Coś mi się przypominało, że trzeba przecież mówić "Boże bądź mi miłościw". Nie było żadnych myśli, żadnych uczuć, tęsknot, pragnień tylko obserwacja bardzo ciekawa, łagodna. I w pierwszym momencie pierwsze, głośne uderzenie serca i ta strzałka zaczyna się cofać na swoje miejsce. Wraca. Serce już bije normalnie. Zauważyły to współtowarzyszki. Któraś zbadała puls. Zaczęło się walenie w drzwi, wołanie o lekarza, pielęgniarkę. Nic to nie dało, ale serce wróciło do swego stanu i tym się skończyło.

Pod koniec dwumiesięcznego tam pobytu, zaczęło się coś, co widocznie było następstwem świerzba, może jakiegoś zakażenia. W każdym razie już leżałam. Widocznie miałam silną gorączkę. Wstawiałam z wielkim trudem. Wezwana pielęgniarka dała mi jakieś proszki.

Przyszedł już czas sądu. Najpierw wyprowadzono, po kolei każdą z nas do innej zupełnie sali gdzieś na górze, gdzie trzeba było podpisywać tzw. zakończenie, zdaje się § 208 czy 204 jeśli się nie mylę, tego dokładnie nie pamiętam. Na to zakończenie każda z nas po kolei została wprowadzona do dużej sali, boki były zasłonięte jakimiś zasłonami, gdzieś w głębi stało biurko. Trzeba było przejść przez całą salę. Ale co było dziwne, co w ogóle tłumaczyło tę procedurę podpisywania tzw. zakończenia śledztwa. Tam stały postacie mężczyzn, ich było kilku, dwóch, czterech może pięciu, sześciu czy siedmiu. Na pewno więcej niż dwóch, w różnych miejscach. Ktoś zza zasłony spoglądał, ktoś stał przy stole, ktoś przy wejściu, ktoś przy wyjściu itd. To były postacie młodych mężczyzn, jak to można określić - szarych. Szare płaszcze, szare kapelusze, twarze bez twarzy, bez wyrazu zupełnie. To byli szpicle, którzy mieli nas sobie zapamiętać. To było

wstrząsające. Teraz w tej chwili idzie mi mróz po skórze, jak może człowiek zgodzić się przestać być człowiekiem. To byli ludzie - nie-ludzie, bez osobowości, bez twarzy.

Następowało śmieszne, niepotrzebne podpisywanie czegoś i wkrótce miał być sąd. Sąd o ile pamiętam, trwał przez dwa dni 29 i 30 listopada. "Czornym woronom" - czyli czarnym pudłem, czarną krytą ciętą żarówką wieziono nas w ciemnościach zupełnych do jakiegoś budynku, jakiego nie wiem, na jakiej ulicy nie wiem. Małe pomieszczenie, poczekalnia. Przedtem jeszcze kogoś innego sądzono. Wszedł z sali sądu wysoki, młody, postawny, piękny ~~mężczyzna~~ ^{człowiek}. Oparł się o framugę. Był to wójt czy sołtys Polak z Litwy, od razu informacje. Coś - śmieć. Więc zaraz ktoś mówi ale przecież można jeszcze odwołanie złożyć. No i potem nasza ~~grupa~~ ^{kolej}. Okazuje się, że to była cała grupa, którą tam po raz pierwszy zobaczyłam.

Długi stół, prokurator, sędzia, potem maszynistka, tłumacz chyba. W naszej grupie, o ile pamiętam, był jeden mężczyzna, może więcej, ileś kobiet, nie pamiętam w tej chwili ile. Wiem tylko, że pierwszym dniem był tzw. przewód sądowy.

Ironiczny wyraz twarzy tegoż prokuratora, a może to był sędzia, tego już nie wiem, bawił się pudełkiem od zapalek.

Mężczyzna, może jeden z kilku, którzy wśród nas byli, ponieważ był prawnikiem, wypowiedział mowę obronną. To wszystko robiło wrażenie, po prostu, teatru. Ja nie miałam żadnych doświadczeń poprzednio w takiej dziedzinie, ale tak to się przez skórę odbierała.

Nie pamiętam dokładnie, tego a może następnego dnia odczytano nam wyroki. Dowódcy grupy - mężczyzny nie było w ogóle. Jego pseudonimu a także innych z tego okresu w ogóle nie pamiętam. Czemu nie był obecny, czy uciekł, czy był zamordowany, czy popełnił samobójstwo - nie wiem. Dwie kobiety, jego najbliższe współpracowniczki, dostały chyba po 15 lat katorgi. Reszta dostała po 10 lat obozów - Trudawowo Isprawitelnowo Łagiera. Dwie najmłodsze, ja i jeszcze jedna - po 8 lat tego samego Łagiera i 5 lat porażenia w prawach, tzn. ograniczenia w prawach.

Po skończonym sądzie, o ile pamiętam, chociaż może coś mi się myli, zostaliśmy zawiezieni na Łukiszki, bo tam, przed odjazdem, przed władaniem nas do pociągu, odbyła się rewizja. To była przedziwna

sytuacja, taka też teatralna, tylko w innej zupełnie scenerii. Na Łukiszkach była kaplica sprawiająca wrażenie okrągłej płaszczyzny zawieszanej nad czarną przepaścią, bez żadnej balustrady, bez elektryczności, więc świece gdzieś się paliły. W różnych miejscach tej okrągłej, wiszącej nad przepaścią płaszczyzny do każdej kobiety była przydzielona strażniczka. Było rozbieranie całkowite, przeglądania wszystkiego, rzeczy, włosów itd. Komuś wyrzucono szczoteczkę do zębów, nie pamiętam co jeszcze.

Dalej znów nic nie pamiętam, wiem tylko, że tego, czy następnego dnia, byłam chyba już w celi. To było w dzień. Słychać było na dziedzińcu ujadanie psów, głosy męskie, więc wiedziały doświadczone osoby - na etap - zaraz nas uformują w czworobok, otoczą odpowiednio strażą i poprowadzą na dworzec.

Co było dalej?. Ja byłam aresztowana w letnich sandałach na drewnianej podszewie, bo w takich się wówczas chodziło, zresztą własnej roboty. Kto nie miał zimowych butów, dostawał łapcie plecione ze sznurka. Pończochy dała mi któraś z towarzyszek z cel, koszulę jakąś też, czapkę na głowę też od kogoś dostałam. Pończochy były przywiązane sznurkami powyżej kolan i jeszcze ten mój letni płaszcz, który miałam na sobie. Miałam też worek malusieńki, co tam było, chyba koszula dana mi przez kogoś i jakiś drobiazg, różaniec ulepiony z chleba, może jeszcze coś z drobiazgów od kogoś dostałam, bo byłam więźnia tak jak stoję. Nie miałam, nie brałam przecież żadnych kontakót, absolutnie żadnych przesyłek.

Wyprowadzono nas, uformowano, dookoła psy, żołnierze z bronią no i to sakramentalne zdanie: "szag w lewo, szag w prawo szcitajetsa pobiegom" - czyli krok na prawo, krok na lewo uważany jest za ucieczkę i poszliśmy. Ulice puste, zaśnieżone. Przede wszystkim przechodziliśmy mimo tego gmachu sądu głównego. To był bardzo wczesny ranek ale już było jasno, jeszcze nie było przecież koniec listopada, czy może pierwszy czy drugi grudnia. Nagle czuję czyjś wzrok na sobie. Podnoszę oczy, bo trzeba było patrzeć pod nogi, szurając tymi łapciami po śniegu. Stoi na rogu tego budynku sądu, ten sam żołnierz młodziutki, z tym samym delikatnym uśmiechem, takiego przesubtelnego współczucia. Poznał więc, że przedtem tam mnie pilnował.

Ktoś czasami trafiał się na ulicach, więc z krzykiem zapędzano nas do bram. Doszliśmy do dworca. Tam po deskach wejście do wagonu, kobiety osobno, mężczyźni osobno. Wagon pusty, bydlęcy. W obu końcach podwójne prycze drewniane. W środku żelazny piecyk. I droga. Jedziemy. Czyśmy stali czy ruszyliśmy od razu już nie pamiętam. Wiem tylko, że jedziemy na północ przez Bezdany, Orwidów. Ktoś ma jakieś karteczki papieru, jakiś płówek - przemycone w czasie tego szmunu, czyli rewizji, więc piszemy jakieś malusieńkie notatki, rzucamy przez jakąś szczelinę gdzieś w deskach. Na tym śniegu nie zostały chyba dostrzeżone. Zresztą nie wiem. W końcu wagonu jak wtedy zauważyliśmy, a może później, małeńka galeryjka i tam stoi żołnierz. /

Znowu byt. Ułożyliśmy się jak kto mógł, w tym co miał na tych drewnianych deskach, na narach. Co nas tam dręczy, to walenie młotami, chyba drewnianymi, po dachu. To było pewnie raz ~~dziennie~~ ^{w dzień}, raz w nocy, może częściej czy rzadziej, na pewno raz na dobę, Czemś to było ogromnie nerwicujące, mimo, że ogromnie przykre. To było jedno. Drugie, to paliło się w tym piecyku. Na szczęście wśród nas nie było przestępczego elementu. To była cicha, spokojna zupełnie cała ta gromada kobiet. Jechało się w ciszy.

Ja byłam już chora. Miałam rozmokłą skórę, awitaminoza na łokciach, na biodrach, na siedzeniu.

Czym nas karmiono? Była zupa, jakiś gęsty krupnik, woda i chleb. Po paru dniach zupa w kotłach tak się przypaliła, że była z kawałkami węgla i tak cuchnąca spalenizną, że była absolutnie nie do jedzenia. Więc prawie całe dwa tygodnie była tylko woda i chleb.

/W wagonie/pod sufitem było jedno okienko okratowane no i oszklone. Któregoś dnia drogi, zdaje się, bliżej początku niż końca, dokładnie nie pamiętam, dało się czuć dym. Dym stawał się coraz gęstszy i w końcu zaczęliśmy się dusić. Stąd wiem, co to jest śmierć przez uduszenie. To jest straszna rzecz. Przede wszystkim wybito jedyną szybkę, następnie walono wszystkim czym można w ściany, w drzwi. W końcu zatrzymano pociąg. Otworzono drzwi. Mogliśmy zacząć oddychać normalnym powietrzem. Łzy płynęły z nosa, z oczu. A przede wszystkim to jest to straszne uczucie końca życia ale przez uduszenie. Przerazenie strażników. Okazało się, że od piecyka przepaliła się drewniana

podłoga pod piecykiem do dziury, cały dym szedł do nas. Oczywiście rwetest, przeliczanie, sprawdzenie, łatanie. Strach śmiertelny na twarzach tych biednych strażników. W końcu miałyśmy przewietrzony wagon, jechałyśmy dalej tylko bez szybki w tym jedynym okienku. Leżącym blisko okna włosy przymarzały do szronu na ścianach. I tak myśmy dokądś dojechały. Przedtem jeszcze zauważono lunę jakiegoś wielkiego miasta, więc przypuszenie, że to Moskwa. Objechałyśmy to widoczenie dookoła, a potem pociąg zaczął ciężko sapać jakby jechał pod górę. Było takie śmieszne wrażenie, ponieważ pamięta się, na globusie, że ku północy, ten globus, ta kula podnosi się do góry. Jak gdyby jedziemy wciąż wyżej i wyżej, bliżej ku biegunowi, no bo stwie dziłyśmy, że jedziemy na północ. I w końcu wjeżdżamy na jakiś taki wyrostek sterczący z tego globusu, gdzieś pod niebo i aż tam. Ostatnich parę dni, widocznie to już była republika Komi, nagle dało nam inny chleb, już bardzo smaczny. To były okrągłe bochny. To było wyraźnie dostrzegalne przez nas.

Poza mną, która leżałam chora, bo to była już ogromna słabość i przed samym końcem był atak serca, znowu niemalże koniec z innego powodu. Jednak dostukano się, nie wiem, może był jakiś przystanek, przyszła pielęgniarka czy też lekarka, zrobiła mi jakiś wzmacniający zastrzyk. Mogłam więc mniej więcej ożyć. Druga chora była widoczenie z wrzodem gardła. Miała bardzo wysoką gorączkę. Traciła przytomność.

W końcu pociąg się zatrzymał. Powiedziano, że to Pieczoga. Była noc, czy dątego, że w nocy przyjechaliśmy, czy to po prostu w nocy zaczęto wyładowywanie. Po kolei wszystkie nas wyprowadzono. Góry śniegu, czarne niebo i nic więcej. Jakaś malusieńka budeczka, to była podobno stacja Pieczora.

Najpierw była widocznie jakaś izba z lekarzami, z jakąś komisją, bo pamiętam, że stałam przed lekarzami. Pokazałam swoją skórę rozmokłą. Natychmiast decyzja - do lazaretu, tamtą drugą chorą też. W końcu podjechały saniki, takie płaski, płytkie, jakby stuzką przysypane na dnie. Stałam obok, nie widziałam jak się w to wgramolić, więc ktoś mnie trzasnął pięścią w kark. Felczer. Okazuje się przyjechał po nas, ten cios był od niego. Upadłam głową do przodu, tam już siedziało na jakiejś ławeczce dwóch mężczyzn. Jeden z nich położył sobie moją głowę na kolanach. Na mnie poleciał ten mój woreczek, na woreczek

poleciała ta druga chora, na to jeszcze jakiś pled. I koń ruszył. W końcu dokądś przyjazd. Wyszliśmy /z sanek/ i otwierają się drzwi baraku podróznego. Wrażenie takie, że wchodzi się do innego, już nowego, jeszcze raz nowego życia. Jest to barak Pieresyłecznego Łazareta. Cały ten punkt dokąd przywieziono nas i wyładowano, to jest pieresyłka, takie słowo bardzo tam znane i często używane. To takie specjalne miejsce w Pieczorze, gdzie się po prostu wyładowuje wszystkie pociągi, te etapy tzw. z więźniami przywiezionymi na północ. Potem, z tego pieresyłecznego punktu, z tego punktu przesyłkowego, rozsyła się ich do obozów. Część chorych już z pociągów trafia do tego pieresyłecznego lazareta.

Barak długi, wsparty w środku na drewnianych słupach, cały zastawiony pryczami, nary tak zwane w płotnuju ściśle do siebie przylegające, to są trzy rzędy, między nimi tylko małeńkie, wąziutkie przejście. Na tych narach, na tych pryczach leżą chore na worku, czyli sienniku nabitym strużką. Pod głową jest tzw. podgołownik, to jest takie małeńkie podwyższenie z desek czasami małeńki woreczek ze strużką. Chora przykryta jest kocem. I to jest wszystko. Koce są z frontu, często są w błocie, krwi, ropie. Miałam też to samo. Leżałam na ostatnich narach pod samą ścianą w końcu tego baraku. W środku baraku, był pod oknem chyba jedynym, bardzo grubą warstwą śniegu i szronu pokrytym od wewnątrz, stolik dla lekarza. Na nim paliła się lampa naftowa. Całe wnętrze baraku oświecała koptilka, taka kopcąca się lampeczka napełniona chyba tranem i z małeńkim konotem. Specyficzna, oczywiście widziana pierwszy raz, taka rzeczywistość. Następnego dnia z rana z termometrami przyszedł felczer. Niemłody już jak się okazało Polak. Kończy już swoje 10-lat, został mu zdaje się jeszcze rok. To się nazywa, że już kończy. Podając mi termometr podał mi jednocześnie pół bankrutki tak zwanej, skręta po polsku. To w kawałeczku gazety odrobina machorki. Podzielił~~am~~ się ze mną czymś niesłychanie drogim tam, niesłychanie ważnym, ponieważ dziś jest wigilia. Nie mogłam tego nie wypalić, pierwszy raz w życiu, pod kocem, dlatego, że był to dar tak wielki. Ponieważ to był ten właśnie dzień, więc wieczorem zwlokłam się z pościeli. Było tam parę Polek jak się okazuje. Skórką od chleba, zostawioną, przełamaliśmy się jak opłatkiem, oczywiście wiedząc, wierząc absolutnie, święcie i życząc sobie, żeby jak najprędzej być

znowu razem z najbliższymi w domu, w kraju w ojczyźnie.

Tę moją rozmoczoną skórę wszędzie posmarowano czymś fioletowym w specjalnej sali opatrunkowej. Otworzyły się strupy i wewnątrz, pod nimi coś się zaczęło dziać. Działy się różne dziwne rzeczy, bo mi się już oczy nie otwierały. Zaczęły się dziwne widzenia. Właściwie słyszałam wszystko. Miałam pełną świadomość tego co się dzieje dookoła mnie, tylko w pewnym ~~momencie~~^{co dzień} jednakowym czasie, przychodziły jakieś dziwne obrazy pod powiekami. Nie reagowałam na słowa, nie ruszałam się. Te obrazy były z domu, z pola, z lasu. Jakieś fragmenty małe, bardzo żywe, kolorowe. Kończyły się te obrazy i wówczas następowała przedziwna rzecz - stan tak ciężki, tak straszny, żaka męczar-
nia nieopisana zupełnie i z każdym dniem coraz gorsza. Wychodziłam potem z tego do normalnego stanu, mogłam otworzyć oczy, ale byłam już zupełnie słaba. Tego samego dnia już się to nie powtarzała ale ponieważ z dnia na dzień to było wciąż straszniejsze i wciąż z większym trudem mogłam wydostać się na powierzchnię normalności, to było już ponad wytrzymałość, zaczęłam prosić o truciznę.

W tym czasie, po obejrzeniu przez lekarza, nie pamiętam czy mi coś zapisał czy nie, byli felczerzy, którzy tam robili zastrzyki, podawali jakieś leki. Był tam felczer, ten pierwszy, którego tam poznałam już tylko ze słyszenia, bo już wówczas w ogóle nie patrzyłam, Iwan Nikołajewicz Kabakow - Rojanin po paru latach studiów medycznych został zabrany na wojnę. Był w wojsku NKWD, człowiek ogromnie wielkiego serca, wpełkiej, głębokiej osobowości, o czym przekonali się wszyscy chorzy w bardzo krótkim czasie.

Dlaczego trafił do obozu? Ponieważ nieprzytomnego wzięli do niewoli Niemcy i skończyło się tym, że kiedy został wyzwolony i mógł wrócić do kraju, to jako zdrajca, ponieważ poddających się do niewoli uważano wówczas za zdrajców. Został skazany na 10 lat i dlatego był tutaj w Łagrze. Zauważył, że ze mną dzieje się coś niedobrego. Wziął więc mnie na ręce i idąc na kolanach po brzegu tych wszystkich nar, tych prycz, doniósł do miejsca przy samych drzwiach, żebym była blisko obserwacji i jakiegokolwiek działania. W następnych dniach kiedy przychodził na swój dyżur, wchodził przecież z zimnego powietrza, kładł mi zawsze, po wejściu^u, chłodną rękę na czoło. To była ogrom

na ulga, to było coś bardzo, bardzo wielkiego i dobrego, wówczas, dla człowieka chorego.

Taki drobny szczegół mówiący o człowieku. Którego dnia położył mi, przy wejściu, ciepłą rękę. I tylko mogłam powiedzieć: ręka ciepła. Zdjął rękę i za kilka chwil miałam już na czole jego bardzo zimną, lodowatą rękę. Było dla mnie tajemnicą, co się stało. Dopiero dowiedziałam się, kiedyś znacznie później, kiedy już mogłam go widzieć, rozmawiać z nim. Po prostu podszedł do okna, położył rękę na ten śnieg, ten szron na szybie i w ten sposób dał mi tę wielką ulgę.

Czułam, że zbliża się koniec, dlaego, że zaczęłam odczuwać mocz, mocznik we wszystkim dookoła. Skóra, usta, wszystko pachniało. A ponieważ kiedyś studiując, jeszcze w najwcześniejszej młodości książki lekarskie pt. "Wiedza ratująca zdrowie" zdaje się, lub "Lekarza ratujący zdrowie", dwa tomy ogromne w domu u nas były, wiedziałam, że jest to Koma Uremiczna. Organizm kończy działalność, przestaje się bronić, mocz przedostaje się do krwi, jest ogólne zatrucie. Wiedziałam więc, że to koniec. Tymczasem w tych ostatnich dniach, przed tym moim stanem, do naszego baraku przyszedł profesor. Niesłychane zdarzenie, komentowane przez personel medyczny. Tutaj, na terenie tej właśnie Pieresyłki, tego Pieresyłnowo Łazareta, jeden z tych baraków został oddany na klinikę, Klinikę NIB Nauczno Sledowatielskij Institut - Naukowo Badawczy Instytut, który otwiera też więzień, profesor Grigorij Michajłowicz Daniszewskij - oczywiście profesor medycyny. I właśnie on przychodzi do tych baraków, gdzie leżą chorzy z etapu wyszukując chorych, według profilu prac badawczych w swojej klinice. To są choroby serca, choroby reumatologiczne. Przedstawiono mu jedną Polkę leżącą w tym samym baraku. Słyszę jak on rozmawia z nią po polsku, jakieś żarty prościutkie, bardzo przyjemne. Ta Polka została zabrana do jego kliniki.

Czy to było tego samego dnia czy następnego, przychodzi do mnie felczer, już inny. Tam było kilku na zmianę. Tego innego też pamiętam, to jest Andriej Semionowicz Pińczug- Białorusin. Gdy Kabakow, był dramatyczny, głęboki, współczujący głos, Białorusin był zawsze pogodny, uśmiechnięty, ze śpiewkami, przyspiewkami. Pochyliła się nade mną i mówi: Janeczko, Janeczko idziesz do Kliniki. Rozmawialiśmy z

Iwanem Nikołajewiczem o tobie, że Polka młodziutka umiera u nas, ostatnia chwila, trzeba ją ratować. Na noszach, otulona kocem, czuję, że niosą mnie po górach śniegowych, w końcu wyładowują w pokoju z wanną. Tam oglądają moje włosy. Pełno jest gnid. Pytają czy ostrzyć, czy ogolić. Jeśli przeżyję - odrosną, a jeśli nie, to i tak niepotrzebne są. Golą je i kładą mnie do wanny i zanurzają po raz pierwszy, chyba od czterech miesięcy, w ciepłej wodzie. I to był początek znowóż nowego etapu w Klinice NIB. Profesora Grigorija Michaiła Daniszewskiego. Nie widziałam otoczenia, nie widziałam pomieszczenia wiedziałam, potem się o tym dowiedziałam, że to jest Klinika NIB - Naucznej Sledowatelskiej Bazy - Naukowo Doświadczalnej Bazy. Jak potem zobaczyłam, wewnątrz i zewnątrz był to zwyczajny barak, taki sam jak inne w tym pieresyłocznym łazarecie, czy lazarecie na przesyłce. Tylko, że tam panowała zupełnie inna atmosfera, porządki, rzeczywistość była inna. To była, jak się okazało, oaza w tamtym dziwnym, strasznym świecie.

Kilka słów o lekarzu, profesorze Daniszewskim. Skończył on Warszawską Akademię Medyczną, czym się chlubił i o której zresztą twierdził, że jest jedną z wybitnych, w każdym razie doskonałą szkołą lekarzy. Był Żydem polskim. Dziwny miał wygląd. Niski z małą bródką, wąsami i wiankiem zupełnie białych włosów dookoła skroni, z ogromną łysą czaszką. Oczy miał jak gdyby w masce, powiedzmy starszka, błyszcząły pełne życia, energii, inteligencji, ogromnej żywości obserwacji stosunku bardzo aktywnego do każdego ze swoich rozmówców. To było takie wrażenie, rzeczywiście był aktywny, był niezwykle ciekawą osobowością. Otrzymał kiedyś 10 lat obozu, ponieważ w jego klinice, którą kierował w Moskwie, klinice klimatologicznej, jak wspomniał kierował zdaje się 153 lekarzami, miał nieszczęście umrzeć Gorki. Powstało podejrzenie, że został otruty. I on i jego lekarze, nie wiem czy wszyscy, znaleźli się tam na północy. W pierwszych latach był sanitariuszem w lazarecie północnym obozowym, tak zwanych panosników czyli chorych na biegunkę, tę śmiertelną już, dystroficzną. Co to była za praca. Potem prawdopodobnie dzięki swoim znajomościom moskiewskim, postarał się i zdobył możliwość aby zorganizować bazę naukowo - doświadczalną.

Północ ta, która była wówczas olbrzymimi połaciami, zamieszkiwana by

ła przez naród Komi z wielotysięcznymi stadami reniferów. Pasterze tych reniferów zamieszkiwali w pałatkach czyli namiotach ze skóry w absolutnej tundrze. To północna część republiki. Południowa miała lasy, była trochę inna. W tej rzeczywistości północnej choroba, a szczególnie awitaminozy, wycieńczenie z powodu braku witamin, kosiły więźniów, tak samo prawdopodobnie jak ich wolną obsługę, dlatego trzeba było zbadać możliwości tamtych terenów, czy posiadają rośliny, tzw. witaminonosy, rośliny posiadające witaminę, szczególnie "C", która umożliwiłaby tam przeżycie.

W okresie więziennym oczywiście nie było mowy o dostawie lekarstw, o zaspokojeniu zapotrzebowania na przywiezione już takie środki, a więc trzeba było szukać na miejscu.

W tym terenie północnym nie było żadnych warzyw, żadnych upraw, było tylko mnóstwo jagód w tundrze. Te jagody leżały odłogiem. Mogły tam być niezłobliczone ich ilości sprowadzone stamtąd i wykorzystane, tylko kto będzie zbierał? Nad tundrą unosiły się tumyny, chmury owadów, komarów i tej małej moszki - maskary. Malusieńkie muszki, mniejsze znacznie od komarów, małe, prawie czarne, które przebijają skórę w tych miejscach gdzie są naczynia krwionośne i potem krew spływa strumyczkami z tych miejsc, a mogą obsiadać człowieka, pokrywając ciało całkowicie. Nie było wówczas kremów, maści przeciwkomarowych, w tych więc warunkach te bogactwa jagód leżały odłogiem. Dla tej bazy /profesor/ otrzymał do swojej dyspozycji barak, taki jakie były baraki w tym szpitalu obozowym. Wprowadził porządek kliniczny, bo przecież był właśnie takim lekarzem. Zatrzymał z kolejnych etapów, z kolejnych przywozów więźniów specjalistów. Jeden z lekarzy był jego poprzednim współpracownikiem dr Łakow - internista. Poza tym zatrzymał tam więźniów: lekarza Resjańskiego, farmaceutkę, Litwinę Marmienię, chemika spożywczego - Afarefiewa, botanika Priachina, fizyka Fironasa - profesora z Litwy i hudoźnika czyli plastyka Majsurowa - Gruzina. Był tam jeszcze lekarz laborant - Leningradka, doktor Woronowa. Do pomocy jej została przydzielona Lusja Rukarz z wileńskiego więzienia AK. Była tam jeszcze tzw. siostra haziajka - Sybiraczka, piękna kobieta z gruźlicą. Wszyscy pracujący tam byli w swoim czasie dohadagami. Najczęściej są to ludzie, którzy zostali wyczerpani do granic fizycznych organizmu. Np. chemik Arefiew

idąc korytarzem mógł w pewnej chwili przyłgnąć do ściany i zasnąć na stojąco. Jak on mówił, człowiek wychudzony, pozbawiony żywności najpierw zjada tłuszcz spomiędzy jelit, potem z mięśni, potem z innych narządów, w końcu z mózgu. No i następuje nieraz nieodwracalny stan absolutnej demencji. On był jeszcze w stanie odwracalnym gdyż mógł tam pracować.

Felczerzy, czyli pomocnicy lekarzy, nie było tam sióstr medycznych - pielęgniarek, byli tylko mężczyźni. Był tam wspomniany Kabakow - Rosjanin, Bryś - Ukrainiec, którego tam zatrzymano jako nowego i jeszcze Białorusin, o którym też wspominałam.

Atmosfera była kliniczna rzeczywiście. Przede wszystkim w środku, tak jak i w innych barakach lazaretu pieresylnego, od razu z wejścia wchodziło się do tzw. niedużego holu. Było to takie nieduże pomieszczenie kwadratowe, z którego korytarze rozchodziły się w dwa końce tego baraku. To samo było i w klinice NIB. Był tam okrągły stół nad nim wisząca lampa i maleńkie radio - talerz czarny wiszący na ścianie, skąd wieczorami rozlegała się muzyka.

Salie szpitalne, tzw. pałaty. Tu były już nie prycze, które zajmowały cały absolutnie barak, w tych salach szpitalnych były łóżka z normalną pościelą. Chorzy i chore otrzymywali normalne koszulki, bardzo grube i szlafroki z granatowej flaneli do samej ziemi. Wyglądało to jak miejsce z innego świata. Atmosfera była cicha, spokojna. Nikt nie pokazywał się rozchochrany czy źle ubrany na korytarzu, chociaż tego nie uczono.

Sama postać Grigiri Michajłowicza wymagała szacunku, powagi, spokoju. Przede wszystkim codziennie z rana był tzw. abhod czyli obchód profesora ze wszystkimi pracownikami. Z farmaceutką, wszystkimi felczerami, lekarzami, tymi którzy dyżurują, którzy przyjmują dyżur po nocy. Przy każdym łóżku, przy każdym chorym następował wykład. Najpierw relacja lekarza, który miał dyżur, o stanie chorego, następnie wykład profesora objaśniający stan tego człowieka i nazwy chorób. Ponieważ z medycyną zapoznałam się w domu, kiedyś myśląc o tym, że lekarzem będę, studiując sobie domowe książki "Lekarz ratujący zdrowie". Tak więc z tych wykładów profesora dowiedziałam się sporo o medycynie, o chorobach, co mi się przydało na całe życie.

Profesor także robił co noc obchód. Mianowicie w środku nocy, może

o konkretnej godzinie, wychodził ze swego malusieńkiego pokoiczku, w przybudówce gdzie mieszkał ze swoim dniewalnym, tzn. powiedzmy usługującym, starszym człowiekiem, baptystą, co gwarantowało absolutną sumienność, prawdopodobnie o to chodziło. Na piżamę miał włożony fartuch szpitalny ale już nie taki lekarski, tylko zapinający się z tyłu, w nocnych kapciach. /Wchodził/ bezszelestnie z dyżurnym felczerem, który, oczywiście mowy nie było, ~~nie-mógł~~ ^{aby nie} zdrzemnął się w nocy. Wchodził do każdej sali szpitalnej i dyżurny felczer musiał szeptem zdawać sprawę z tego, jak dotychczas przebiegała poprzednia część nocy każdego z chorych. W czasie oczywiście tych 5 minutek też nasę tępowala relacja o stanie chorych z wyszczególnieniem tych zagrożonych, najciężej chorych.

Atmosfera tej kliniki to było jedno co dawało jakiś oddech wolności, swobody, innego zupełnie świata tym więźniom, którzy już byli po więzieniu, po etapie, czyli tygodniach nieraz dwóch, trzech i czterech podróży w bydlęcych wagonach na daleką północ. Przy rozstaniu ze swoimi najbliższymi, z ojczyzną, z krajem, z domem to było jakieś odetchnięcie normalnym życiem. Jednocześnie, jeśli mogę mówić o sobie, to nie było uwolnienie od przeżyć. Właśnie widząc koło siebie ludzi normalnie zachowujących się, rozmawiających, normalnie szanujących jeden drugiego, tęsknota była straszna. To było coś co dosłownie rozrywało człowieka.

I tak w pierwszą Wielkanoc tam spędzoną, oprócz wszystkich innych chorób zaczęła się jeszcze u mnie astma bronchialna.

Wracając do kliniki NIB. Oczywiście zadaniem jej było nie tylko leczenie tych kilkudziesięciu, niewielkiej ilości chorych więźniów, najczęściej politycznych, a więc faszystów, zdrajców, w pojęciu tamtego kraju. Chodziło o osiągnięcia w badaniach naukowych właśnie nad tym krajem. Były tam /prowadzone/ zasadnicze prace takie: obserwacja zapotrzebowania i wykorzystania witaminy "C" podawanej w pastylkach, tabletkach, chorym na różne schorzenia, szczególnie kardialne i reumatyczne i badanie roślin z witaminą "C", które są spotykane tam w otaczającej florze. Badania te były specyficzne, ponieważ chodziło o to, że po dawanii pewnej dozy tej witaminy "C" oczyszczonej chemicznie, skondensowanej w tabletkach, część tej witaminy, właśnie sztucznej, była wydalana z organizmu z moczem.

Była tam partia chorych i zdrowych poddanych tym obserwacjom. Zdrowi to byli pracownicy medyczni. Każdy otrzymywał codziennie pewną ilość tabletek. Potem zbierało się cały moc wydalany w ciągu całej doby a następnie cytowało, czyli specjalnie oddzielało się witaminy. Następowo wyliczanie itd. Do laboratorium jeszcze wróć, ponieważ z czasem, miałam tam swoją pracę.

Najpierw leżałam z zamkniętymi oczami, nie widziałam niczego, nikogo. Słyszałam tylko głos Polki znajdującej się w tej samej sali szpitalnej. Poza tym, nie było tam nikogo. Jak się potem okazało były tam tylko trzy łóżka. Trzecie było wolne. Leżałam z zakażeniem krwi, zapaleniem wsierdza, zapaleniem mięśnia sercowego, monodozum - taki skaczący reumatyzm - tak przez nas nazywany, wszelkiego rodzaju wrzody, ropniaki, potem skorbut, cynga straszna, to wszystko przewalało się przeze mnie. To znaczy leżałam zupełnie nie otwierając oczu, słysząc, czując. Stan był bardzo ciężki, bardzo przykry, nie mówiąc o stanie ciężkim od strony medycznej., ale to było jedno cierpienie. Jak je nazwać czy określić, tego nie mogę powtórzyć ani wówczas tego sprecyzować. Wiem tylko, że przy codziennej wizycie profesora na jego pytanie jak się czuję, odpowiedzi miałam dwie: albo haraszo, albo niczewo. Haraszo - to znaczy dobrze, a niczewo - tak sobie. To było jedyne, czym można było mierzyć moje osobiste odczucie tego stanu. W jaki sposób przechodziło leczenie nie wiem. Nie mogę nawet powiedzieć jakie były pierwsze środki. Wiem tylko, że kiedy z czasem zaczęłam patrzeć i zauważać, zaczęłam wstawać i uczyć się chodzić powoli, zostałam przeniesiona do większej sali z kilkoma chorymi. Pamiętam, że wtedy robiono zastrzyki z witaminy "PP", dożylnie wapna co było ryzykowne ale tam to było prawie jedyne, glukozy, jakieś drożdże w tabletkach, które były witaminami "B". To chyba wszystko. Co jeszcze nie wiem. Innych rzeczy nie pamiętam. W każdym razie stan był taki, że nie wolno mnie było podnieść z taboreta w najlepszych sytuacjach, a w gorszych, leżałam. To były ciągle nawroty, pogorszenia i choroba, zresztą ta, która mamusię spowodowała do grobu endo carditis, czyli zapalenie wsierdza. Wiedziałam o tym ale organizm powoli widocznie to przezwyciężał. Leżąca też tam Polka, kiedyś, gdy już zaczęła chodzić, zaczęła być zapraszana do pracy w muzeum. Znikała na kilka godzin i opowiadała,

że tam są prace naukowe, wykresy, tablice, coś się rysuje, wkleja się różne rośliny, robi się jakieś obliczenia. Więc to było jakieś marzenie niezbywalne, bo nie miałam pojęcia ani nadziei, że ktoś może mnie kiedyś do takiej pracy wezwać.

Pewnego pięknego dnia zaszła do naszej sali kucharka, wolna. Wcześniej tam była więźniarka pani Marmini Litwinka, a potem była już kucharka wolna, było już większe pomieszczenie tej kliniki. Kucharka weszła z zapytaniem, czyby ktoś nie uszył śliniaczka dla jej małej córeczki. Przyniosła kawałeczek gazy, właściwie bandaża, jakąś niebieską szmatkę i troszkę nitek z igłą. Powiedziałam, że chętnie. Zrobiłam ten śliniaczek, kurkę, kogucika dziobiących ziarno, obszty bandażem. Oddałam jej. Po bardzo niedługim czasie do sali wbiego felczer, nasz wesoły, uśmiechający się Białorusin. Na guziczku swego fartucha ma przypięty śliniaczek i pyta, kto tu jest takim artystą. Musiałam się zgłosić, że to ja zrobiłam. No i od tego się zaczęło. Zaczęło mnie potem zapraszać do tzw. muzeum.

To było duże pomieszczenie, dość długie. Wtedy nie wiedziałam gdzie ono się mieściło w tym jedynym baraku. Tam była ^{mała} biblioteka, długi stół, krzesła. Odbywały się tam jakieś konferencje, bo okazuje się, że przyjeżdżali też lekarze z innych lazaretów. Tam były prowadzone badania naukowo - medyczne. To były pewne wykresy, rysunki, tablice. Powoli, powoluteńku byłam do tej pracy przyciągana. Z tym, że cały czas byłam chora, cały czas leczona i cały czas na bardzo "słabiutkich nogach".

W tym długim okresie czasu, który tam spędziłam, zaszły pewne zdarzenia, mianowicie: przyjechała rewizja z gułagu. Do kliniki NIB przybył major w towarzystwie litewskiego lekarza z jakiejś naczelnej komisji lekarskiej nad północną medycyną obozową. Było to zdarzenie niezwykle mocne. Życie, już w tym nowym budynku większym, obszerniejszym, płynęło tak samo. Pracowało laboratorium, muzeum. Tam pracował starszy już pan, Gruzin z bardzo znanej rodziny książęcej Majsurow. On mnie uczył troszeczkę ^{pewnego rodzaju} pisania dużymi literami itd.

Miano sprawdzić czy rzeczywiście ta klinika NIB, mająca na leczeniu więźniów, już tam była zresztą połowa więźniów, połowa wolnych pracowników z okolicznej ludności, spełnia swoje zadania, czy nie jest tylko kamuflażem dla tych, kryjących się niebieskich ptaszków, wiel-

kich przestępców politycznych, którzy próbują znaleźć sobie ciepłe miejsca.

Wtedy, mogłam już troszkę chodzić, wybrano mnie do obsługi tego przedstawiciela gułagu. Otrzymałam białe fartuch, już nie pilęgniarski ale kelnerki, tzn medyczny ale do tego celu/służący/. Trochę nauczyłam się trzymać tacę z pożywieniem, podawać ją ładnie. I miałam oczywiście patrzeć i słuchać co to będzie. Tego mi oczywiście nikt nie zlecał ale było to jasne, że dla dla nas wszystkich jest to ciekawe i interesujące.

To był człowiek niewysokiego wzrostu, bez żadnych oznak oficerskich, jak mi się wówczas wydawało; Litwin był wysoki, szczupły, trochę zaleźniony, trochę delikatny. Otrzymali pokój, w którym były dwa posłania. Podawałam tam herbatę i coś na śniadanie. Obiad był przynoszony przez specjalną obsługę z restauracji czy jadłodajni z wolnego miasta Pieczory. Jasne było, że się boi ten przedstawiciel gułagu, natomiast rozmów w mojej obecności nie było żadnych. Mogłam tylko obserwować sposób bycia, sposób traktowania otoczenia przez tego wojskowego. Obserwacja zaczęła się od czegoś bardzo ciekawego. Po samym przyjeździe wszedł on do pokoju profesora Daniszewskiego, wezwał do siebie czterech z obsługi wojskowej tego miejsca czy Pieczory w ogóle, tego dokładnie nie wiem. Wojskowi ci, pułkownicy, mieli od razu wstępną rozmowę. Ktoś z nich wychylił się /z pokoju/, poprosił aby przynieść im herbaty. Otrzymałam na tacy imbryk, imbryczek z herbatą, szklanki. Przyniosłam to wszystko pod drzwi, zapukałam. Nie słysząc odpowiedzi po prostu weszłam. Zdumienie niesamowite i zobaczyłam wówczas rzecz ciekawą, która potem kiedyś jeszcze mi się potwierdziła. Ci czterej siedząc w pozie słuchających małych dzieci naprzeciwko znajduje się przedstawiciel wielkiego gułagu i ponieważ to było w trakcie jego rozmowy, więc ten dziwny wytrzeszcz oczu. To było niesamowite ale to chyba było specyficzne dla tego rodzaju osobowości. Zdumienie, jak ja mogłam wejść. Odpowiedziałam, że zapukałam. Postawiłam tacę na stoliku. Skończyło się to tym, że miałam ciekawą obserwację. Obserwacje dalsze były minimalne, ponieważ czułam, że ten człowiek z gułagu boi się wszystkiego, Litwin oczywiście nie. Litwin sam zaścielał swoją pościel, tamten z gułagu - nie, więc ja to robiłam. Pytał mnie, przedstawiciel gułagu, jaki mam dzień pracy,

w jakich godzinach kończę. Tego jeszcze nie wiedziałam, jakie są porządki i co miałam powiedzieć ale jakoś wybrnęłam z tego. Ciągłe obserwował, zachodził bez pytania i pukania do każdego pokoju wszystkich pracowni i tej chemicznej, laboratorium, medycznej itd. Po upływie, zdaje się dwóch tygodni jego tam przebywania, w końcu zwołuje wszystkich pracowników do muzeum, aby wypowiedzieć swoje słowo kończące wizytę. Pewien lęk był, cóż z tego on wyniesie. Ponieważ wówczas byłam tzw. pracownikiem, więc też tam byłam. Zaczęło się jego przemówienie ale było niesamowite. To była wielka, wielka pochwała. Powiedział po prostu, że przyjechał tutaj nastawiony negatywnie, ponieważ dochodziły już słuchy, że to miejsce jest wykorzystywaniem środków i przechowywaniem więźniów politycznych i nic się tutaj nie robi. Tymczasem są tu ogromne osiągnięcia w sferze badań witaminy "C", chorób na północy itd. Skończyło się wielkim, wielkim podziękowaniem dla tego wszystkiego, co się tutaj dokonuje.

Profesor był na pewno zadowolony. Nie wiem czy się bał czy nie. Wszyscy pracownicy odetchnęli z ulgą bo się mogło skończyć rozesłaniem wszystkich do bardzo dalekich krajów.

Natomiast kiedyśmy wychodzili już z tej sali, to właśnie ten z dobrym humorem felczer, Białorusin, szepnął do mnie: ale widziałas, nie widzieliście, bo tam się mówi na wy, jakie miał ogromne okulary ten gułagowiec. Jakie okulary?, ale zrozumiałam, jest rosyjskie powiedzonko, wcierać oczki, to jest wkręcać komuś okulary, kiedy się potrafi narzucić pewną wizję, niekoniecznie zgodną z rzeczywistością ale bardzo dobre wrażenie robiącą. Taki więc był odbiór jednego z pracowników, chociaż myśmy wiedzieli, że praca była absolutnie rzetelna.

Czy rzeczywiście wyniki tych badań warte byłyby upowszechnienia, czy byłyby przyjmowane za istotne badania sytuacji witaminy "C" na północy, tego oczywiście nie wiadomo.

W tym badaniu witaminy "C" w jakiś sposób i ja też uczestniczyłam. Kiedy zaczęłam trochę chodzić to po kolei byłam wciągana do prac artystycznych, trochę do prac w laboratorium. Prace te polegały na zbieraniu słoików z moczem od tzw. krówek, czyli od tych, którzy byli wytypowani do obserwacji na przebieg reakcji na witaminę "C" or-

ganizmów więźniów. Z rana zbierała się te słoiki, podpisane oczywiście, potem laborantka ze swoją pomocnicą do citrowała, czyli w jakiś sposób oddzielała tę witaminę "C". Potem następowało obliczanie. Ponieważ papieru nie było, więc na ogromnych deskach, na dykcie wypisywane były olbrzymie kolumny obrachunków, które dawały w końcu efekt liczbowy. Potem trzeba było to wszystko zdrapywać ostrym szkiełkiem, bo i gumek nie było także. Następnego dnia zaczynało się wszystko od nowa. Potem były ogromne wykresy, ogromne zestawienia liczbowe, owoce tych badań.

W tych czasach, kiedy znajdowałam się tam na leczeniu, ledwie chodząca, były okresy, kiedy trzeba było kończyć moją historię choroby - karta choroby. Zbyt długie przetrzymywanie chorego po prostu było niedopuszczalne. W każdej chwili mogło kończyć się nie tylko wyrzuceniem go przed zjawieniem się komisji ale być może ciężkimi konsekwencjami dla kierownika tej kliniki. Dwa razy byłam przenoszona czasowo do innego miejsca. Tak właśnie profesor Daniszewski starał się ratować swoją rodaczkę, Polkę. Raz jeden przewieziono mnie do tzw. Pierwoko Łazareta, to był lazaret nr 1, niedaleko od Presedlenowo Łazareta, to był zwykły lazaret więźniarski. W dużym baraku męskim oddzielony był wysokimi zasłonami małe kątek dla kobiet. To był barak najbardziej odpowiadający celowi przechowania mnie, tzw. ropnej chirurgii. Lekarzem był Rosjaninem łagodny, bardzo przyjemny, delikatny, oczywiście też więzień. W tym baraku zapoznałam się z tymi, którzy tam leżeli. W jaki sposób odbywało się leczenie?. Było minimalne ale w miarę możliwości, w miarę sił, wszyscy, obsługa - też więźniowie, lekarze robili dla chorych więźniów.

Małe epizody z mego, niedługiego tam przebywania. Jeden to w czasie rozdawania obiadu, a więc jakiejś zupy w miskach, nagle usłyszałam od siedzącej obok kobiety: spasiba, bolsze nie hoczu, dziękuję, więcej nie chcę. Zdumienie, tak się nie odpowiada w obozie, a więc Polka chyba. Rzeczywiście Polka. Niemłoda osoba, która też przybyła po swojej działalności podziemnej, więzienie, potem etap i teraz jest w tym obozie. Troszkę ze sobą porozmawialiśmy. Ale takie charakterystyczne, od razu z tonu zwrócenia się, świadczyło, że to chyba jest ktoś z naszych.

Epizodzik drugi był inny. Kiedyś budzę się w nocy. Siedzi na mojej pryczy na brzegu, chłopiec młody, jeden z chorych, z męskiej części /baraku/. Odsłonił lekko na mojej piersi koc i z takim dziwnym, bardzo delikatnym, smutnym uśmiechem wpatruje się we mnie. Wiedziałam, że to jest Łotysz z jakiegoś oddziału Łotyszów, których używali Niemcy do specjalnych zadań, jest bardzo młody, niespełna rozumu, ale z powodu wyniszczenia czy awitaminozy był w tym szpitalu. Po prostu siedział i wpatrywał się. Na razie nie było żadnego strachu, tylko zaczęłam po rosyjsku, on nie rozumiał języka rosyjskiego w ogóle, tłumaczył delikatnie, żeby poszedł już spać, że jest noc, późno, że ja chcę spać pokazywałam ruchami. No i w końcu pośzedł do siebie.

Kiedy nas tam przywieźli, jakąś budką sanitarną czy jakimś samochodem, powitał nas, nie wiem, kierownik czy jeden z lekarzy - Żyd. Powitał nas takim dziwnym, bardzo przyjemnym zdaniem. Znowu z tą ogromną życzliwością więźnia, jednocześnie człowieka do człowieka. Boh nie dast, swinia nie sjest, Bóg nie da, świnia nie zje, a więc nie bójcie się, nie bój się.

Tam zobaczyłam po raz pierwszy więźniów prowadzonych do bani, czyli do łaźni. Na nogach mieli, nazywały się to chyba czółnie, jeśli pamiętam, może to myślę z inną nazwą ale chyba nie. To z opony samochodowej, tak związany czy sklecony czy zszyty kawałek gumy. W to wsuwało się bosc nogi i w tym się człapało po śniegu do łaźni mając na sobie koszulę i tylko jakiś koc, czy na głowie czy na tyłku, to już jak się komu mieściło. Później sama to miałam.

Po powrocie stamtąd, kiedy już minęła groza, niebezpieczeństwo, znowu pogłam tam się znajdować, leczyć. Znowu uczestniczyć w tych pracach. W laboratorium zaczęto mnie, znowu z dyspozycji profesora, troszeczkę przyuczać do prac technicznej laborantki. A więc farbowanie tzw. maskow, czyli różnych preparatów: krwi, moczu, płwocin itd, pomoc przy pobieraniu soku żołądkowego i różne tego rodzaju rzeczy, których miałam powoluteńku nauczyć się.

Od razu powiem, że po jakimś czasie profesor urządził mnie i Lusi egzamin na techniczną laborantkę. Przybył kierownik całego obozu północnego, tego pieczorskiego, ktoś z lekarzy, był oczywiście prof. Daniszewski, ktoś z miejscowych, pani doktor Woronowa- laborantka. Zadano mnie i Lusi po jednym pytaniu. Stwierdzono, że zdałyśmy egza-

min. Jakiś papierek został podpisany, którego nigdy później na oczy nie widziałam, zresztą nie myślałam, że kiedykolwiek mi się przyda w dalszych losach obozowych. To było taką piękną dbałością profesora by jeszcze czymś ulżyć w dalszej doli obozowej mnie i Lusi.

Inna przerwa w tamtym pobycie to było przeniesienie mnie do Pieryslynowo Lazareta. Tam spełniałam obowiązki sanitariuszki w baraku też panosników, tylko dzieci. Dzieci dyzenteryjnych. To była chyba jedyna możliwość, Bogu dzięki, że taka była, mogłam przez ileś tam tygodni, nie pamiętam przez ile, przetrwać kolejne niebezpieczeństwo w klinice NIB. To była zima. Co tam robiłam? Myłam ubikacje, prałam codziennie stosy pieluszek zabrudzonych przez dyzenteryjne dzieci. Rękawiczek nie było żadnych. To właśnie taka była rzeczywistość. Czasami nosiłam te dzieci gdzieś do matek czy na jakieś zabiegi. Po takiej pracy, też potrzebnej, dającej pewne doświadczenie, mogłam znów powrócić do kliniki NIB.

W klinice NIB zachodziły różne zdarzenia miejscowe. Kiedyś przybył zespół artystyczny, jeden z tych, które krążyły po obozach. Były wozzone filmy, których parę obejrzałam wraz z innymi więźniami, albo była to grupa artystów. Tym razem, w tej grupie było kilku deklamatorów, śpiewaków, był też śpiewak Dajneka. Baryton, piękny, głęboki. ten właśnie, który w radiu i na płytach śpiewał "Szeroka strana maja radnaja". Dajneka okazał się pełnym humoru, lekkiej ironii, bardzo inteligentnym człowiekiem. Śpiewał nam coś z takim swoim lekkim uśmiechem, lekko drwiąco, smutnawo, nostalgicznie ale inteligentnym. Potem poproszono go o "Rzekę". "Rzeka" to jest murzyńska pieśń, którą znano widocznie z jego koncertów, kiedyś w dobrych, innych warunkach. Oczywiście on to wykonał. I to było takie spotkanie z tym człowiekiem, nie osobiste ale w tej grupie.

Kto tam jeszcze leżał wśród chorych? Leżeli różni ludzie, i bardziej znani i najzupełniej prości. Były opowiadania, były różne przedziwne historie ze wsi rosyjskiej. Było zetknięcie z taką rzeczywistością, że byli ludzie, którzy nie widzieli nigdy w życiu elektryczności ani nie jeździli jeszcze pociągami. Był też kiedyś, kiedy już tam znajdowała się część wolnych, Gruzin. Gruzin był wolny, wysoki, postawny, bardzo przystojny, malujący się codzien jak kobieta. Podobno to u nich było w zwyczaju. Ogólny kory-

tarz, który był wspólny tylko z jednej strony były cele więźniów, z drugiej zaś cele wolnych ludzi. Kiedyś siedziałam w tym korytarzu, podszedł do mnie i zaczął mi opowiadać o mojej przyszłości. Potraktowałam to zupełnie z dystansem ponieważ nie wierzyłam w żadne przepowiednie. Nie miałam żadnego pociągu do jakiegokolwiek wróżenia, do jakiegokolwiek przepowiadania czy wybiegania w przyszłość. Wiedziałam, że mam wrócić do kraju, że jestem na swoim miejscu ponieważ taką dolę sobie wybrałam i to jest rzeczywistość, bez względu na to, co będzie dalej jeszcze przede mną. Miałam nadzieję na powrót.

Powiedział kilka rzeczy absolutnie zgodnych z tym, co było w mojej sytuacji poprzedniej, ale nie odnosiłam się do tego zbyt poważnie. W trakcie jednej z takich rozmów, kilka razy przychodził do mnie, powiedział, że wkrótce będę miała niezwykle szczęście, tak wielkie, że sobie tego nie wyobrażam. To oczywiście było nie do wiary, jakie mogłabym mieć szczęście "nie do wawiały" będąc w obozie, w zakłuczeniu, w więzieniu, w łagrze na dalekiej północy, tysiące kilometrów od rodzinnego domu i od moich najbliższych.

Niedużo czasu minęło, kiedy otrzymuję od któregoś z felczerów wiadomość: Janineczka k`tebie pismo, Janineczko, masz list. Nieoczekiwany zupełnie. Rzeczywiście był list. Przedziwny zupełnie. List był od mojego Franusia, kogoś z tamtych jeszcze orwidowskich czasów. Czasów już wojennych, czasów podziemia. To był młody człowiek, pierwsza moja miłość, którą ja zaprzysięgałam do AK. Niedługo to wszystko trwało ponieważ zostałam aresztowana. W jaki sposób dowiedział się gdzie ja jestem, w jaki sposób mógł zrealizować i przysłać mi w tym liście czego oczywiście tam już nie było, wezwanie, jako członka jego rodziny, na wezwanie wyjazd do Polski, bo skądś dowiedział się, że w ten sposób może mnie wyrwać z Północy.

To wszystko było nierealne ale sam fakt otrzymania listu był ~~szczęściem~~ ^{szczęściem} nie z tej planety. Cuzli jednak ten Gruzin miał rzeczywiście zdolności widzenia przyszłości i przeszłości też.

Jeden z lekarzy, też Gruzin, okresowo tam pracujący, kiedyś przyszedł do laboratorium i wyraził chęć powróżenia nam, p. doktor Worohowej, Lusi i mnie, na fasolkach. To jest ich bardzo stary, starożytny sposób wróżenia. Rozkłada się fasolki i z różnych ich układów opowiada

się przyszłość. Co tam było prawdziwego, nie pamiętam, zapamiętałam tylko, że to u nich jest w użyciu.

Jeśli chodzi o wróżby, to jeszcze przedtem, kiedy byłam w Orwidowie, w czasie wojny, do naszego sąsiada działkowicza, też pracownika Dyrekcji Kolei, tak jak mój tatuś, przyjechała krenna, po pobycie w Kazahstanie. Była wywieziona tam z kilkorgiem małych dzieci. Przebyła tam gehennę. Dzieci siedziały zupełnie nagie na piecu, ona wróżyła, w ten sposób zarabiała cokolwiek na przeżycie. I robiły na drutach we dnie i w nocy. W ciemne wieczory, ponieważ nie było tam światła, przez butelkę z odbitym dnem przepuszczając nitkę żeby się nie plątała, wszyscy, i dzieci i ona nauczyły się robić na drutach skarpety. Wykonywały zamówienia dla miejscowej ludności, w ten sposób przeżyły. Potem ^{jakims} niemałym cudem wyblagała, wyprosiła jednak powrót do kraju. Wróciły. Umiejętność wrózenia ze sobą przywiozła. Skąd ją miała, nie wiem, zdaje się, że tam od kogoś się nauczyła. Jako różrywkę, zaproponowała, że będzie wróżyć tam obecnym w domu sąsiada. Nie interesowało mnie to absolutnie, tylko kiedy nadeszła moja kolej, nie mogłam odmówić, bo byłoby to nieuszanowanie jej propozycji, jej dobrych chęci. Powiedziała mi parę rzeczy, które absolutnie nie były jej znan, że w moim domu jest dwóch mężczyzn i że jest jeszcze trzeci gdzieś koło mnie, że będę w kazionnym domu, tzn. w więzieniu. To słynne powiedzenie "kazionny dom" we wszystkich wróżbach, w języku rosyjskim. "Kazionnyj dom" tzn. państwowy dom, było to równoznaczne z więzieniem. Ale, że stamtąd wrócę. "Kazionnyj dom" dla mnie, nie zapadł w mojej świadomości tylko do pamięci, ale to, że prawdę powiedziała o mojej sytuacji rodzinnej, zgodne było z rzeczywistością. Nie zwracałam uwagi, nie przywiązywałam żadnego znaczenia do tego, co dalej miało być i nawet nie pamiętam dalszych jej wróżb, ponieważ po tym "Kazionnym domu" przestałam słuchać jej wypowiedzi.

Wracając do kliniki NIB. Były tam przecież i Boże Narodzenia i Wielkanoc. Dwa lata i osiem miesięcy, jak się okazało z moich zapisów, tam spędziłam. Wielkanoc, to była chyba nie pierwsza, może druga, bo pierwszą przeżyłam w strasznej chorobie. To był pierwszy atak astmy bronchialnej. Leżałam jeszcze wówczas bardzo słaba, tylko nagle wieczorem zaczęłam się ~~dis~~disudusić. Można było powietrze wciągnąć ale wydech się nie udawał. To było straszne. Leżące obok kobiety wezwwały

lekarza. Lekarz wiedział co to jest. Zaczęto mi pomagać. Dostałam zastrzyk, wiem, że doszło do masażu serca. W każdym razie po duszeniu się następowało ziębniecie kończyn, ziębniecie twarzy no i po tym prawie zatrzymanie serca. Z tego mnie wyprowadzono i lekarz, który przychodził do mnie ^{później} kilkakrotnie w nocy, sprawdzał jak się czuję, powiedział: "tak, pierwsza Wielkanoc w obozie".

Była też Wielkanoc, nie wiem, chyba już druga w tej samej klinice NIB, kiedy nagle, też jeszcze leżąca, bardzo słaba, otrzymałam zamówienie, jako grzeczną prośbę od prpf. Daniszewskiego - zrobić święcone dla wolnego kierownictwa obozu. Święcone to było jakie? Upieczone z mąki i tłuszczu parę malusieńkich krążków i maleusienka bułeczka w kubeczku, która miała być paschą, po rosyjsku "kuliczom", czyli ciastem wielkanocnym po polsku. Z odrobiny masła i cukru, trzeba było najpierw ten cukier zetrzeć na deskach na puder, trzeba było zrobić krem. Posmarować te krążki. Z wierzchu ubrać witaminami żółtymi i zielonymi, przybłać jakąś gałązką z zielonego papieru tę babeczkę. Z paru konstek cukru wyskrobać jajeczka, pomalować je farbami z laboratorium, bo tam były te farbki kolorowe, jako jajeczka świąteczne. Z waty zrobione było gniazdko pomalowane na zielono, jakąś gałązką. I to było o dziwo, dla wolnych a przecież komunistycznych władz obozowych, posłane z kliniki NIB od prpfesora Daniszewskiego święcone.

Boże Narodzenie też było tam inne niż później w obozach. Każde było swoiste. Choinkę przywieziono z lasu. Choinek było tam dużo. Dostała się taka wspaniała, do sufitu. Czym można ją było przybrać? Z gazy, waty, z niteczek, z odrobiny czerwonej farbki zrobiliśmy jabłuszka. Nauczył nas tego prof. Żwironas z Litwy, fizyk - klimatolog, jak się później okazało. Te jabłuszka zawisły na choince, natomiast ze stearyny zrobiliśmy świeczki - też własnego wyrobu i choinka była choinką Bożego Narodzenia.

Profesor Daniszewski w takie świąteczne dni czemuś prosił nas, mnie i Lusię do holu, to było pierwszego dnia świąt, nie pamiętam już których i sam bardzo uroczysty, rozpromieniony, składał nam pierwszy życzenia świąteczne. Ta więź z Polską i ten duch polskiej tradycji w nim był bardzo żywy.

Jakie jeszcze prace prowadziła ta klinika NIB? To nie tylko było badanie działania witaminy "C" na organizm człowieka w różnych chorobach i zdrowiu ale też były pierwsze próby uprawiania warzyw i badanie klimatu. Właśnie profesor Żwironas Anton Iwanycz założył tam pierwsze obserwatorium meteorologiczne. Dostali w jakiś sposób z Litwy czy skądś maleńką tzw. angielską budkę do mierzenia ciśnienia, kierunku wiatru jakiś maleńki wiatraczek, termometr naziemny, termometr ziemny i codziennie były zapisywane dane meteorologiczne. Potem zestawiano z tego tablice i to też było kojarzone ze stanem zdrowia i z innymi danymi badań tej północnej krainy, dotychczas jeszcze nie badanej. Natomiast na terytorium ogródka, niezbyt dużego ale mającego tam może kilkadziesiąt grządek, pracownicy, też więźniowie ale medyczni, mieli przydzielone małe kawałeczki ziemi do hodowania jakiejś kultury rolnej, z tym, że tzw. udobrenije, czyli nawożenie było tylko własnym przemysłem, z własnego organizmu. Tam wówczas próbowano się sadzić z otrzymanych paru ziemniaków, rozdzielone to było na poszczególne oczka, czyli pędy, kilkanaście, jeśli się nie mylę, gatunków ziemniaków, ileś gatunków kapusty, był nawet próbowany groszek zielony i jakieś jeszcze inne warzywa. To wszystko pierwszy na tamtych ziemiach, dało swój plon w tamtym miejscu, na terenie kliniki NIB. Potem po latach, kiedy już po przejściu innych północnych obozów wylądowałam ~~na~~ ^w samym mieście Pieczora, potem jeszcze po iluś latach mieszkania tam, na bazarze w mieście Pieczora już leżały stosy warzyw: buraczków, marchewki, pietruszki, ziemniaków. To był ten niespotykany przedtem przez stulecia na tamtym terenie widok. Warzywa nie były przywiezione. Na bazarze to już były własne bo myśmy we własnym ogródku w mieście Pieczora hodowały rzodkiewkę, cebulę, marchewkę, pietruszkę, koper i ziemniaki. Z tym, że ziemniaki musiały być, w tamtym klimacie, najpierw wypączkowane, tzn. w domu trzeba było przez ileś tygodni trzymać na podłodze, w atmosferze cieplej aby puściły te pączki, żeby pączkowały. Potem się sadziło już wypączkowane do ziemi. Później w ciągu pierwszego miesiąca kiedy już były małe krzaczki a występowały jeszcze mrozy, paliło się ogniska na rogach. Czasami zupełnie marzła cała zielenina i potem odrastała. Czasami jakoś się uchwalała no i w czasie lata - tylko lipiec, sierpień ale doba była na okrągło słoneczna, około trzech go-

dzin słońce było za horyzontem ale światło nawet stamtąd promieniowało tym aspektem potrzebnym do wzrostu roślin. Przez te parę miesięcy całkowicie wyrastały nawet bulwy wspaniałych, oczywiście tych wczesnych gatunków ziemniaków no i te inne warzywa. Rzodkiewkę myśmy ostatnio siały osiem razy w ciągu sezonu letniego, co tydzień nowe rzadki. Jedne się zjadało, drugie wyrastały z tych nasion przysłanych, przywiezionych z południa, szybko rosnących. Więc to właśnie była działalność kliniki NIB. To było badanie klimatu, a z tej pierwszej stażki klimatologicznej, też już po latach, dowiedziałam się, że tam w Pieczorze jest stacja klimatologiczna. To już jest specjalny budynek, specjalne obserwacyjne aparaty. Jest to jeden z punktów na klimatycznej mapie świata. Czyli te początki tam zostały nadane. Myśmy byli jakimiś maleńkimi uczestnikami przez swoją chorobę, przez swoją maleńką pracę.

Raz jeden byłam w odwiedzinach u jednej osoby, która leżała kiedyś w klinice NIB, To była Polka i z jakiegoś powodu, przykrego, została przeniesiona do szpitalika, tego Pieresylnego Lazareta. Tam warunki, niestety były takie, jakie spotkałam po przyjeździe z etapu na Pieczorę. Jedzenie było takie, że przy mnie dawano jej dosłownie parę łązeczek czarnej zupki z żytniej mąki i parę łyżek czarnej kaszy z tej samej żytniej mąki. Na kolację była łyżka stołowa ziemniaków wiekkości fasoli. Warunki tam były już fatalne. To był Peresylny Lazaret albo się szło do grobu albo się dalej jechało, było się wysyłanym na dalsze inne kolonie, do pracy w łagrach.

Jeszcze raz na tym pieczorskim terenie byłam w innym miejscu, w tzw IV baraku, czetwiortyj barak w Pieresylnym Lazarecie. To był barak już ozdowieńców czyli dochodiag, to jest tych, którzy byli absolutnie słabi ale już nie leczeni a przetrzymywani torchę. Pomagali troszkę przy wożeniu drwa z lasu, w jakimś obsłudgiwaniu tych baraków czy też szli oni czasami na tzw. aktirowkę. Czyli jeśli był jakiś mały wymiar kary i niegroźna statia - czyli paragraf, to byli aktirowani czyli spisywani z listy więźniów, mogli jechać do domu, ewentualnie jako ciężko chorzy szli do innych lazaretów potem, albo też o ile tyle mogli się ruszać, że byli posyłani do pracy.

Tam była taka nieoficjalna gradacja. To było zapisane przez jednego pracującego w klinice, inteligenta zresztą. Ktoś gdzieś pisał pamiętniki, czy też może zapamiętał swoje wspomnienia.

Rabatiaga - to jest pierwszy stopień, to jest rohotnik,

dochadiaga - to jest drugi stopień, kiedy człowiek jest już bardzo, bardzo słaby, potem był

aganiak - to jest tylko tłący się ale jeszcze ognieniek życia

fietilok - to jest tylko knotek

osinowyj koł - to jest to co stawiano nad zakopanym ciałem więźnia, to jest właśnie kij z osiny, bo tam na północy ta osina rosła. Na tym była deseczka nie deseczka ale w każdym razie ten osinowyj koł był.

Dochodiaga to ten drugi stopień, to ci, którzy, w tamtym nazewnictwie, z którym ja się spotkałam, byli bardzo słabi, powłóczyli nogami ale można było zaprząć ich do sań w iluś, czterech czy sześciu i mogli przywiéżeć, oczywiście z jakimś kolosalnym wysiłkiem, jakieś drwa czy też mogli coś zanieść, a potem mogli iść na swobodę albo do pracy albo do lazaretu.

Dlaczego ja tam trafiłam? Kiedyś gdy byłam w klinice NIB, pracowałam pomagając troszeczkę w laboratorium, przed Bożym Narodzeniem pomyślałyśmy z Lusią czy można będzie podzielić się z Polakami, którzy są prawdopodobnie w innych barakach tego Pieresynnego Lazaretu. Bo klinika NIB była po prostu w jednym z baraków tylko miała zupełnie inne prawa i miała ogrodzenie. Gdyby nie to ogrodzenie, ogródek byłby rozszarpany przez tych dochodzących, wygłodniałych więźniów. Zbierałyśmy cukier, który otrzymywałyśmy codziennie, jakąś malusieńką rację i z tego zebranego cukru ugotowałyśmy tzw. cukierki, czyli cukier z wodą gotował się tak długo aż zastygł. Potem pokrajałyśmy na kawałeczki. Dostałam w jakiś sposób arkusz papieru, to było coś zupełnie niesamowitego, ten arkusz został przez kogoś mi dany. Pokroiłam go na kawałeczki, zrobiłam z niego koperty. Sklejało się wówczas papiery potrzebne do dokumentacji, kleju nie było, więc tabletki witaminy "B" roztarte z wodą stanowiły klej. Takim klejem zostały te koperty sklezione. Przedtem jeszcze, Lusia mogąca chodzić jako laborantka pa lazarecie, przez znajomych felczerów dowiedziała się

w jakim baraku są Polacy. Tam było wszystkiego kilka osób. I przed wieczorem w dzień wigilijny, profesor pozwolił mi razem z nią pójść, złożyć życzenia świąteczne i zanieść te malusieńkie, odrobinę tego prezentu, każdemu z obecnych tam Polaków. I prawdopodobnie w ten sposób, bo innego nie pamiętam, zaszłam do tego IV baraku.

Tam weszłam do sali jadalnej. Było po kolacji. Stały puste, metalowe miski na stołach. Starszy człowiek, na pewno inteligentny, miał w ręku pokrywkę metalową od jakiegoś słoika. Podchodził do każdej miski, metalowej czy glinianej, już teraz tego nie pamiętam i palcem starał się ten malusieńki jakiś ślad będącej tam kaszy zebrać i na tej swojej metalowej pokrywce umieścić. I drugi człowiek, który się tam znajdował stał przed samym rogiem pokoju, prawie wciśnięty niemal w róg. Patrzył gdzieś wysoko w sufit i gwizdał. Gwizdał arię z operetki "tam gdzie skowronek śpiewa". Tu dodawać nic nie trzeba do obydwu faktów.

Jednak i dla mnie skończył się czas pobytu w obozie. Skończył się w ten sposób, że kiedy tam byli i wolni i więźniowie, wśród wolnych byli różni ludzie. W tej sali gdzie leżał profesor Żwironas, to chyba nawet nie w tej sali, ale po prostu do prof. Żwironasa podszedł chłopaczek, kilkunastoletni, wolny i powiedział:mu, że w ~~tu~~ ^{sali} gdzie on leży jeden z więźniów powiedział:"tu są polityczni przestępcy, tu faszyci, oni ~~na~~ ^{tu} nie będą, już ja się o to postaram". Tak się stało, że ten chłopaczek był śmiertelnie chory, zginął wkrótce. I ten człowiek, który zrobił tę robotę też miał gruźlicę jelit. Czasami jeszcze wytańcowywał jakieś prysiudy na korytarzu ale miał gorączkę, straszne skoki tej gorączki. Jak się potem dowiedziałam też tam zginął. Natomiast rzeczywiście stało się. Pod ten gmach /barak/ podjechał gazik. Z gazika wysiadło paru mężczyzn, coś tam załatwiali, rozmawiali z naczalstwem naszym czy z profesorem czy z kimś innym. Odjechali. Ale wiadomość była, że organ odpowiedni interesuje się już kliniką. Następnego dnia przyjechała komisja. W jednym z pokoiów, przy biurku zasiadł chyba jakiś wojskowy, dokładnie nie pamiętam. Każdego z pracujących tam, pomagających, wszyscy byli na historii choroby, nie wiem jak lekarze ale lekarze może nie ale niektórzy pomagający tak jak ja byli wzywani przed jego oblicze. Wiem, że kiedy mnie wezwano, a one zapotrzebował, zażądał wszystkich kart choroby,

Podeszłam spokojnie do jego biurka i było pytanie, z uśmiezkiem lekko ironicznym, na co jestem chora. Odpowiedziałam, że endo carditis - zapalenie wsierdza. Na to była odpowiedź, o, moja babcia chorowała też na endo carditis bardzo długo ale zmarła dopiero z głodówki w Leningradzie. Statja - pytanie zasadnicze, czyli paragraf - 11 A 5811 A 11 - możecie odejść. Odwróciłam się na pięcie. Wyszłam. Natomiast, w chwilę, czy w kilka chwil potem, jeden z komisji wyskoczył z tej sali do pomieszczenia gdzie był telefon. Byłam tam obok i słyszałam jego słowa do słuchawki "odkryliśmy gniazdko, polecają stąd wkrótce ptaszki na daleką północ". Skończyła się ich wizyta. No a myśmy oczekiwali, byliśmy pewni prawie a może nie wtedy, nie pamiętam tego nastroju, żadnych oczywiście nie było tragedii, nie było żadnych żalów. Po prostu dalej toczyły się losy jakie sobie obraliśmy. Dowiedziałam się, że profesor jest chory. Minęło kilka dni wzywa mnie do siebie. Wchodzę do tego malusieniczkiego zupełnie spokojnie. On leży w pościeli. Przytula mnie do siebie, bardzo gorąco głową do piersi i mówi "Janeczko, robiłem wszystko co można było i wiele tego czego nie wolno było". To było pożegnanie.

W jakiś sposób którego nie pamiętam, ileś osób stamtąd pojechało, do, tzn. miało jechać na północ ale ponieważ nie było czy pociągu, czy takiej okazji, czy w rozkładzie coś nie pasowało, najpierw przewieziono nas do I lazaretu. Profesor Żwironas, jako bardzo ciężko chory na gruźlicę, pozostał chyba w I Lazarecie, już tego nie pamiętam. Wiem, że z kliniki pamiętam siebie, nie pamiętam nikogo z pracujących tam innych osób, być może to jakieś inne drogi poprowadziły ich dalej. Ale w tym czasie, kiedy oczekiwaliśmy na ten nasz transport na północ, zostałam tam, jak gdyby przyjęta do laboratorium w I Lazarecie. Czy to było wówczas, czy to może był inny okres, w tej chwili, to mi się płacze, tylko wiem, że tam też spędziłam jakąś ilość dni czy tygodni.

Było to laboratorium epidemiologiczno - bakteriologiczne, w każdym razie tego rodzaju były tam badania. Tam też zapoznałam się z bardzo ciekawą praktyką. Tam pomagałam tylko próbki suszyć, zmywać i to była taka techniczna pomoc. Natomiast tam poznałam się z lekarką wolną i drugą lekarką - więźniarką, która była żoną dyplomaty radzieckiego na dalekim wschodzie. Przeinteligentną, przedowcipną osobą,

która opowiadała nam wiele ciekawych rzeczy z tamtej rzeczywistości. Pomocnikiem u nich, takim sanitariuszem do sprzątanía, mycia podług itd. był człowiek z Kaukazu, z któregoś z plemion kaukaskich, których tam jest bardzo, bardzo wiele, takich które w aułach, między skałami nie miały kontaktów nawet z innymi ich plemionami. Tam gdzie były sady jak w raju przez nikogo nie sadzone, przez nikogo nie uprawiane, tam gdzie były stada ogromne. Opowiadał o swoich daniach, o swoich ~~przew~~ sposobach prowadzenia kuchni. Bardzo inteligentny, bardzo podatny na cywilizowanie. Ta lekarka - więźniarka prowadziła mu całe wykłady, czytała literaturę, nauczyła go zachowywać się po europejsku a on był przemiły, i rzeczywiście prosty, prostolinijny, szczery otwarty. Taki szczegółik z tej rzeczywistości. Nad Pieresylnym Lazaretem, czyli tym całym zespołem baraków, w strasznych warunkach istniejącego lazaretu, jak ten, do którego trafiłam po przyjeździe z etapu, jaki był w innych barakach poza barakiem kliniki NIB, był kierownikiem, może dyrektorem, nie wiem jak to się nazywa, w każdym razie naczelnikiem, czyli naczelnikiem tego lazaretu był człowiek z Kaukazu. Imię i otczestwo, imię i imię ojca, jak się tam wszystkich tytułuje brzmiało: Suzryko Susczyłowicz, tam było dobrotliwie przekręcane na Zasryko Zaszczykowicz. Ten człowiek był dziwny. Był groźny jak lew szalejący na pustyni. Groźny był prawdopodobnie w stosunku do zła, jednak do przestępczego świata, jakichś reguł, których on nie uznawał. Przy czym się okazało, dowiedziałam się o tym i w innych okolicznościach, że był człowiekiem naprawdę pozytywnym, człowiekiem naprawdę zdrowego myślenia. Wówczas, kiedy miałam stamtąd już jechać dalej na północ, wezwał mnie do siebie. Dziwne zupełnie, do takiego straszego lwa, co on mi powiedział. Zobaczyłam go po raz pierwszy w życiu. Rzeczywiście wyglądał na takiego groźnego, dzikiego zupełnie człowieka z Kaukazu, czy gdzieś stamtąd. Powiedział: "uważaj na siebie, nie daj się zepsuć, nie daj się zdemoralizować. Wszystko przeżyjesz, masz przed sobą życie. Zostań czysta". Od innych osób słyszałam, że kiedyś on powiedział komuś "dwóch jest na tym świecie ludzi czystych, ja i ten kaukaziec, który pracuje w laboratorium.

W końcu znaleźliśmy się w pociągu. Kiedyśmy jechali i jak, już nie pamiętam. Nasze lądowanie na bardzo, bardzo dalekiej północy.

Mianowicie to co się wówczas nazywało tym końcem świata niemal, co nie było żadną nazwą, tylko zagubiony w tundrze. Tam już była tylko ziemia i niebo, tylko krzaki karłowatej brzozy, karłowatej wierzby, lekkie pagórki, dalej horyzont. To była ta ostatnia na północy kolonia kobieca. Dalej na północ był tylko tzw. okołodek z kobietami, e czyli taka maleńka grupka kobiet - więźniarek przy jakimś przystanku, do podtrzymywania kolei żelaznej. Obozu kobiecego dalej już nie było. Po wyładowaniu, po przejściu tuś tam kilometrów podeszliśmy do bramy. To już pierwszy obóz, pierwszy łagier ten prawdziwy. Dookoła druty chyba w dwóch rzędach, na rogach cztery wyżki. Po schodach wchodziło się do maleńkiej budki pod daszkiem, w której stali strażnicy z karabinami. Nad bramą wisiała jedna żarówka. Przy bramie stała maleńka budka, to właśnie była tzw. wachta, czyli po prostu dyżurka, z której po przyprowadzeniu grupy więźniów wychodzili kolejni dyżurujący wachciarze - strażnicy mający sprawdzić nasz bagaż, zrobić rewizję itd. W środku widać za drutami, może tam był i płot, tego już nie pamiętam, szereg, rząd baraków. Wyszli do nas, do naszej grupy, grupka była nieduża, wysoki wojskowy, w jakimś mundurze, bardzo wysoki, chudy, jak się potem dowiedziałam, gruźlik. Wyszła kobieta w białym fartuchu, to chyba nawet była pielęgniarka i chyba któraś ze strażniczek. Dlaczego mówię, że pielęgniarka, bo potem była mowa o lekarstwach. Po kolei, to przede wszystkim maleńki jakby pomost, płaszczyna z desek - czy może z bierwion z drew, na której mogliśmy swoje rzeczy położyć. A dookoła było płynne błoto, bo to była, nie pamiętam jaka pora roku. Potem zajrzę do kalendarzyka, będę mogła stwierdzić. Wiem, że przede mną dwie przechodzące kobiety, dwie panie z pieczorskiego teatru, był taki teatr więźniów w Pieczorze, a ponieważ waży 58 /§/ więc były wypędzone na północ. Ktoś tam był z innych lazaretów. Nie pamiętam kto był poza mną od nas, chyba nikt. Po kolei podchodzące musiały otwierać swoją walizeczkę, czemodańczyk czy też worek, które miały ze sobą. Rozkładano tam wszystkie swoje rzeczy, przeglądała to po kolei strażniczka, patrzył z góry na to wszystko naczelnik. Słyszałam tylko głosy, moje lekarstwo, potrzebne mi jest, to konieczne, dostałam w paczce. Na to była odpowiedź: dostaniesz w lazarecie jeśli ci będzie potrzebne. Zabiera się to do sanczasti. Sanczast' - to punkt sanitarny w obozie. Kolej na mnie podchodzę.

Miałam walizeczkę drewnianą, to był wielki, wielki dar od kogoś z Pieczory z NIB-u, w której nie pamiętam jakie miałam parę rzeczy, może coś z bielizny, zresztą podarowane, bo byłam aresztowana na ulicy. Miałam między innymi dwie zabawki. Któraś z więźniarek tam kiedyś zrobiła. Robiła innym, zrobiła też i mnie uroczego słonika z i małego murzynka z kolorowych szmatek. Nachylona nad tym, podaję po kolei do góry, tam ^{ktos}któraś z nich bierze, nie wiem czy naczalnik czy strażniczka jakieś moje szmatki. Potem podaję słonika, podaję murzynka i nagle słychać rechotanie. Ogromny, grzmiący, jakiś suchy, straszliwy niemal śmiech. To się śmiał właśnie ten naczalnik. Jak się potem dowiedziałam gruźlik, w stadium bardzo już zaawansowanym. Więc być może stąd taki niesamowity ^zzległ się śmiech. Te zabaweczki poleciały jedna za drugą do tego błota otaczającego i przeszłam dalej przez wejście do obozu.

Dalej barak. W baraku prycze dwurzędowe, co w środku, nie pamiętam. W innych barakach bywał długi stół w środku. Gdzie spałam? Prawdopodobnie na górze wówczas, ale potem to się zmieniło. Tu już mi pamięć nie bardzo dopisuje. Wiem tylko, że na podwójnej pryczy trzy z nas się mieściły, że koc, któryś z felczerów w NIB-ie mi się wystarał. Oczywiście od razu został podejrzany o to, że jestem jego kochanicą ale koc był bezinteresowny. To też był wielki, wielki dar od kogoś. A reszta to już taka jaka tam była, czyli siennik strużką napchany, coś pod głowę i ten koc, to chyba było wszystko na początek. I tak się znalazłam w słynnym Wasilewskim Monastyrze. Jak się później dowiedziałam, ten łagier, ten obóz miał taką nazwę, ponieważ nazwisko naczalnika, czyli naczelnika było Wasilⁱew, bardzo zresztą często spotykane w Rosji. Ale nie chodziło nazwę bo wtedy ta rzeczywistość była tak zupełnie ^{inna}inna. Ten świat był nowy, po raz pierwszy, w którym znalazłam się w ogóle. Nie tylko w życiu ale w myślach, w wyobrażeniach, z lektury, z przekazów w ogóle nie znałam obozu.

Ten świat jest inny. Do tego świata, w tej chwili przymierzać się słowami jest nie tyle trudno, co raczej, uważam to za sprawę delikatną, za sprawę zupełnie niezwykłą, specjalną. Może dlatego tak podchodzę takimi jakby kręgami do tego czym jest obóz, ponieważ to jest nie do przekazania co w nim się działo, czym on był, czym on pozostał nie

we wspomnieniach ale w osobowościach tych, którzy przeżyli, może w najbardziej pełnym sensie. A jednocześnie czym był w historii narodu tamtego, naszego. W historii tamtego kraju, w historii tamtego narodu Komi, w historii naszego wieku, naszej kultury, naszej cywilizacji, naszej psychiki. To wszystko było zupełnie inne.

Do świata lagrów jest podejście rozmaite. Spotkałam się z dwoma różnymi. Jedno było nie tyle może sceptyczne, ile oparte na nieznamości zupełnej tamtych faktów ze strony kogoś, kto po wojnie wylądował w Anglii, miał życie spokojne, ustabilizowane, normalne, ucywilizowane itd. I z pewnych ^{może} powodów, raczej politycznych, nie wnikał w przeszłość naszą tam spędzoną. Dlatego ten stosunek był trochę z pewnym lekceważeniem /lekceważący/, z pewnym brakiem zaufania do naszej, po prostu ludzkiej wartości. To było dziwne, to było może w żadkich przypadkach ale z tym się spotykałam. Prawdopodobnie są to wyjątkowe przypadki, ja nie uogólniam. Bo raczej ogólne jest przeciwstawne stanowisko, o którym też zaraz wspomnę. Ale właśnie ten stosunek może do tych, którzy nie potrafią wypowiedzieć, no bo ktoś potrafi, język niezdolny jest do tego. Obozów, tyranii, żadnych systemów, żadnych okresów historii nie da się wypowiedzieć językiem ludzkim. Może dlatego jest to tak niewyobrażalne i być może niewłaściwie pojmowane czy przyjmowane. Ale po dwóch wypowiedziach tego rodzaju wypłynęły myśli, które się złożyły w niewiele zdań, które tutaj będą na miejscu.

Jak tam było na tej północy?. Padają pytania, słychać odpowiedzi. Mróz, chłód, najcięższy klimat w Eurazji. Niedożywienie ^{prowadzące} ~~powodujące~~ do krańcowego wycieńczenia Awitaminozy, gruźlica, praca ponad siły, świat przestępczy, Niesmak bo nieprawda.

Słuchanie rzeczowej informacji nie jest poznawaniem. Nie jest poznawaniem jak było tam na północy. Wymieniając fakty z tamtego życia bez przedstawiania ich odbioru przez człowieka popełnia się czyn nieprawdy. I tak jest w istocie. Służy się pomocą by urzeczywistnić komuś pozór poznawania, gdyż przyjmując wadliwą, niepełną informację będzie on łudzić się, że już wie jak tam było. Fałsz, fałsz, fałsz. Ale istnieje coś istotniejszego od niepełnej o tym informacji. By mówić o tamtej ziemi należy ściszyć głos i obnażyć głowę. Czy nie

rozumiesz, że dotykasz myślą krainy męki, której nie potrafiś sobie wyobrazić. Przez nią przeszli ludzie, twoi bracia zmuszeni do pracy w nieludzkich warunkach, do oddania do ostatka wszystkich swoich sił do wegetowania jeszcze za granicami swojego społeczeństwa. Gdzie w drażonych dopiero kopalniach czekały straszliwe okaleczenia a odmawiających zejścia pod ziemię strzelano. Gdzie padłych w ciągu dnia na trasie przysypywano ziemią, a następnego ranka niektóre wzgórki jeszcze się ruszały. Gdzie nie mogąc wytrzymać koszmarnego życia zarażano się dobrowolnie gruźlicą połykając plwociny chorego, odmrażano sobie nogi. Gdzie po próbie ucieczki były odbijane płuca, nerki, żołądek. Gdzie niszczący wysiłek n wymuszano psychiczną przemocą nie mniej straszną niż fizyczne trudności. Gdzie bezsilność wobec wszystkiego co czyniono z człowiekiem była tak ciężka jak żelazne kajdany. Gdzie tysiące kilometrów dzielące od swojego kraju i najbliższych uświadamiały niemożność wyrwania się z tej niszczącej udręki. O takim miejscu podawać fakty co, gdzie, kiedy, jak zwyczajne informacje jest nietaktem wobec żywych i umarłych. O takim miejscu mówi się innym tonem głosu.

Ale też bywa inny stosunek do człowieka po łagrze. Stosunek ogromnej gorącej, zaangażowanej emocji potępiającej tamte czasy, tamte warunki i stosunek do człowieka po tamtej przeszłości jak do ofiary. Człowiek szanowany być powinien jako człowiek nie jako ofiara. Nie czuję się, nie jestem ofiarą ideologii, systemu, rządu. Nie chcę traktowania mnie jako ofiary. Jestem człowiekiem ze swoim własnym życiem. Podobne losy miało bardzo wielu ludzi w ciągu tysiącleci historii ludzkości. Jednocześnie mój los jest specyficzny i to ma dla mnie bardzo wielką wagę. Nie mogę się zgodzić na rolę eksponatu do pokazywania, do opisywania, do noszenia etykiety wystawionej mnie przez kogoś bez mojej zgody. Zbyt wysoko oceniam swoje życie żebym się zgodziła na taką rolę. Przy takim traktowaniu, z najgłębszym nawet uczuciem szcunku, współczucia, oburzenia, ja jako człowiek nie przedstawiam żadnej wartości. I taki stosunek też budzi we mnie niechęć.

I tak znalazła. się w nowym życiu w łagrze. Kiedy weszłam przez bramę, to tam było kilka baraczków, jakiś środek pusty. Nie oriento-

wałam się gdzie i co się mieści. Dookoła były druty kolczaste, na rogach wyżki tzw., takie maleńkie baszeńki, w których stali żołnierze z karabinami. I potem, oczywiście jestem w takim baraku. Świat tam, który ogarnął człowieka, to był świat ludzi. A świat ludzi to był język. To było to pierwsze spotkanie i to towarzyszyło potem przez wszystkie lata w obozach. Ciągłe pod tym samym dachem ludzie, pod każdym kolejnym dachem masa ludzi. Gęsto w każdym baraku i ciągle hałas, gomon. To był świat przestępczy. Było trochę osób z paragrafem politycznym ale one oczywiście nie hałasowały. Natomiast kobiety ze świata przestępczego, dla których lagier - dom radnoj, dom rodzinny, w którym spędzają większość swojego życia, wychodząc po jednym wyroku, wkrótce wracając z innym. Tam urządzały sobie wszystko, życie osobiste, życie prywatne, życie intymne, gospodarcze, kuchenne, towarzyskie. A język który był w użyciu, to było, poza kilkoma procentami słów dla nas zwyczajnych. To wszystko były słowa niecenzuralne. Przy czym nie tylko niecenzuralne, po prostu większość czasowników, przymiotników zastępowało jedno, jedyne czy dwa, jedna czy dwie nazwy organów rodnych męskich, żeńskich i tymi słowami wypowiedziano mnóstwo różnych potrzeb, różnych ocen, różnych wrażeń. To nie było przerażające, to nie było plugawe, to nie było jakieś nadzwyczajne. Po prostu wiedziało się, że to jest ich język. Ale to jest ciekawe, że atmosfera, być może poza językiem, atmosfera emocji a także ich myśli, uczuć, ich świata wewnętrznego, psychicznego, była taką zupełnie, zupełnie inną, nie z tego świata, nie z tej planety i to się dało potem bardzo ciekawie odczuć. Więc to był tak zwany ~~przestępczy świat~~ ^{przestępny mir}. Była stara kobieta, widać opiekunka ich, rodzaj matki. Matkowała im. Były młode, niektóre zachowały się ^{wywały się} elegancko. Niektóre znowu straszliwie ordynarne, wrzaskliwe. To wszystko się kotłowało. Był widocznie wieczór, po pracy, a miesiąc lipiec 1948 rok. Przeszło już 40 lat.

Jeszcze spojrzenie poza druty kolczaste. Ziemia i niebo. Ziemia lekko pofalowana, zielona bez żadnych lasów.. Niebo, słońce jaskrawe. Dzień nieogromnie długi. Obóz ten znajdował się parędziesiąt kilometrów na północy za Workutą. Najdalsze miejsce kobiecego obozu, dalej jeszcze na północ w kierunku już Karskiego Morza, czy Karskie-

go Zalewu była mała stacja Karskaja. Zdaje mi się tak się nazywała, nie stacja ~~na~~ tylko okołotok, tzn. kilka kobiet, chyba już rozkonwojowanych, w każdym razie bez takiej zony, tak mówiono, czuwały nad poprawianiem kolei żelaznej. A obozu takiego dla kilkudziesięciu czy więcej zakluczonych więźniarek dalej na północ już nie było. Ziemia, niebo, czworokąt druzów kolczastych, cztery wyżki na rogach, brama i kilka nędznych, niskich, szarych, drewnianych baraczków wewnątrz. Nowy Świat. W środku nary dwupiętrowe, piec, nak którym jak się okazało, suszyło się swoje szmaty z głowy, bo wszystko inne szło do suszarki. Podpiekało się chleb, wtedy był sytniejszy, smaczniejszy, czasami cieplejszy. Na tym piecu przed moim przybyciem, jak nam opowiadano, przywiązano i poświatrowano żywcem kobietę, za jakiegoś przestępstwo według ich zakonu, według ich prawa, świata przestępczego. Dostało się miejsce na pryczy, odejało gorok piałowo sroka, tzn. koc 45 już trwania czyli właściciela i zaczęła się praca. Pamięć nie utrzymała kolejności miesięcy, zdarzeń, nawet obozów, pół roku. To co tam zostało przeżyte jest teraz jak na filmie składającym się z obrazów, obrazów, obrazków. I tak może i właściwie tylko tak daje się to przypominać. Jeszcze wrażenie pierwsze to bania - łaźnia. W jakimś budyneczku, do którego nas grupami wpędzano, czy wprowadzano, rozbierałyśmy się go naga, no i wtedy następowało golenie pod pachami i na wżórkę, nazwijmy Venery. To goliła czasami kobieta, czasami młody mężczyzna, czasami tępą brzytwą. To było konieczne, to było zupełnie naturalne. Potem się dostawało na dłoń odrobinę tzw. myłaka, takiej mazi zielonawej, czy też może razem dostawało się małe kawałeczki, walekości kostki czy dwóch cukru na umycie swego ciała. Jak tam mówiły kobiety, z tamtego świata, albo to starczało na głowę albo na d..., ~~Potem~~ ^{Potem} trzeba czekać aż z prażarki wróci bielizna. Ewentualnie taki obrazek charakterystyczny. Można było coś przeszmyglować żeby uprać osobiście albo jeśli się miało cienką koszulę albo staniczek, biustonosz, kryjąc to w dłoniach ponieważ nie wolno było niczego wnosić, tym się myło, a więc nie rzucało się w oczy, że się pierze, a w takiej bani stała zwykle beczka, ogromna, żelazna beczka, leżała, w niej paliły się drwa, był ogień. Napalona była ona niemal do czerwoności. Po upraniu rzucało się, to

już z czasem takie umiejętności się zdobywało, na ułamek sekundy, mokrą koszulkę na tę rozpaloną beczkę. Para buchała, zdejmowało się ją prawie suchą, czasami podpaloną ale to już nie było ważne. Potem się czekało przez dewalkie, przed banikie, tzn. w korytarzyku. Zimą tam był mróz na podłodze ale trzeba było czekać aż wrócą rzeczy z prażarki.

Praca w tym pierwszym miejscu była, może jedna z pierwszych, reparaacja dachu na jednym z baraków. Nowe, nieznane. Drabina, dranka czyli te kawałeczki cienkie, strużka drewna, które trzeba było poprzybić w miejscach dziur. Wlazło się, zwiślało się na rękach. Co dalej robić nie wiadomo. Czy się trzymać dachu, czy trzymać gwoździe, czy trzymać młotek, czy trzymać drankę?. To wszystko trzeba było jakoś pokonywać. Wiatr, upał, słońce. Powoli, powoli się wchodziło się w pracę łagrową.

Ludzie. Naczelnik zony, któregośmy nie widzieli poza tym przyjęciem. Nadierałieli, kobiety, mężczyźni czyli strażnicy, strażniczki, medsestra, siostra, pielęgniarka w medpunkcie, czyli miejscu opatrunkowym, w miejscu medycznym dokąd co wieczór szły wszystkie słabe, te które chciały otrzymać zwolnienie. Otrzymać, wykombinować, wyprosić. To wszystko było prawie zupełnie niemożliwe ale czasami się komuś udawało. Potem jeszcze były w samej zonie, wśród więźniarek, pridurki, tzn. te osoby, które sprawowały jakieś funkcje. A funkcje to były: ktoś przecież musiał kierować kaptiorką tj. miejscem, składem wszystkich rzeczy, chleboreską, czyli wydawaniem chleba, suszyką - suszeniem wszelkich buszłatów, walonek itd., kuchnią, stołówką. I reszta to był świat przestępczy. I szantrapa to taka ani złodzieje albo nazywani niszczeje czyli nędzarze, głodni, piezki czyli takie nie znaczące jednostki. A ci, czy te które miały większe znaczenie, kierowały, rządziły i było je słyhać i widać.

Właściwie pierwsze wrażenia to były właśnie: ludzie, ludzie, ludzie. Brutalność, rozmowy, których się nigdy przedtem nie słyszało. Język rosyjski już rozumiałam wystarczająco. Pierwsze zdumienie, że można rozmawiać o chlebie. Autentyczne zdumienie, bardzo poważne zdumienie które w tej chwili po prostu rozśmiesza i to rozśmiesza naprawdę. O chlebie można rozmawiać. Pozostałe rozmowy to były narzekania, ciągła złość, wściekłość, nienawiść. Wybuchy, dosłownie fanatycznej

wściekłości przeciwko tym, którzy tam trzymają, przeciwko nie jakiejś władzy gdzieś w Moskwie, tylko naczelnikowi, tym ochrannikom, to najbliższe. To był kipiący ocean wściekłości i złości. A temat jeszcze drugi, bardziej bliski, bardziej częsty, bardziej ważny to był temat płci i wszelkich stosunków międzyosobowych. Ich życie stworzyło na pewno zupełnie specyficzną psychikę. Tam jest element takiej liryki, rzewności w tym, że się ubiera własną pościel. Zdobywa się różnymi prawdami i nieprawdami jakiś ładniejszy kocyk, nawet były makatki własnym sumptem wyszyte, naklejone nazy też z aplikacją zrobione, tam był łabędź, jakaś strzała przebijająca czyjąś pierś, tam był jakiś jeleni, to co my znamy. To po prostu elementy mieszczańskie go jakiegoś ujutu - po rosyjsku, czyli jakiegoś ciepła domowego, który dla nich tam był domem naturalnym. Może dla nich to było nie dlatego, że narodowe, to był erzac mieszkania, erzac domu, wolności własnego życia. To trudno inaczej sobie wyobrazić chociaż dziwnym było, że przy ich gwałtowności, przy ich absolutnie nieludzkich, brutalnych prawach, które mogły przecież wydać wyrok jeśli komuś coś się nie podobało, żeby poświęcić żywą kobietę. Zresztą widziałam, w czasie mojej bytności były inne wyroki w sposób straszny wykonywane, i że przy tym była to potrzeba jakiegoś ciepła. To chyba naturalne, po prostu ludzkie.

Natomiast nagłość, brutalność, gwałtowność, emocjonalność, to przecież inaczej by nie mogła wyglądać psychika człowieka, który jest poza prawem społeczeństwa ogólnego. Ma tylko swoje enklawy, ma tylko swoje zupełnie zamknięte środowisko i środowiska. I te środowiska chyba charakteryzuje i trzyma, po pierwsze, straszna brutalność ich praw i po drugie to właśnie są już te osobowe seksualne powiązania. Trzeciej płaszczyzny chyba nie ma. Oczywiście nie ma płaszczyzny religijności, filozofii, nie ma humanizmu myślowego, intelektu. Tych płaszczyzn nie ma. To życie było absolutnie specyficzne, a to, że ono miało te swoje zakony - prawa, które były bardzo brutalne, to się właściwie wyładowywało w zdarzeniach. Te zdarzenia znów były treścią i urozmaiceniem ich życia monotonnego, życia codziennie w ramach godzin podiomu i odboju, czyli pobudki i znaku na koniec dnia. To było po prostu specyfiką życia tego świata. Nic dziwnego, że ję-

zyk był taki jaki był, oczywiście mógł być inny. A jednocześnie, w tym świecie były pewne zachowania eleganckie. Czyli, czy to była tęsknota, czy to były takie typy z którymi się spotykałam. Kobieta mogła dosłownie elegancko, wyszukanie, ujmująco się zachować, rozmawiać z niebłatnymi czyli z tymi zwykłymi ludźmi. Mogła się pięknie uśmiechać, starała się ubrać ładnie, zadbać o siebie. W jaki sposób? Wymieniało się czy kradło lepsze sukienki od tych, które przychodziły z jakimś barachłom, czyli ze swoimi ubraniami z więzienia z innymi miast, potem się te sukienki prało, w jaki sposób? w moczu własnym, bo przecież nie było prąszków do prania. W jakiś sposób suszyło się je. To wszystko już było ich zagospodarowaniem życia domowego, rodzinnego, w tamtych możliwościach. A jednocześnie też był ^{ca}szacunek do ludzi z innego świata. Ale do ludzi, chyba czystych, w ich odczuciu. To było odczucie, nie chcę tutaj porównywać, ale jak jest uczucie u dzieci albo u zwierząt, odczucie człowieka dobrego, szlachetnego, nieskażonego jakimś złem. To być może tego rodzaju odczucie też i u nich było. Dlatego, że był ^aszacunek do kobiet, do osób, które były naturalne, proste, szanujące ludzi w ogóle. Szanujące ich z nadszatkowania, nie z chęci ułożenia sobie tam jakoś lepszego życia, tylko kiedy one czuły w człowieku naturalny, ludzki stosunek do otaczającego i otaczających i do nich także, prostotę, sprawiedliwość. To wszystko było przez nich wyczuwane i to wszystko było okazywane potem. To co my już znamy z literatury, też z innych być może wspomnień nazwa najwyższa nadawana przez świat przestępczy człowiekowi wyrażała się w słowie - ~~człowiek~~ ^{czelawiek} - człowiek, to też o czymś mówi. Ja człowiek, to jest, nawet nie słyszałam od kobiet tego nigdy, być może, że w męskich środowiskach, to było określeniem ich przynależności do władnych. To być może. Natomiast ja spotkałam się z czymś innym, z tym, kiedy chciano wyrazić uznanie dla postępcu prawego czyjegoś, wówczas nazywano tego człowieka słowem - czelawiek - człowiek. Z tym spotkałam się w jakiejś wypowiedzi innej osoby. Czela^ewiek to była najwyższa forma uznania dla czyjegoś szlachetnego, prawego postępowania. To słowo w ich języku na pewno było wieloznaczne, albo też może w założeniach, bo nie sądzę żeby każda z tych osób miała taką świadomość, że oni są tak najwyższego, powiedzmy, kalibru, humanizmu, czy

też ludzkich cech, żeby o sobie każdy z nich mógł powiedzieć, że jest człowiekiem. Nie widzę takich możliwości żeby w ich psychice kojarzyły się najwyższy walor, najwyższa wartość ludzka w każdym z nich, żeby można każdego z nich nazwać - ja człowiekiem. Tu chodzi o coś innego, nie wiem, czy to znowu, w środowisku kobiecym nie było takich uświadomień, w męskich być może kiedyś to powstało. Oni byli wolni, oni byli, w miarę swoich możliwości, a uważali, że te możliwości są prawie nieograniczone, oni byli wolni od wszystkich więzów, ograniczeń, nacisków, żelaznego całego systemu zniewolenia obowowego. W jaki sposób byli wolni? Nie wychodzili do pracy, znęcali się nad innymi, nad tymi frajerami, nad politycznymi zmuszając ich do pracy za siebie i za nich. Okradali kuchnię, okradali swoich towarzyszy oczywiście niebłatnych. Chcieli mieć dany przedmiot, sukienkę zapalniczkę, nożyki - nabe było możliwości żeby im tego nie dać, oni po prostu albo to ukradli albo człowieka zmaltretowali, a trzeciej możliwości w ogóle nie było. Czyli, że dla nich pojęcie, chyba niezawisłości, raczej wolności, nienazwane w ten sposób, tylko jakaś duma, gordość z tego, że oni żyją tak jak chcą. I być może to miało znaczenie człowieka. Być może dlatego o sobie mówili - ja człowiekiem. Nie przypuszczam, w żadnym przypadku, by mieli taką świadomość literacką by czytać Gorkiego i znać powiedzenie jego "człowiek to brzmi dumnie". Ale skąd Gorki to wziął? Ze swojej podświadomości, być może z ducha, którego czuło się w narodzie, czy może wzięte jest to z dołów społecznych. Zresztą to jest bardzo piękne, że to się czuło, to się powtarza. Mnie się zdaje, że to jest nie tylko tam spotykane. Ludzie, którzy tworzą tzw. doły społeczne, nie w sensie świata przepępczego i oczywiście nie na poziomie już odczłowieczenia, nie na poziomie absolutnej nędzy ale wielkiej biedy, tam na pewno tak się o tym czytało i spotykało, właśnie ludzie mają swoją godność, że ^{jedyną} bogactwo to mój honor. Honor to jest nazwa polska a godność to jest raczej humanistyczna ale może mniej znana. Tylko moja no nawet i zależność, też to nie istnieje, ale coś co to oznacza, to co to oznacza, to właśnie jest ich jedyną własnością. To być może tutaj jest ^{to} źródło. Przypuszczam, że językoznawcy czy też może psycholodzy czy socjolodzy bardzo dokładnie to badają ale to już niech

sobie oni to badają, chodzi tylko o ten odbiór bezpośredni ludzi tam. To są ludzie, którzy nie mają żadnej przyszłości. Zdarzenia burzliwe i krwawe i przeróżne, taki odczyn bardzo ostry, dla nich są po prostu ^{kanwa} ~~barwa~~ życia, które jest dzięki temu barwniejsze, dzięki temu ma smak, ma wartość, ma zawartość. Inaczej to byłoby nędzne egzystowanie jak właśnie mają ci pogardzani ^{przecież} frajerzy czy ludzie nie ze świata przestępczego. Jakie u nich były ich prawa? To w tym świecie kobiet z czym się zetknęłam - gra w karty. Przegrywało się życie czy jeś, przegrywało się własną pleć. To spotkałam w opowiadaniach i widziałam na własne oczy.

Najpierw o tym przegraniu życia. Przy czym to się realizowało, tu od razu wynika problem nie tyle ~~etyk~~ sumienia, nie tyle etyki. Przede wszystkim wartość życia jest żadna. Ich życie może zostać w każdej chwili zniszczone. Może ktoś zadźgać nożem, ktoś może zadusić, przegrać w karty. Więc pojęcie wartości życia to jakby coś istotnego w psychice świata przestępczego, tamtego. Bo się chyba zmienia, być może bardzo się zmieniło teraz. Życie nie miało żadnej wartości każde; cudze i swoje też. To jest bardzo dziwne. Dlaczego i swoje, daję przykład. To było w lazarecie gruźliczym. W tej sali gdzie się znajdowałam było kilka tych ze świata przestępczego, błatnych. Jadły ze wspólnej miski. Kilka ich było trzy, cztery czy pięć osób. Jedna z nich swoją łyżką przedtem przyjęła tran i po zaczerpnięciu z miski komuś się nie podobało, że jej łyżka oddała zapach tranu do tej miski. Więc co ta dziewczyna robi, która została w ten sposób oskarżona? po prostu otrzymała naganę. Ona się rozpędza i tryka głową w ścianę. Chce w ten sposób skończyć życie. Życie nic nie jest warte absolutnie. W końcu ją schwymano, położono do łóżka, nie dano jej tego zrobić. Własne życie nic nie znaczy. Ich psychika jest inna. To nie był objaw hysterii. To nie był jednostkowy wybryk. Zrozumie, wejście w ich psychikę, to nie jest nasz odbiór, to nie jest nasza koncepcja, to nie jest nasz światopogląd, to nie są nasze pojęcia, to jest inność. Ta inność właśnie jest inna. Za niewielkie przestępstwo między nimi, coś się poróżniły w jakiś sposób. Ktoś komuś czegoś nie dał, to wówczas można było skończyć ze sobą, czy można było kogoś zamordować. To jest inny świat.

Świat jest na pewno różnych formacji, też ma swoją inność psychiczną, a tutaj absolutnie inny. Ciągłe więzienie, obóz. Ciągłe tylko środowisko zamknięte. Ciągłe zniewolenie, które się łamie bez przerwy żeby być jednak sobą. Więc jak może psychika człowieka normalnego bez wykształcenia humanistycznego, bez pojęć religijnych, bez pojęć patriotycznych, bez więzów rodzinnych, jak może nie być inna psychika. Jakaż może być indoktrynacja przestępcy, który nie czyta gazet nie słucha radia. Zostaje, prawdopodobnie od dzieciństwa, włączona do tego środowiska ta osoba. Ewentualnie może nie od dzieciństwa, tak właśnie było z niektórymi. Dwa takie przykłady znam zakończone smutnie, ^{osób} nie ze świata przestępczego, które się przyłączyły do ich środowiska. W jednym miejscu, to było w obozie, w łagrze roboczym, chyba nie tam za Workutą ale w jakimś innym. Drugie to było w jednym z lazaretów. W tym właśnie obozie roboczym, dziewczyna, żeby było ciekawiej, żeby było lżej, może ją pociągnęła ta egzotyka, a może po prostu chciała troszeczkę ulżyć sobie w ciężkiej pracy bo one ^{sie} miały wszelkimi sposobami bronić, nie wychodzić, zdobywać zwolnienia lekarskie. Ta dziewczyna grając w karty z nimi, a to wszystko potem już nie jest sprawą wyboru, jest już bezwzględny nakaz, bezwzględną sytuacją, przegrała swoją pleć. Podana jej była, czy na wybór czy z nakazu, kobieta, którą ona sobie miała wziąć za partnerkę. I jak się okazało bardzo szybko, rzeczywiście nastąpiły u tej niebłatnej zmiany. Zmiany nawet fizjologiczne, bo przepreaszamała ale ona powiedziała: kiedy widzę tę dziewczynę to mam mokro w majtkach. Już nastąpiły pewne zmiany psychiczne i fizjologiczne. To jest jeden przykład. Tak się skończyło to przejście do ich obozu. Drugi przykład był gorszy, dlatego, że córka lekarzy, obojga, trafiła za jakąś sprawę bliską politycznej, czy może nie, w każdym razie nie znajdowała się w świecie przestępczym. Przyłączyła się do nich z jakiegoś powodu, znowóż, fascynacji, przygody, ciekawości. I kiedy w małej grupce kobiet miały zostać przewiezione do innego lazaretu czy innej miejscowości, a nie było pociągu, któryby tego dnia je odprawił, wyprowadzenie do pociągu to była cała, długa historia, którą innym razem opowiem,. Te chyba pięć kobiet umieszczono w ma-lusieńkiej budce, oczywiście, zamkniętej na klucz i przez kilka dni

pod rząd czekano na pociąg, ^(w) którym możnaby je umieścić. W tym czasie grały w karty. Którego dnia, strażnik, który wszedł z posiłkiem dla nich naliczył nie pięć tylko cztery. Na pytanie - gdzie piąta - pokazano mu na nary, a tam. Zabierz to padło, zabierz tę padlinę. Co się okazało. Kobiety grały w karty i przegrały. I ciekawe, nie znam tego systemu kart. Przegrały starszkę, którą zresztą potem jeszcze w Pieczorze spotkałam już uwolnioną. Taka matkująca im stara, stara złodziejka, przyjemna, sympatyczna, miła, łagodna, samo zdawałoby się się babcine czy macierzyńskie serce. Ta dziewczyna niebłatnaja ostrzegła tę struszkę w sprawie, że została przegrana, wobec tego musiała umrzeć. I w jaki sposób to się stało? Położono dziewczynę na narach, to w sposób, który był potem pokazany w filmie "Lot nad kułęczym gniazdem", który zastosował w podobny sposób Indianin. Udużenie poduszką. Jedna usiadła na twarzy na poduszce, druga trzymała za nogi, trzecia próbowała przypalać rękę, czy daje jeszcze oznaki życia. Przy czym ta, która przypalała papierosem to była ta bardzo elegancka, miła, uprzejma, światowa niemal w zachowaniach młoda kobieta. To tak /tyle/ z tych przypadków i z ich praw.

To jest absolutne nieuszanowanie życia, nieodczuwanie ceny. Dlaczego No może dlatego, że brak domu, może dlatego, że brak dzieci własnych Kto wie? Przecież instynkt macierzyński chyba i ojcowski może kontynuują, utrzymują wagę życia, chęć życia i cenę życia. Tak ja myślę więc może o to chodzi. A może po prostu cały zbiór tych okoliczności i zbiór sytuacji, warunków ich życia, do tego doprowadza co jest antybiologiczne właściwie, bo jeszcze cudze tak, ale swoje życie, to już jest inna sprawa.

Ten świat miał oczywiście wielu chorych. Gruźlica, głodówki poza tym mastyрки. Mastyрки to jest okaleczanie siebie żeby trafić do szpitala a nie iść na trasę, na tę straszną trasę, szczególnie zimą, jesienią, czyli do pracy na powietrzu.

Istotą, techniką mastyрки jest okaleczanie siebie w ten sposób: śliniło się nitkę nawleczoną w igłę, przekłuwało się, przeciągało pod mięśniem ramienia, barku, wystarczająco żeby się tworzyła flegmona, głębokie zapalenie. To się robiło na nogach, na rękach, na piersiach i można było widzieć czasami ^{przez} piękne ciała kobiece, młode, pocięte

W Tazini

w szramach. Te szramy, oczywiście, już po operacjach, po zagojedniu się. Im więcej miało się tych mastyrek, tym miało się wyższy autorytet w tamtym świecie. To znaczy operacja mastyрки od pewnego czasu była już decyzją władzy prowadzona bez narkozy, bez znieczulenia. Mastyрка nie była zagrożona karą. Cóż za kary mogą być jeszcze w więzieniu. Jest specjalne więzienie ale już dla politycznych, karcer Chorego, świętego nie posadzi się do karceru na mróz i bez ubrania na chlebie i wodzie. Krzyk był straszny ale tym podgardzały te kobiety bólem, niebezpieczeństwem, że może być w ogóle śmierć. To nie istniały takie wyobrażenia. Ja tak przypuszczam, ponieważ znam tyle przypadków mastyrek.

Odmrażano sobie nogi. W jaki sposób? Na mrozie stojące w walonkach, po prostu mocz spuszczano do walonek. Nagi stawały się mokre. Po staniu na tym ^{straszny} mrozie z mokrymi nogami, odmrażało się palce. To też były bóle koszmarnie jak słyszałam, krzyki były dzikie zupełnie, amputowanie palców. Więc to po to aby nie pracować, żeby swoją wolę zachować i to było szanowane. Pogardzenie własnym bólem, nie szanowanie własnego życia. Czyli po prostu antybiologiczna strona, znaczy przeciwna naturalnej biologii żywego organizmu jako wynik psychicznego ustawienia swego życia psychicznego w takim sensie, że będą w dalszym ciągu przestępcą, będą dokonywać takich czynów, za które się karze i wobec tego będą żyć w tym świecie ale starając się być jak najbardziej wolnym człowiekiem. W tym świecie, który jest bez rodziny, bez domu, bez społeczeństwa, bez obowiązków, bez ideałów. I jak gdyby dalszy ciąg czy efekt tego jest utrata biologicznego odczucia czy zmysłu zachowania zdrowia, zachowania się przed cierpieniem i zachowania swojego życia. Może mój schemat jest zbyt powierzchowny, może nie jest rzeczywisty. Być może do samookaleczenia też dochodzili ludzie nie ze świata przestępczego. Też znam taki przykład nie jeden ale jeden szczególnie, w sensie zarażenia się. ~~Oficer~~ Przypuszczam, że mastyrek polityczni nie stosowali bo absolutnie w naszej świadomości to nie stało jak można siebie okaleczać. Albo ^{wyjde i bede} żywy, będę jednak służyć kiedyś swemu narodowi albo ^{mastyry nie wyjde.} nie wyjde, To jest zupełnie inne myślenie. Natomiast żeby trafić do szpitala wskutek zakażenia czy wskutek może nawet odmrożenia, zranienia się czy

li samookaleczenia, to zrobić mogli to akurat ludzie nie-przestępcy. Jeden przykład, to młody oficer estoński. Naprawdę sama energia, sam urok. Wiem, bo to było w szpitalu gruźliczym gdzie się znajdowałam. Tam były przecież baraki i męskie i kobiece. Można się było spotykać na podwórku, tym bardziej, że tam też była moja znajoma Estonka i jego też znajoma. On się sam zaraził połykając. A tam dla gruźlika z otwartą gruźlicą nie było już ratunku. Jak mówiono, zaorać i potem zbombardować. Medycyna nie miała tam możliwości leczenia w tamtych czasach, a w obozie tym bardziej. U niego, jak mówiono, nie było miejsca w płucach, gdzie by dłoń położyć. To były same kawerny a on pragnął żyć. Pragnął ale późno. Dla chorych na gruźlicę tam był dobry klimat, tylko sam klimat nie leczy jeśli prątki są w organizmie. Człowiek nie zachoruje w dobrym klimacie nawet przy bardzo skąnym odżywianiu ale przy wyniszeniu organizmu, przy braku witamin całkowitym, przy stresach psychicznych, strasznych wskutek tego zniewolenia i jeszcze dodać zakażenie. Wiem, że kiedyś gdy tam pracowałam w szpitalu, w którymś z lazaretów w laboratorium, bo był taki okres /w moim życiu/ i nie było laborantki a ja byłam techniczną laborantką, po pieczorskim nauczania, szkoleniu. Przywieziono ze spec-lagru gdzie byli spec czy specjaliści polityczni, przywieziono taki mazok, czyli plwocinę do obejrzenia pod mikroskopem. Musiałam to zafarbować odpowiednio, to robiłam i zobaczyłam prątki Kocha. To był dla mnie wstrząs, bo ja zobaczyłam wyrok śmierci. Tam właśnie ten młody oficer, pamiętam, wciąga na siebie sweter, pełen energii, pełen słówca, pragnie żyć. Ale wkrótce zmarł. I do tej mojej znajomej w nocy przyszedł, w bardzo ciężkim nie śnie ale gorzej, widzeniu. Teraz - jedna ze sprzętaczek w klinice NIB, o której mówiłam. Polka, może o niej nie opowiedziałam więcej. Kiedy była posłana potem do obozu i jednak wezwano ją z powrotem, mówiła, że myślała o tym, w jaki sposób przebić sobie tym drągiem żelaznym stopę żeby trafić do szpitala, bo już nie wytrzymuje tej pracy na mrozie, na powietrzu, tzn. na zewnątrz, w polu. Były takie przebicia, odmrożenia, zakażenia, to mogli robić i polityczni, a wiem, że robili. A tak zwane mas tyrki czyli zakażenie mięśni aby był ropień, gorączka wysoka i potem operacja, to było charakterystyczne dla świata przestępczego. Nie

przypuszczam żeby robił to ktoś z nie-przestępców kryminalnych. Owrzodzenia z awitaminozy z wyniszczenia, niedożywienia, z różnych chorób, braków, łagrów, cyngi to były wysypki, owrzodzenia, głęboki wrzody. Tego miałam mnóstwo na sobie. Skórę miałam tak rozmalowaną tymi już potem śladami, że lekarze mówili, że w życiu czegoś takiego podobnego nie widzieli. Tego rodzaju schorzenia nie wymagają operacji. To musi być leczone, a więc jakieś maści, przesypki. Potem w szpitalikach, lazaaretach leczenie promieniami, jakieś naświetlania. Tam po prostu leczono. Bo taki człowiek wcześniej czy później tam trafi. Wrzody, tzw. karbunkuły, nie karbankuły a furunkuły, to były głębokie wrzody. Tu mam taki ślad, o ten właśnie. Tu był taki ogromny już ropień na rękę, zewnętrzny. Ponieważ nie było żadnego bandaża więc cały czas, przy kopaniu, przy przenoszeniu, po prostu ocierała cały czas podszewka mi ten ropień. Także rwało się swoją bielizną na kawałeczki, zawiązywało się. To tutaj miałam, pod pachami. Tego wszystkiego było mnóstwo.

Wszelkie wrzody i mastyрка to są różne choroby. Po mastyrcie jest głębokie zapalenie. To się rozdyma zupełnie mięsień, nic nie ma zewnątrz tylko zaczerwienienie. Tylko jest straszna gorączka, ogromna gorączka. Lekarze absolutnie wiedzieli kiedy jest mastyрка. Samo to się nie robi. To jest głębokie ropne zapalenie mięśni, to od zakażenia głęboko mięśniowego. Z tego nie dało się robić kamuflażu.

Przy tym temacie, wrzody, te furunkuły, wrzody z braku witamin, męczyły tam, na najdalszej północy, w kolonii, o której zaczęłam mówić męczyły, wiele, wiele więźniarek. Nie dawano im z tego powodu zwolnień więc chodziły z tymi fopiejącymi /wrzodami/ dopóki same się jakoś tam nie zgoiły. Może je jakoś przypalano. To było tak męczące, bo to najczęściej było na siedzeniu, nie można było usiąść, czasami na krzyżu, nie można było się zgiąć, na nogach, rękach itd. Jedna z kobiet przeklęła autentycznie, przeklęła naczelnika kolonii. To był nie ten co wówczas, to był poprzedni, aby on też to miał. Kiedy mu się to zaczęło, kiedy się tak męczył, że już więcej nie mógł wytrzymać, musiał prosić o przebaczenie. A historia tego jest u nas, u Mickiewicza. Przeklęła niewidoma, ślepa kobieta, matka za męczarnie

swego syna, nie pamiętam, ^{już} którego z katów, to było w czasach Filomatów i Filaretów. On nie mógł skonać przez kilka dni i nocy, aż musiał ją poprosić o przebaczenie. To nie są żarty, zresztą to znają ludzie prości te historie i nie tylko ludzie prości. To są po prostu pewne mechanizmy zupełnie konkretne. Tylko to nie jest znane nauce oficjalnej. Znają to oczywiście medycyny różne ludowe, szczególnie w krajach Afryki. I teraz, powoli medycyna oficjalna dogrzebuje się do tych mechanizmów. To tak opowiadałam co słyszałam tam, co jest prawdopodobne, że to było. A też z tym miałam przykład ale trochę inny. To pozbawienie witamin to jest raz, pozbawienie słonecznego światła - to jest dwa. Słońce tam wschodziło przez te parę miesięcy w roku na dalekiej północy. Natomiast w Pieczorze np., która była znacznie bardziej na południe, przez, zdaje się, cztery miesiące nie dochodziły promienie ultrafioletowe do powierzchni tego miejsca gdzie leżała Pieczora. Więc kiedy słońce wychodzi nad horyzont, na pewnej wysokości, jeszcze nie trafiają na ziemię promienie ultrafioletowe. Tak słyszałam. Dopiero pod wpływem promieni ultrafioletowych witamina "C" zostaje przyswajana przez organizm, a bez witaminy "C" cały szereg procesów bardzo ważnych, życiowych w organizmie jest zahamowanych. Stąd cynga to właśnie brak witaminy "C", ten skorbut słynny, straszny. Właśnie na północy gdzie był i brak witamin i brak promieni słonecznych, szczególnie tych ultrafioletowych, nic dziwnego, że było wiele tych chorób - awitaminoz. Nie tylko wysypki, wrzody, oczywiście słabość, osłabienie straszne, to wszystko było stamtąd. Przeważnie właśnie z braku witamin.

Ale też taki drobny szczegół, nie wiem czy medycyna z tym się spotkała. Tam właśnie w tej pierwszej kolonii, na palcu u mnie zaczął rosnąć mały pęcherzyk, na bocznej ścianie. Ten pęcherzyk stawał się niesłychanie bolesny, tak, że nie mogłam spać, nie mogłam go dotknąć. Ten pęcherzyk nie był duży, mógł się zmieścić na palcu. Ponieważ ani spać ani się ubrać, to był straszliwy ból, nie do opisanie. Nie spotkałam nie przedtem nigdy z takim zjawiskiem, żeby mały pęcherzyk mógł to wywołać. Poszłam do punktu, do med-siostry z prośbą żeby coś zrobiła ponieważ ja nie mogę pracować, nie mogę trzymać łopaty tą obolałą ręką, którą trzymam do góry ze strasznym bólem.

Powiedziała mi, że to jest mastyрка, dotknęłam do rozpalonego pieca, wyskoczył mi pęcherz, żeby nie pracować. Skończyła się rozmowa. Nie chodziło mi o zwolnienie, ale byłam straszliwie upokorzona, ona mogła posądzić, że ja mogłam zrobić mastyrkę. Jak wybrnąć z tego? Przekonać, jak czym? Nie mogę jej pokazać, nie ma możliwości. Chodziłam, pamiętam po zonie, nie była to zima, po pracy. Chodziłam i myślałam, co mam powiedzieć, jak przemówić do niej, żeby ona zrozumiała. Wiedziałam, że trzeba użyć jakiegoś bardzo mocnego słowa. Bo kiedy mocnymi słowami przemawiają do niej błatnyje, no to czasami działa. W końcu musiałam coś wybrać. Wybrałam. Poszłam do niej i powiedziałam: "Łuczsze było mnie w mordu dać czem skazat', czto ja zdełała mastyрку". Tak straszne słowo ja odważyłam się wypowiedzieć, jak "w mordu". Podziałało. Ona ścięła mi ten pęcherzyk nożyczkami, czymś posypała, zawiązała, no i to jakieś zakażenie znikło wówczas. A potem, kiedy był lekarz, akurat następnego dnia, powiedział, że rzeczywiście cięto była po prostu infekcja, takim to jakimś kokiem, która się mogła wydarzyć, ponieważ jasne, że są te różne awitaminozy. To taki małeńki szczegółlik.

Wracając do tego świata przestępczego. To jest takie znowóż nie do odebrania i nie do przekazania. Bo cóż to opowiedzieć?. Nawet jeśli by wyliczyła wszystkie słowa, wyliczała przez 6 godzin, przez 10 godzin w ciągu jednej doby, to by nie zrobiło wrażenia.. To znaczy, to by po prostu znudziło, nie wiem, nie wiem czy by wywołało jakieś wrażenie i jakie w psychice słuchającego, ale tego oczywiście nikt nie będzie próbował. Natomiast po miesiącu zauważyłam w sobie jakąś zmianę. Coś we mnie jak gdyby zaczęło, nie tyle martwe ale chłodne, jakoś uspione, coś zaczęło chłodzić, zamarzać. Co, nie wiem. Bardzo dziwne wrażenie. Po dwóch miesiącach stwierdziłam, że to jest w znacznie większym stopniu niż po miesiącu. I po 6 miesiącach, po pół roku byłam zamarznęta. Nie znaczy to, że zniknęło współczucie do ludzi, czy zrozumienie, odczuwanie. To jak gdyby jeszcze nie było rozwinięte we mnie, absolutnie, jak teraz. Ale było normalne myślenie, normalne odczuwanie świata ludzkiego. To wszystko istniało w mojej świadomości. Co? Coś było we mnie zupełnie zamarznęte. Byłam jakby kloc lodu w środku. Nie wiem, dla mnie jest to do dzisiaj

tajemnicą. To jakaś samoobrona psychiki, uodpornienie się w ciągu pół roku. Która sfera psychiki, w jaki sposób, jakim mechanizmem, nie wiem. Dowiedziałam, że to nie było dla mnie jakoś wstrząsające, oburzające, nie wiedziałam, że to jest taki świat ludzi, że to są słowa wstecznie biologiczne, wsteczne są słowa gwarowe, są słowa tego świata. Więc to nie było dla mnie absolutnie czymś co by mnie szarpało, oburzało, gorszyło. Absolutnie nie. To było humanistyczne podejście do tego ale czy to była obrona psychiki, czy też może, dla mnie dało to stwierdzenie inne, które nie wiem, czy nie jest nieomyślne. Ludzie, którzy w tym słownictwie tkwią przez całe życie nie mogą być wrażliwi, nie mogą być czuli. Oni są w jakimś stopniu zlodowaceni, w jakiejś sferze swojej psychiki. Czy sfera świata uczuć czy świata psychiki, emocji to na pewno nie, bo te emocje są szalejące. Więc czy właśnie uczuć czy psychiki. Może uczuć, a może zamas uczuć tam jest tylko emocja. A uczucia są absolutnie zamrożone przez tę atmosferę, nie tyle może chodzi o dźwięk, tzn. o treść słowa ile o treść emocji, która poprzez to słownictwo jest wciąż wylewana do tego pomieszczenia. Wszystko zostało jak było ale nie wiem jaka sfera psychiki, nie wiem, odczuwałam w sobie ją jak bryłę lodu, jakbym była wypełniona bryłą lodu. Tak samo czułam, obserwowałam, myślałam, bez żadnych zmian. To jest dla mnie na razie zagadką, którą się kiedyś rozpozna, rozwiąże, czy po prostu się /rozwikła/.

Psychika nasza jest wielkim światem. Według wiedzy hinduistycznej to my znamy tylko naskórek i to tak piąte przez pięćdziesiąte. My nie znamy swojej psychiki, co jest tą treścią czysto psychicznego świata? Jakaś sfera została zamrożona ale bez trwałych skutków, absolutnie nie. Kiedy to odtajało? Kiedy znalazła się w szpitalu, w lazarecie, gdzieś już blisko Pieczory. A na Pieczorze został bardzo bliski mi człowiek, profesor, Litwin. Dostałam od niego, bo posłałam przez kogoś informację, że jestem tam, list. Nie pamiętam jego treści. Po prostu list był taki jaki może głęboko myślący człowiek napisać do przyjaciela. Dostałam ten list, byłam leżąca, byłam ciężko chora. Nie spałam ani przez chwilę przez całą noc. Nic nie myślałam nic nie czułam, do rana odtajałam. Z rana to wszystko zamrożone zniknęło. To są ciekawe psychiczne zjawiska, których można doświad-

czyć tylko tam. Ale jednocześnie ci ludzie, którzy są stale w atmosferze tych emocji wyrażonych przez też wibracje, tembr głosu, to przecież są dźwięki, które mają powiązanie z psychicznymi sferami człowieka. Ci ludzie prawdopodobnie są dlatego nieczuli na życie ludzkie, na cierpienie ludzkie, chociaż mogą mieć indywidualne jakieś sfery uczuciowe, nawet może czułe i głębokie, tego niw wiem. To tylko przekazuję, bo mi się nawinęło we wspomnieniach w temacie związanym ze światem przestępczym. To nie są odkrycia, chociaż na pewno ważne dla przyszłej medycyny ewntualnie psychologii czy socjologii.

Zagadnienie walki między sobą była dwóch grup przestępczych błatnych i suk. To było w ostatnich latach mego tam pobytu. Mogę tylko powiedzieć, bo ja nie byłam tego świadkiem, ponieważ w obozie kobiecym tego nie było przy moich obecnościach tam. Natomiast tylko słyszałam to, co odbywało się w męskich a szczególnie w szpitalu psychiatrycznym. Ponieważ jesteśmy przy temacie świata przestępczego to może teraz opowiem, bo nie pamiętam kolejności.

W kolejnym lazarecie, w którym byłam z jakąś kolejną chorobą, spotkałam się z pielęgniarką, też więźniarką, też tam leżącą jako chora, pracującą w ostatnich latach w szpitalu psychiatrycznym, który był w Pieczorze. Szpital neuropsychiatryczny. Ona była Rosjanką. Opowiadała mi o przebiegu buntu. Inna pielęgniarka, która mnie spotkała już po wyjściu z obozu na północy, to ta właśnie spotkała się z echa mi czy właściwie działaniami tych walk między zakonnikami i sukami. Suczennyj, to ten, który zrezygnował ze świata przestępczego i przeszedł na służbę, powiedzmy rządowi, tzn. zaczął pracować. Ta walka była straszna, w ten sposób, że oni się w ogromnym stopniu, ogromnej ilości wyniszczyli, wyrznęli. W jaki sposób te orznięcia /wy-/ się odbywały?. Dowiedziano się o kimś, kto już wyszedł z tego świata przestępczego. Zapadał wyrok śmierci. Na przykład taka scena. Ten ktoś już była na oswobożdenii, tzn. był w jakimś pomieszczeniu, gdzie gdzie miał otrzymać dokumenty. Skończył swój wyrok. W tym pomieszczeniu był ktoś ze świata przestępczego, kto wiedział, bo to się rozprzestrzeniało, jakimi sposobami, jak ta poczta chodziła, to już ci dla których tam świat ^{łagierny} przestępczy jest życiem to wszystko umieli or-

ganizować. Był wykorzystywany ich spryt, ich zainteresowanie, ich energia, ich umiejętność, mądrość i inteligencja.

Ktoś, kto był w tym pomieszczeniu podszedł do niego witając go serdecznie i objął go rękami serdecznie za szyję. Ręce cofnął, a tamten leżał trupem. To był taki zwyczajny mechanizm. Bierze się kawałek bandaża. Tam były cienkie bandaże. Zawiązuje się parę supełków i obejmując człowieka za szyję, te supełki się przeciskają do żyły sennej po prostu i koniec. Po paru sekundach człowiek nie żyje.

Były zadźgania nożami. Przywozili do szpitala, gdzie ta pani, która mnie przyjęła pracowała jako pielęgniarka, z siedemdziesięcioma ranami np. kłutymi nożem. Skąd brali noże to już ich tajemnica. Ta pielęgniarka miała też wyrok na siebie, ponieważ dobrze odnosiła się do wszystkich chorych, więc jedni obiecywali, że ją zadźgają, inni znów ją ostrzegali. Jakoś nie wykonali swego wyroku. Dużo z nich zginęło w tych walkach. Czy była ideologia czy były myśli poza tą strasznie wybujałą emocjonalną sferą żyjącą w nich, jako właściwie ich cały świat doznań, tego nie wiem.

Jeśli chodzi o ten bunt wśród więźniów, tych błatnych, to była słynna historia w szpitalu psychiatrycznym. Płot drewniany, wysoki bardzo oddzielał szpital psychiatryczny od szpitala zwykłego, męskiego tym razem. Tamta pielęgniarka, która mi opowiadała, dowiedziała się, że się szykuje dzisiaj ostateczny wybuch buntu. I miano zrobić to w ten sposób. Miano zamordować lekarza, którego świat przestępczy strasznie nienawidził ponieważ z racji swej funkcji musiał wykrywać symulacje. A jedna z form ucieczki od pracy to była symulacja psychiatrycznej choroby. Te sposoby wykrywania symulacji były bardzo proste, śmieszne. Ktoś nie chodzi, noga mu się ciągnie, nie ma żadnej siły na to. Kiedy ten ktoś śpi rozkładają jakieś papiery koło łóżka, zapalają. Krzyk, pożar. Wówczas automatycznie człowiek słabszy nerwowo wskakuje na równe nogi. Inne /przypadki/ w narkozie prostowano nogę. Okazało się, że w narkozie człowiek może chodzić itd. Być może nawet i hipnozę stosowano, już nie pamiętam.

Miano go zamordować. Było przygotowane szkło rozбите żeby zasypać oczy wszystkim strażnikom, a sygnałem miała być czapka podrzucona do góry w szpitalu obok psychiatrycznego. Ta pielęgniarka dowie-

działała się bo też tam byli za i przeciw, będąc już na korytarzu do tego pokoju lekarskiego. Co ona robi? Wchodzi do pokoju lekarskiego, a w nim już siedzi chory, z tych strasznych przestępców, patrzy bez przerwy na lekarza. Pielęgniarka potrafiła szepnąć lekarzowi żeby wyszedł z tego gabinetu. Pielęgniarz - strażnik na korytarzu natychmiast wyrzucił na drzwi lekarza i sam z pielęgniarką stanął plecami zakrywając drzwi kiedy się zaczął ten atak. Tego pielęgniarza, bo już się wyrwali ci błatnyje z nożami, poszatковано ale wyżył. Ponieważ znalazł się w niebezpieczeństwie nie-zabity lekarz z pielęgniarką, natychmiast na syrenie i wojsko i policja i woda itd. Opanowano całą tę sytuację.

Może jeszcze przy temacie tych możliwości czy tych umiejętności czy sposobów jakimi wykręcano się od pracy, czyli po prostu starano się zapewnić sobie wolność w tym sensie, że się robiło to co się chciało czyli, że się pracowało. To były poza symulacjami próby otrucia, ewntualnie też symulacje ale chorób żołądkowych. Z otrucia to przykład był taki. Skąd brano te tabletki, te proszki, coś takiego to wszystko jest ich tajemnicą. Ich oczywiście przeróżnych działań. W tym pierwszym łagrze, obozie, zimą kiedyś wyskakujemy, przed wyjściem do pracy. Noc ciemna. Gdzieś palą się latarnie. W barakach były kopciłki tylko, nie było elektryczności o ile pamiętam. Wyskakujemy do ubikacji, takiego budynku długiego, niskiego, z kilkoma otworami okrągłymi na desce i otwór wejściowy bez drzwi. I nagle, jedna, druga, trzecia kobieta odbiega od drzwi z krzykiem wielkim jakiegoś przerażenia. Podchodzę do tych drzwi. Na progu leży ręka ludzka, tzn., ktoś tam za ścianą, w ciemności leży. Podchodzę, badam puls. Puls bije. Wołam, że trzeba zabrać człowieka, zabrać kobietę. Wyciągamy ją z ubikacji, okazuje się, że straciła przytomność. Próba otrucia, czymś się otruła. Oczywiście ją tam uratowano. Też sposób na niewyjście do pracym Albo inny przykład. W pewnym lazarecie, w którym byłam, gdzie pracowałam w laboratorium. Tam, któryś z więźniów, chyba Iwanow, nazwisko bardzo znane, więc się je zapamiętało. Jak mówiono, taki zakonnik stary. czyli naprawdę już zatwardziały czy też może doświadczony czy też może starszy wiekiem, czy też szacunkiem, błatnoy. Ma chory żołądek. Nie może nic jeść i z tego powodu

znajduje się na leczeniu. Oczywiście chodzi o to żeby rozszyfrować, właściwie ujawnić jego kamuflaż. Jego udawanie. Nie ma rady nikt nie może mu wziąć soku żołądkowego na zbadanie ponieważ on sobie po prostu nie daje. A poza tym jeszcze on nie chodzi. Nogę ma słabą, niezginającą się. Dla lekarzy to jest obraz zupełnie jasny. Przy tym sam śmieje się bezczelnie i jest otoczony szcunkiem świata przestępczego. Trzeba trafu, że w tym laboratorium, gdzie ja pracowałam wówczas jako laborantka techniczna, pomagała nam jeszcze jedna, też więźniarka, Rosjanka, bardzo efektowna, bardzo ciekawa zewnątrznie młoda kobieta. Jednak ona, nie wiem dlaczego, ale zdecydowała, że jakoś go namówi do oddania soku żołądkowego. To niby wyglądało wszystko śmiesznie, bo po co komu ma na tym zależeć. Nie wiem jakie były pobudki jej, a jednocześnie, to była arcyciekawa próba, doświadczenie, obserwacja, właśnie psychiki człowieka w tamtym świecie. Ona się ubrała jak mogła najładniej. Uczesała, umalowała, zrobiła sobie coś tam z paznokciami manicure nie manicure, w każdym razie co było tylko możliwe. I w całej krasie kobiecej przyszła do tego chorego, tego zatwardziałego zakonnika prosząc do, że chce wziąć sok żołądkowy. No i efekt był niesamowity. Zgodził się. Niezrozumiałe są zupełnie tajniki ich psychiki. Oczywiście sok wykazał, że jest absolutnie zdrowy. Oczywiście potem też wykryto ten jego kamuflaż z nogą. Wiedział o tym doskonale, co zmusiło nie zmusiło przecież, co było przyczyną, że się poddał czarowi kobiety. Tego nie wiem.

Miałam też parę obserwacji własnych z kontaktu z ich światem. Przede wszystkim w tym pierwszym baraku, takim ciemnym, najbardziej północnym i najbardziej zapełnionym światem przestępczym była młoda kobieta nie ze świata przestępczego. Miała swoje malusieńkie karty takie jakieś miniaturowe zupełnie. Ich światek grał w karty z nią czy bez niej, o coś się pokłóciły, wrzuciły /karty/ do pieca. Ona oczywiście nia żałowała, w każdym razie atmosfera tam nie była wroga w stosunku do innych kobiet nie - przestępczych ale w pewnym momencie ^{ustanowiłam, że} mnie nazywała ta starsza kobieta Anżelika, wiedziała jak ja się nazywam. Zresztą to nie było ważne bo nikt nikogo tam z tych różnych światów nie nazywał, nie kontaktowałyśmy się ze sobą towarzysko a żyłyśmy obok na tych samych pryczach. Dopiero potem zaczę-

łam myśleć co to znaczy. Anżelika, w ich pojmovaniu, bo to było u nich tam przyjęte, to imię, to jest coś związane z aniełom, łączyli z aniołem. Była ^{mł} młodziutka, widocznie wyglądałam bardzo niewinnie, na pewno nie wrogo w stosunku do nich i tę nazwę taką pierwszą otrzymałam. A drugą nazwę spotkałam w innym miejscu. Pracowałam w laboratorium, o którym wspominałam. To była połowa baraku w lazarecie którymś tam. Druga połowa to był męski barak. Kiedyś przed jakąś komisją znowu trzeba była, jak się słyszało, wyskobać, wydrapać szkiełkami do białości podłogę, drewniane łóżka. To były wielkie porządki. W pewnej chwili, przez tę ścianę - przegródkę usłyszałam krzyk. Męski krzyk bólu, powtarzający się kilka razy. Ja już byłam w laboratoryjnym białym fartuchu, ~~e~~ wyskoczyłam i pobiegłam do tamtej części gdzie był barak z chorymi. Zaobaczyłam scenę, w przedpokojku na podłodze siedzi chory w bieliźnie, trzyma się za brzuch, jęczy. Nad nim stoi kilku młodych chorych i najwidoczniej go bili. Pytam co się dzieje. A on nie chciał swego łóżka wyskrobywać. Ja z tyradą całą zwróciłam się do nich, zresztą wiedząc, że to /towarzystwo/ ze świata przestępczego. Powiedziałam, że póki tu jestem w białym fartuchu jestem medykiem, nie pozwolę żeby kogokolwiek obrażano bez względu na to kim on jest, żeby nikt nie śmiał podnieść ręki na drugiego. Powiedziałam to dość ostro no i wyszłam. Wówczas po tej scenie, ta pani laborantka powiedziała mi, no teraz, to zobaczy pani co oni robią. Przede wszystkim też ktoś ze świata przestępczego był tam sprzątaczem na podwórku. Odmiatał śnieg i spod naszych drzwi i porządkował nasze podwórko, na pewno się zemści, nie będzie nam nic robił. No ślicznie zamiótł, ślicznie wysprzątał. A potem musiałam wziąć krew któremuś z tamtych chorych, czy jakieś inne analizy zrobić. Przychodzę do ich baraku, a tam chorzy na podwórku grupką jakąś stoją, nagle widzi rozstępują się wszyscy przede mną jak przed kimś bardzo ważnym. No ale może to dlatego, że jestem w białym fartuchu. Potem któregoś dnia, tam gdzie spałam, gdzie było moje miejsce w baraku, też w szpitalnym oczywiście, bo też byłam jako chora ale i pracowałam już w tym laboratorium. Kiedyś siedzi młody mężczyzna, wiem, że ze świata przestępczego, bardzo taki przyjemny, bardzo przystojny i z kimś tam rozmawia ze znajomych kobiet. I kie-

I kiedy ja podeszłam w ich pobliże do mnie się zwraca z takimi słowami: sestronka czelawiek, czyli siostrzyczko, tyś jest człowiek. I potem się dopiero dowiedziałam, że to było najwyższe określenie człowieka. Czyli, że zostało pozytywnie ocenione to, że wystąpiłam w obronie kogoś, kto być może nawet rzeczywiście był wart jakiejś nagany ale obrona chorego, obrona ostra, obrona wyraźna, to było przez nich uszanowane.

Świat przestępczy kobiecy, na pewno miał większe zapotrzebowanie na lirykę, na uczuciowość. Zresztą to przecież był cały świat i dom mowy i rodzinny i społeczny w ramach obozu. Najpierw więzienie ale potem przecież obozów, łagrów. Były tam przez nie śpiewane pieśni, oczywiście nie tylko przez nie, śpiewały też Ukrainki, kiedy były w większych grupkach. To były rzeczywiście przepiękne, artystyczne, tak można ocenić, bo o wielkiej kulturze, wielkiej harmonii, pięknych głosach ale to zupełnie co innego. Ja w takich barakach nie byłam tylko słyszałam kiedyś, parę razy, może z innego baraku. Natomiast w tych barakach, w których ja bywałam razem z ogromną większością przestępczyń, tam śpiewano takie tęskne bardzo i oczywiście uczuciowe. Może ta nazwa duszoszczypatielnyje, rosyjską nazwa nie bardzo tutaj pasuje, bo w tej nazwie jest odrobina ironii z tego może przesadnego liryzmu. Nie może być przesadnego sentymentalizmu, przesadnego liryzmu, jest taki, jaki dla danego człowieka jest ważny, dla niego jest autentyczny. W każdym razie to są takie ciekawe, że budzące litość dla kogoś kto jest w tej pieśni wymieniony, czy też uczucia tęsknoty. To parę takich tekstów przytoczę. Dlaczego właśnie dziwne? Bo to jest świat bez litości, to tak może charakterystyczne dla ich psychiki, Na pewno bezlitosność w stosunkach między sobą w zakresie ich praw, ich zakona, to tych praw niepisanych gdzie można zabić, zarznąć, poćwiartować itd. bez mrugnięcia oka. A natura, szczególnie kobieca, wymaga ciepła, wymaga liryki i to właśnie w tych pieśniach prawdopodobnie było jakoś realizowane. Jedna z nich to chyba typowo łagrowa, tam chyba ułożona. Słowa są takie, być może są małe zmiany, jeśli coś zapomniałam.

Na wisli tuczy słowno kisti winograda

Nad majejo zakluczonnoj gałowej

Moim stradanom neť niet konca, ni kraja
Preijdi, preijdi, ja źdu tiebia s taskoj
Gde eti kudry s detstwa zawietyje
Ani zawiiali w ranniej sedinie
Gde eti gody, eti gody maľadyje
Kagda ja byľ s taboj na jedinie.

Dalszych sľów nie znam, nie pamieťam. Inna piosenka, moźe nawet ę
pieśń jest o dziecku, o dziecku gdzieś w bogatej Ameryce, dziecku
ulicy, zupełnie biednym, które śpiewa:

Padajte mi nie adkaźitie
Ja wam spaju kak źizń maja garka
Balnaja mama i wy mnie pomogitie
Ona umriot kogda prijdiot wiesna.

Zdes goroda, balszoj architektury
Stojat w nich z mramra prekrasnyje dworcy
Żiwut tam deti i zbytki ich kultury
U nich bagaty i znatny atcy
Ich nie postygniet źiznaja drama,
Im tak lechko ispoľnit swoj kaprys
A u mienia halnaja mama,

Padajtie mis, padajtie mis, padajtie mis, padajtie mis
Nie odkaźite, ja wam spaju kak źizń maja garka,
Balnaja mama, wy mnie pomagite
Ona umriot kogda prijdiot wiesna.

Zestawienie pieśni budzących litość, współczucie dla człowieka biednego mogą być wykorzystane przez propagandę tamtą, antykapitalistyczną, ale wcale nie musiały tam powstawać i wcale nie mogły być tylko tam śpiewane. Nie wiem skąd ona pochodzi. W każdym razie słyshałam ją wielokrotnie i w tej chwili, kiedy ją cytowałam, jakbym ją słyshała tam właśnie śpiewaną z ogromnym uczuciem. Przecież my wiemy, że są biedne dzieci, wiemy, że sľ ludzie, którzy chcą im sľużyć, ratować i dla nich zbierać pieniądze, na nich śpiewać, dla ich korzyści. Skala nędzy, tam a w Stanach Zjednoczonych jest widoczna dla nas z perspektywy albo czasu albo fotela. Natomiast te osoby, które tam to śpiewały, czy gdzieś ją słyshały, one nie czuły się w

nędzy, czuły się w swoim własnym świecie. Tak przypuszczam, tak z obserwacji /mojej wynika/. Także czemuś to właśnie budziło, poruszało, być może uczucia macierzyńskie. Przecież to były kobiety pozabawione dzieci, rodzin. Nie znam oczywiście pochodzenia tej pieśni, w każdym razie na pewno mogła być śpiewana tak samo z każdej estrady jak i wówczas w tamtym łagrze. Dla mnie, ja to widzę znacznie szerzej absolutnie bez ograniczeń i bez ustawienia tylko w ramach czy też na służbie, czy też dla wykorzystania jakiejś jednej instytucji. To jest ogólnoludzkie i to jest przecież ogólnie znane, więc mogło powstać gdzie indziej, a w jaki sposób trafiło do nich, tego nie wiem. Trzecia pieśń, którą zapamiętałam, to jest znana ogólnie chyba. Czy to jest pieśń frontowa, czy to jest pieśń z czasów wojny. To jest pieśń "Ech darogi, pyl da tuman", ma w sobie coś bardzo ciekawego, smętnego, coś głęboko psychologicznego, może nie w samych słowach bo to jest moment, jeden element rzeczywistości wojny. Ale właśnie ten element, który jest poza samą potyczką, samym zwarciem się, samym zabijaniem. Ten element, zresztą ja raczej wypowiem te słowa, to stąd może samo wyniknie, co chwyciło tamte osoby, które to śpiewały.

Ech darogi pyl da tuman
Chałada, trewogi da stieпноj burian.
Znat nie możesz doli swojej,
Możet krylia słożysz posredi stiepiej.
Bjotsa pyl pod sapogami, palami, lesami
A w dali buszujet płamia da pulis swiestjat
Wystrieł, graniet, woron krużyt
Moj družok w burianie nieżywoj leżyт
A daroga bystrom ~~esyeł~~ czytsa, pylitsa, krużytsa
A w dali buszujet płamia da pulis swiestjat
Dożdż da wieter, wspomniem družja
Nam darogi eti pozabyt' nie lza.

Tutaj jest na pewno coś z tych dróg, bardzo krótkich dróg, które przebywali codziennie skazańcy tam na miejsce pracy. Czasami były kilometry, czasami dziesiątki ale wówczas wożono nas ciężarówką. W każdym razie czy to rzeczywiście, czy to ziemia i niebo tylko bez-

kresna zupełnie do horyzontu. Czy to jakaś tęsknota rozlana w ogóle po ziemi ruskiej, stepach, tych ogromnych przestrzeniach. Czy to jest coś, co tak budziło, czy też właściwie tak może poruszało tęsknotę do czegoś co jest inne poza tą drogą, kurzem, deszczem, mgłą, niebezpieczeństwem utraty życia w każdej chwili. Nie wiem. To wszystko razem pasowało do tamtego świata. To jest pieśń prawdopodobnie wojenna, ja nie powiedziałam, że jest stworzona przez błątnych. To jest pieśń prawdopodobnie z wojny, czy też przez żołnierzy, czy też ludzi, którzy przeżyli wojnę na froncie, te drogi, te nieoczekiwane strzały. Ale tam, to odpowiadało niesłychanie atmosferze wewnętrznej tamtych ludzi, nie tylko błątnych, na pewno. To jest to coś subtelnego ale przecież w każdej sytuacji człowiek ma w sobie, czasami to się budzi, ewentualnie daje o sobie znać, coś co jest zawsze z nim. To z tego, co zapamiętałam.

Co jeszcze charakterystyczne w ich świecie, w ich sposobie bycia, no to ^{ruganie} ruganie oczywiście. To co po polsku nazywa się ruganiem, tam to było chlebem powszednim, na języku zawsze i stale. Co jest ciekawe może warto też o tym wspomnieć, że najgorszym ubliżeniem człowiekowi było takie ruganie, które mówiło o homoseksualizmie męskim, czyli o tak zwanej miłości oralnej mówiąc językiem kulturalnym. No wiemy doskonale, że po rosyjsku to nazywa się zupełnie inaczej ... i że byś to to właśnie ssał, i ty taki... który eś siesz .. to było najstraszniejsze ubliżenie człowiekowi. To też coś mówi, co jest chyba jednak warte i ciekawe dla naszej rzeczywistości, w tej chwili, rewolucji, tzw. seksualnej.

Chociaż u nich homoseksualizm kobiecy był normą, tzn. była najczęściej jedna taka kobieta w całym baraku, oczywiście w tej grupie osób ze świata przestępczego i ta osoba albo należała do najsilniejszej albo zmieniała partnerki ze swojej woli, czy też z tamtej woli. Oczywiście były całe sceny zazdrości, pokazywanie skrwawionego palca, że to właśnie dokonało się itd. A jednocześnie, właśnie /homoseksualizm/ męski był uważany za coś najbardziej człowiekowi ubliżającego. Teraz jeszcze jedno. Homoseksualizm męski występował tam również. Kiedyś, nie pamiętam, czy to był obóz czy to lazaret, chyba obóz. Za bardzo wysokim płotem drewnianym były baraki męskiego ±

łagru. Czasami przez wybitą czy wyskubaną dziurę coś można było zobaczyć. Tam sama też widziałam jak w tzw. Swietoczka, imię kobiece, mężczyzna za włosami, już nie pamiętam, ale chyba długimi, oni sobie to potrafili na pewno wywalczyć, w szlafrocisku do ziemi, umalowany po kobiecemu. To była ich dama. Natomiast w tych kobiecych obozach, czy też kołonnach, tam oznaką, że to jest kabieł, kabieł - to jest samiec, pies ~~myśliwski~~ ^{po rosyjsku}, ale kabieł, to jest tam normalna nazwa kobiety, która jest partnerem męskim w kobiecym towarzystwie, jest oznaką chodzenia w spodniach bez spódnicy.

Miała ^{my} taką przygodę, właściwie nie przygodę. Kiedy musiałam wyjść do pracy poza zonę, tam, dano nam spodnie tzw. obmnirowanie i jakąś bluzę. Nie pamiętam czy to było lato, wyszłam nie wkładając na to swojej spódnicy i była ogromna sensacja wśród otaczających kobiet. Patrzcie, patrzcie, u nich jest nowy kabieł. Chociaż dowiedziałam się wkrótce co to znaczy, mnie to nie interesowało, nie działało na mnie, dlatego, że wcale nie myślałam podporządkowywać się ich jakimś zakonom. Natomiast na spodnie nie nakładałam spódnicy ponieważ uważałam, że to będzie niekulturalnie. To taki drobiazg.

Natomiast w czasie jednej z wizyt artystów, taki był kursujący, jeżdżący po kołonnach, koloniach zespół artystów. Nie pamiętam już czy muzyków czy też dramatycznych, w każdym razie, kiedy po występie niektórzy z tych mężczyzn wpadli do baraku kobiecego, wiedząc, że tam są ich poprzednie partnerki. I widziałam jak wyskoczyło paru z mężczyzn w strasznym oburzeniu pełnym wstrętu bezgranicznego z okrzykiem: dno, dno! Ponieważ po raz pierwszy zetknęli się z tym właśnie, że tam spotkał ich tamtych kobiet mąż w spodniach, w butach z dumną bardzo postawą, bardzo godną, pewną sobie, godną postawie swojej. No więc oni dośłownie wylecieli jak kule stamtąd ze strasliwym obrzydzeniem. Jednak nie wszyscy, nie zawsze wiedzieli o tak takiej stronie rzeczywistości obozowej.

Tam były także jednostki biseksualne. Bardzo cenione a jednocześnie o nie najbardziej zacięte walki się rozgrywały, ponieważ, tak jak z opowiadań słyszałam, chociaż tego nie sprawdzałam w podręcznikach ani u specjalistów, były tam osoby, które miesiąc miały stan fizjologiczny kobiecy i miesiąc - męski. Więc na ten miesiąc polowano wówczas ogromnie, walkami, bójkami i innymi działaniami. Rzeczywiś-

cie kiedyś miałam kontakt osobisty z pewną dziewczyną, dość młodą, która chodziła w samych spodniach, więc traktowana była jako kabieł. Natomiast nie wiedziałam, to właśnie jest teraz jej okres męski. Przed wyjściem do pracy zaciął się zamek w jej kurtce. Przyklęłam więc przy niej żeby od dołu to zapięcie naprawić i kiedy podniosłam oczy do góry spotkałam się z jej spojrzeniem skierowanym na siebie. To był wstrząs. To obudziło tak przeraźliwą odrazę, wstręt, jakby mnie jakimś błotem, czymś cuchnącym oblano. Tak płonący tą chęcią władania, tą chucią tak ogólnie ^{nazywana} ~~nazywana~~, był jej wzrok pełen. Cemuś było to wrażenie piorunujące.

Tu może jeszcze, chociaż to nie jest specjalistyczne ale są różnice części płciowych i te różnice odgrywały tam ogromną rolę. Tylko to już nie jest takie istotne, tyle, że to zaznaczenie tego, to samo się nawiązało przy tym temacie.

To jeszcze z tamtego świata przestępczego, ważne do zanotowania, to był ich stosunek do osób ze świata normalnego. Poza stosunkiem totalnej pogardy, co zresztą, jak z opowiadań potem się dowiedziałam, rozpoczyna się w więzieniu znakiem, który być może znany jest osobom, które zetknęły się z tym światem. Kiedy wchodzi do celi nowa osoba, to mi opowiadały kobiety, bo to mnie nie spotkało, ponieważ trafiłam na cele akurat tylko z politycznymi przestępstwami tak zwanymi. Osoby ze świata przestępczego rzucają na podłogę jakąś wartościową rzecz, poduszkę, drogi szal, drogą sukienkę, coś co jest bardzo wartościowe materialnie. I znak jest bardzo wyfazysty, osoba ze świata błatnego kroczy po tej rzeczy - wiadomo, że to jest swój człowiek. Ze świata kulturalnego, obchodzi, delikatnie ją podnosi i zwraca. Oczywiście ten świat nieprzestępczy jest traktowany z ogromną pogardą. Natomiast w obozie, w łagrze, jak już wspomniałam, osoby, które są przez nich jakoś szanowane i to nawet bardzo szanowane, to jest chyba odczucie humanizmu, odczucie ludzkiego stosunku do nich, niewywyższanie się, brak jakichś przykrych cech złośliwości itd. Więc po prostu prostota, naturalność i humanizm tam traktowane były zawsze z szacunkiem.

Z szacunkiem wielkim traktowane były święta, właśnie święta religijne. Nie mogły one uczestniczyć ^w ~~w~~ nich tylko znakiem tego było, kiedy

politycznego
ktoś z tych osób ze świata przestępczego siedział i modlił się, ewentualnie zapalał świeczkę, czy też zebrała się parę osób na swoich narach i dawały do zrozumienia, czy też komuś powiedziały, że jest u nich święto, wówczas to było zawsze otaczane szacunkiem wyrażającym się w strasznym ruganiu do towarzyszek: ta wsza mać, cicho one mają święto. To było zawsze. W każdym razie w moich obserwacjach. Czyli, że potrzeba czegoś innego, może nie tyle potrzeba, ile jakaś cześć, jakiś wewnętrzny impuls hołdu, uznania, szacunku. Bo przecież sam fakt nic im nie dawał absolutnie ani nie były zapraszane, żadnej uczy, żadnej przyjemności, poza tym, że musiały zamknąć buzie i nie złosłować. To jednak samo przez się mówi o pewnym stanie, czy też o pewnej wartości psychiki ludzkiej^u tamtych ludzi.

Co było dla nich największą wartością, poza oczywiście ubraniem, ale to zupełnie innego kalibru. W ogóle największą wartość w łagrze, na kołonie, miał gęsty grzebień do wyłapywania wszy i bicia wszy. To była rzecz, która była w największej cenie. Mogła być ukradzioną oczywiście, no i była pożyczana. Jeśli w jakimś baraku był jeden to było bardzo wielkie szczęście. Oprócz grzebienia też trzeba było sobie radzić. Takie przyjemności, powiedzmy, doznaniowo - zmysłowe, w świecie przestępczym to były dwie. Jedna to był masaż, drugie - to było łapanie wszy. Masaż, to jedna siadała na tyłku u drugiej i masowała jej plecy. To są pewne takie przyjemne odczucia, nawet przy bólu. To jest jakaś maleńka namiastka czegoś związanego z odczuciami seksualnymi. A druga przyjemność, to jedna kładła głowę na kolanach tej drugiej no i ta druga wyszukiwała jej po pasemku przebierając gnidy i wszy. To takie dwie przyjemności, oczywiście z oddaniem nawzajem w tamtym świecie. W naszym to nie, trzeba było radzić sobie samemu.

I jeszcze te wspólne posiłki u nich. To było namiastką domu, rodziny. Zawsze były te słabsze, te cichsze tzw. szestiorki, albo inaczej piezki. To też były osoby w pogardzie, w pewnej dżozie pogardy. Szestiorki i piezki to mogły być nie koniecznie błatnyje, mogły być niszczyje, tzw. nędzarki. Niszczy to w tym sensie, ^{tak} że kradła tylko z potrzeby a nie dlatego, że uważa, że to jest jej sposób bycia, że to jest jej świat. Takie osoby spełniały rolę sług. Przynosiły, wyno

siły, prały, usługiwały. Ciekawe, że obie te nazwy, szestiorka, pochodzi z kart, najniższa wartość w kartach, pieszka, pochodzi z szachów. Bo pieszka w szachach po rosyjsku to jest najniższy pionek. I stąd też do słownika obraźliwego słowa i wosz i gnida, to były nazewnictwem tych, kogo one nie szanowały.

Ta kołonna, na którą wówczas byłam przywieziona, była oczywiście kolonią ciężkiej pracy. Miałam trzecią kategorię ze względu na stan zdrowia. Tę trzecią kategorię miały osoby najslabsze i ona dawała w zasadzie prawo czyli właściwie konieczność dla kierownictwa dla naczalstwa, kierowania nas na prace najlżejsze. Ale z tymi pracami było różnie. Jest to sprawa inna. Ale dawały też naczalstwu możliwość najniższej pajki /pajdki/ chleba czyli racji chleba, tzw. 300 gramów. To była najniższa racja, potem było pół kilograma za wyrobienie jakiejś normy ale nie za III kategorię pracy, to norma kopania, wywózki itd. I do 1 kg się ta racja zwiększała przy przekraczaniu normy. Młode, silne Ukrainki pracujące rzeczywiście jak woły, to one zarabiały po kilogramie. Te kilogramy nie zawsze wychodziły na dobre dlatego, że był taki przypadek. Ktoś sobie schował ten kilogram na zapas, jeszcze wymieniony za coś tam, pod materacem, pod siennikiem oczywiście. Potem zjadł te dwa kilogramy od razu no i miał skręt kiszek i operację. Ale to było raczej rzadko. Natomiast co do tego "300 gram", on był wówczas tylko sztrafnoj, dla tych innych kategorii, które powinny były pracować zawsze w normie. Kiedy otrzymywały 300 to za niewykonanie normy. I tam była taka piosenka, może też zacytuję, chociaż nie jest bardzo przyjemna:

Wsio po planu, wsio po planu

Nada srat po kilogramu

Płuczajesz trista gram kilogram.

Jedna z takich realistycznych, rzeczywiście piosenek.

Prace były, jak już wspomniałam, łatanie dachu w zonie na jednym z tych starych baraków. Kiedyś wywieziono nas na łatanie dachu bazy gdzie ~~zjane~~ znajdowały się produkty. Wieziono, czy poszliśmy, już nie pamiętam. To było dość daleko. Znowóż ziemia i niebo. Jeszcze było lato czy wczesna jesień. Stromy dość dach na budynku stojącym pojedynczo. Budynek był dość okazały, dach był dość wysoki. Musiało

się wchodzić tam, szło się do pracy, w spodniach i w ciepłogrejkach takich podwatowanych, potem zimą na ciepłogrejce miało się jeszcze buszłak, taki zupełnie mocyn, cały napchany watą. I tam na dachu na stronie południowej zdejmowało się z siebie wszystko, do majki, czyli takiej koszulki bez rękawów. Na stronę północną przechodząc wkładało się wszystko z tą ciepłogrejką włącznie i w rękawicach można trzymać było gwoździe i młotek. Wiatr lodowaty ścinał zupełnie palce. To zresztą było i w Pieczorze kiedy potem byłam tam wolna. Kiedy się szło twarzą do południa przypuśćmy a plecami do północy, to z twarzy spływał pot, plecy były zmrożone zupełnie lodowatym podmuchem. Byłam wtedy młoda, miałam siły i pokonałam ten lęk przed wysokością. Pokonałam wszystko, wiele rzeczy, do wielu rzeczy zmusza konieczność. Wiem, że chodziłam po samym szczycie, po tym kańku tak zwanym na dachu. Chociaż teraz lęk wysokości taki, że stojąc na balkonie i o piętra nie powinnam ~~przetrzeć~~ w dół, bo mam wrażenie, że spadam. Jakie są możliwości, a może zresztą to są po prostu nerwicowe, w tej chwili pozostałości tamtych różnych sytuacji życiowych i okresów życiowych.

Za to łatanie dachu na bazie dranką, czyli takimi cienkimi szczapami drewna, dał nam, bardzo litościwie, kierownik tej Zawiadujszczej Bazy, wiadro czarnej, ciemnej mąki żytniej. W tej chwili tutaj się uważa za najwyższej jakości, bo jest najbardziej rozchwytywaną przez radiestetów /dietetyków/ itd., którzy się orientują, że ma wartości bardzo wielkie w przeciwieństwie do białej mąki nic nie wartej dla organizmu. Ale tam to oczywiście był ten najniższy produkt. Ale poza wiadrem mąki w naszym rozporządzeniu nie było niczego. Oczywiście te bardzo sprytne i wszystko wiedzące i mogące kobiety ze świata przestępczego wystarały się o wiadro, już takie, w którym można gotować, o wodę, żeby tę mąkę zamieszać z wodą, o sól żeby tej soli do mąki dodać, o jakąś szczapę bardzo długą żeby tę mąkę mieszać, kiedy się będzie z wodą gotować na klajster. I potem jeszcze o to, żeby można było rozpaścić ognisko i na tym ognisku tę mąkę zagotować. Potem, żeby jeszcze zdobyć dla nas, już nie pamiętam, kawałki desek, czy czegoś innego, czy może nawet jakieś miski wypożyczone. I zrobienie jeszcze maleńkich, takich cienkich, trochę szerokich szczap zastępujących nam łyżki. I to było bardzo, bardzo ważne, smakowite danie

po trochę, po łyżce takiego kłajstru z żytniej mąki z wodą. Choć to taki szczegół ale on obrazuje stan naszych żołądków dlatego, że przy tamtym klimacie, jeszcze nie była zima ale przy wyczerpującej pracy od rana do wieczora, przy tamtym żywnieniu, mimo, że w porównaniu z tym co się słyszało o żywnieniu na męskich koloniach, no i z tym, co potem w lazaretach spotkałam, to jeszcze było bardzo dobrze. Bo tam był chleb, te 300 gramów ale to jednak był chleb, było trochę zdaje się, margaryny, Była zupa na obiad z jakichś zielonych liści, trochę z turnebsu, to jest taki rodzaj rzepy bydlęcej, buraki bydlęce, coś takiego. I jakaś ryba czy też reniferzyna, więc z daleka było już czuć odór kiedy się wracało z pracy bo to były podpsute flądry, podpsute jakieś mięso reniferów, było też mięso wielorybie, mięso rekinie. To wszystko myśmy tam dostawały. Jeszcze była kasza z owsa, owsiana, oczywiście z czyszczonego owsa, która była bardzo często i widocznie to dawało nam siły. Nazywana była kaszą icha-cha, od konia. A mięso wielbłądzie było twardości skóry, było ono po gotowaniu czemuś porcjowane i jeszcze obsuszane w piecu. Więc jak to się mówiło, jeśli człowiek chciał ugryźć z jednego końca, to już mówiło się sąsiadce, nadepnij na drugi koniec żeby można było trochę tego urwać, jakoś się jadło jednak. Natomiast mięso z rekinów było nie do jedzenia. Czy to było mięso czy to tłuszcz, w każdym razie to była chrząść tylko o takiej konsystencji, która nie dawała się jeść. Dawała się trochę polzać czy possać. Ale widocznie jakieś wartości były. Czy tam były w tych rekinach też jakieś wartości zjedzonych przez rekiny ludzi to my nie wiedziałyśmy ale myślałyśmy też i o tym. W każdym razie przy tamtym żywnieniu to była stale i zawsze potrzeba jedzenia. Kiedy się gdzieś znajdowało z wżonych tam transportów rzepy zwierzęcej czy też tego turnebsu, tych buraków zwierzęcych, znajdowało się czasami zmarznęte gdzieś na drodze, to już było zimą, chowało się do sterty śniegu, żeby potem ją odkopać i przenieść jakoś pod buszłakiem mimo tego szmonu, czyli rewizji codziennej po pracy przed wachtą. I potem kiedy to odtajało było to ciekące, cuchnące wstrętne, było to wielkim przysmakiem. Kiedyś, raz spotkałam, znalazłyśmy na drodze zielone liście z kapusty, takie, które dla bydła

w naszych czasach się wozi, zamarznięte, więc to też był wielki rarytas. To po prostu taki przykładzik z tego tylko jak wyglądało tam żywienie. Stąd oczywiście wycieńczenie i stąd awitaminozy i stąd masa gruźlicy i stąd ten widok dla mnie przerażający pierwszy raz w bani, w łaźni kobiety z ogromnymi brzuchami, wydętymi dosłownie jak balony i z ramionami zupełnie suchymi. To były same niemal kości z jakimiś resztkami mięśni. Więc te żołądki to właśnie wzdęte od razowego chleba, który otrzymywały silnie pracujące w dużej ilości. A to wychudzenie ogólne z braku tłuszczów też i białka w pewnym sensie. To były te piszczele rąk. Przy tym siły jednak były, bo kobieta wiele może. U mężczyzn zachodziło to inaczej, większe wyniszczenie, być może szybszy kres.

Następna praca, to było jeszcze w miesiącach letnich, darninowanie odkosów, darnowka adkosow, czyli tych zboczy koło kolei żelaznej. Kolej żelazna tam to była arteria życia, w sensie nie dostarczenia oczywiście pożywienia bo to było najmniej chyba istotne, chociaż też istotne żeby tamci ludzie mogli pracować, ale przewożenia, wywożenia węgla z kopalń północnych. Z ~~tych~~ ^{tej} północnej republiki Komi do Rosji na usługi przemysłu w czasie wojny. Wprawdzie to było już po wojnie ale to też było w tym celu. Z tych rozległych bardzo łąk, tzn. zielonych, po prostu zatrawionych przestrzeni, trzeba było wycinać, specjalnymi nożami w drewnianych oprawach, ogromnie ciężkimi, prostokątą. Następnie na takich noszach dość prymitywnych nosić, to strasznie ciężkie było, do tych miejsc gdzie trzeba było je /na nowo, na dno / wbijać. I te najsłabsze kobiety, szczególnie kobiety w ciąży, takie też tam były, robiły kołeczki, wyciosywały z bloczków drewna i tymi kołeczkami trzeba było wbijać tę darnowkę w zbocza. Było to dlatego potrzebne, no po pierwsze żeby zimą nie zalewały śniegi, chociaż te śniegi potem się czyściło zimą, ale nawet nie dla zimy tylko dla okresów wiosennych i jesiennych deszczów, ponieważ tamten grunt był IV kategorii, tak słyszałam, powtarzam co tam mówiono. Grunt tzw pływny, czyli płynąca glina. Oczywiście ona bez wody trwała w stanie stałym, natomiast pod dużymi strumieniami deszczu zalewała ciągle kolej żelazną. Kolej żelazna też była nietrwała, nie miała trwałej os-

brak
nowy, trwałego wsparcia na ziemi. Więc ciągle następowało osuwanie się ziemi

i pociągi bardzo ciężkie, wyładowane węglem co pewien czas. Wynikiem tego było osiadanie jednej albo drugiej szyny. Było też więc stałe podsypywanie, podnoszenie szyny na takim jakimś ogromnym dźwigu ręcznym. Oczywiście to wszystko robiły kobiety i podsypywanie świążącą ziemią, kamieniami itd. A dla zabezpieczenia przed zalaniem gliną było to darninowanie.

Kiedyś ktoś nie wiem skąd się zjawił, przyjechał może jakimś żazikiem Normalny, zwyczajny mężczyzna. To było zdumiewające zupełnie. Czy był korespondentem, czy był badaczem, czy był naukowcem? Przysiadł przy mnie i przyglądał się, dosłownie, twarzy mojej, oczom ze współczuciem w twarzy swojej nie mówiąc ani słowa. Przyglądał się ruchom moim, wtedy jeszcze były sprawne, szybkie, być może nawet harmonijne. Byłam oczywiście w spodniach bez żadnej spódnicy. I cóż z tego mogłam wywnioskować?, że nie mają prawa widocznie tacy rozmawiać z więźniami. Rzeczywiście, to się potem potwierdziło w innym przypadku Zimą było to czyszczenie śniegu przy torach, pozostając już przy nich. Zwały, góry śniegu są nie do wyobrażenia może nawet średniej strefy geograficznej. Dostawało się wówczas olbrzymie łopaty z dykty na długich trzonkach, oczywiście już w buszłatach, w walonkach, z zawiniętą szmatami głową. Właściwie przy większych mrozach czy wiatrach to się tylko zostawiało szczelinę na oczy. Przy czym nie można było zamknąć, nie należało zamykać ani na chwilę powiek, poza mruganiem. Dlatego, że po paru sekundach powieki już się nie otwierały. Były zamrożone lodem i z rzęs trzeba było ściągać całe kulki lodu, ponieważ para wodna, która się wydzielala z oddechem w górę do tej szczeliny koło oczu, tam natychmiast zamarzała już w takie właśnie groszki. To zimą.

Właśnie tymi łopatami, też było takie hasło, nie hasło tylko wykrzyknik, wtedy się nazywało brygdir, brygadzysta, bieri po bolsze, bro-saj po dalsze, czyli trzeba było odcinać jak największe sześciiany śniegu, odrzucać oczywiście jak najdalej. Przy samych torach potem jeszcze zostawała pewna płaszczyzna, kiedy aktualnie nie było zamieci i wówczas trzeba było ją jeszcze wyczyszczać. Nie pamiętam czym,

miotłami czy tymi łopatami i wiem, że tak czyszcząc kiedyś ten brzeg torów usypał się w naturalny sposób wał cały ze śniegu. I w takim wale, czemuś przyszło mi na myśl, odciąłem kawałeczek z jednej strony, z drugiej strony, trochę przyklepałam tam i siam, zrobiłam komin. Był dom. Z tego komina, wydawało się, że już idzie dym. Przysiadłam tak sobie przed tym domkiem i nagle nad sobą usłyszałam głos brygadzysty: taką, taką twoją oraz taką mać, ciebie tutaj posadzić. Skończyło się tylko na szczęście na macierszczynie ale takie odruchy, czasami jakieś nieoczekiwane zupełnie tam bywały.

Czyszczenie śniegu było kiedyś, też jeszcze w tamtym okresie, na dalekiej północy w Workucie. To dla obrazu filmowego byłaby chyba bardzo mocna scena. Mianowicie, dowożono nas ciężarówkami oczywiście. Zima tam to są straszne rzeczy. Stojąc na ciężarówce jechałyśmy 20 kilometrów, przy czym na otwartej zupełnie, pod wiatr. Przedtem szło się jeszcze 5 km do ciężarówki. Przy tym przechodzący- przez most, bo ta nasza kołonna, jak się okazało, leżała nad rzeką, nad rzeczką z wysokimi bardzo brzegami. Na tym wysokim brzegu był most, który się składał tylko z drewnianych szpał, nie wiem jak to się nazywa po polsku, w każdym razie brwion drewnianych, na których leżały tylko same szyny żelazne, o podkłady na czymś umocowane i na tym szyny i przez szczeliny widziało się rzeczkę. Latem do samego dna, zimą to było zamarznięte. Kiedy szło się w jedną stronę, walonki miało się normalne, kiedy szło się już z powrotem, to na walonkach były tzw. katki, czyli lodowe kule, przymarznione do podeszew. Na tych lodowych kulach trzeba było przejść. Następował tam bieg. Jakie siły trzymały kobiety wycieńczone, chore, nie wiem. W każdym razie to jest jeden z dowodów, że siły u nas są bardzo duże poza tymi, które my sobie wyobrażamy, że są. Trzeba było niemal biegiem iść tylko po tych podkładach już oblodowaciałych, obślizganych przez kroki, przez walonki i na swoich kawkach, tych półkulach lodowych pod podeszwami, żeby nie upaść i wpaść do rzeki. Na razie to się szło z kołony ~~prze~~ przez ten most, gdzieś tam na jakiś przystanek ciężarówek. Potem się jechało 20 kilometrów. Tak mówiono, to nie są rzeczy sprawdzone przez mnie konkretnie, ale tak powtarzam, i było się w Workucie. W Wor-

kucie na bocznicę kolejowej, tam gdzie wiele torów kolejowych krzyżowało się. Tam prawdopodobnie było to Depo czy budynek, gdzie znajdowały się zapasowe pociągi czy też wagony czy lokomotywy. I właśnie to były sceny tego rodzaju. Wichura niesamowita, a więc mietiel. Czyli niesie zupełne tumany. Białe chmury, gęste białe chmury i w tych gęstych, białych chmurach, wśród zwałów olbrzymich śniegu z tymi olbrzymimi łopatami, rozrzucone sylwetki kobiet. Zakutane, tylko szczelne linki oczów zostają, też nie bardzo przez nie widać. I one walczą z tymi zwałami śniegu, które ciągle i ciągle nowy wiatr nawiewa, przynosi z miejsca na miejsce. I chwila była taka, że powoli wysuwa się z tego Depo lokomotywa, sunie. A na tym torze stoi kobieta tyłem do tej sunącej lokomotywy, oczywiście nie widać jej, oczywiście żaden krzyk z naszej strony nie doleci, bo szaleje wichura. Jakimś cudem, opatrnością boską czy w inny sposób, ta kobieta schodzi wcześniej niż zostaje przejechana. Po takim całym dniu bez prawa ognia i pokarmu, jeszcze oczekiwanie na przybycie ciężarówki. Grzanie się jakie? Już nie można grzać się tozbijając, jak kiedyś dorożkarze, ręce o ramiona, bo na to już sił nie starcza. Tupanie nie grzeje też. Już sił nie ma więc tylko się kobiety uderzają o siebie. Odchylają, uderzają i w ten sposób się grzeją. Też było tam złamanie ręki ale to jest mniejsza strata. Potem znowóż na ciężarówce stojąc /dojazd/ do tego miejsca i potem 5 km i tam dopiero do zony. Przed zoną oczywiście trzeba się rozpiąć, przechodzi wachtiorka i nas rewiduje, czyli jest ten szmon, rękami przejeżdża przez głowę, szyję, ramiona, tułów i do ziemi. I wtedy, po kolei, każda brygada wprowadzana jest do środka. Tam możesz w swoim baraku to wszystko ^{już} z siebie zdjąć. A jeszcze przedtem, ponieważ to się kończyło zwykle późno, to trzeba było iść do stołowej, do jadalni, do stołówki i tam stało się w kolejce nad tymi najsilniejszymi, które pierwsze dorwały się do misek. Nad nimi się stało. Potem się jadło to już za plecami inne stały, też rugając, że domaż taptiem szczy chlebali a tutaj czyli w domu łpaciem chleptałaś ten kapuśniak a tutaj robisz z siebie panią, jak wielka barinia. Płoną policzki, płonie całe ciało, gorąca, parząca ta zupa, ^{tutaj} ~~tu~~ ta ruga za plecami.

Takie wówczas normalne były dni. Nawet kilka tygodni było bez przerwy na niedzielę ponieważ trzeba było tam pracować.

To był obóz Wasilewskij Mnnastyr tzw. nr 7, nomier siem, numer siódmy, o ile pamiętam, siedmaja kołonna, najdalsza na północy. No to u nas takie były realia, to podobne czy inne były w innych miejscach. Przed zimą była jeszcze jesień, Też wożono nas do Workuty na padjomku putiej, czy na to podnoszenie i podsypywanie, podsypku ryłsów, czyli tych szyn kolei żelaznych. Trzeba było wszystkie prace wykonywać, też fizycznie ciężkie, bardzo ciężkie, ale teraz chciałam wspomnieć o czymś innym.

Tam właśnie pracowałyśmy przy przejeździe, droga przecinała linię kolejową, droga prowadząca z obozu katorżników do szacht. Szachty to były piramidy czarne, a obóz katorżników był widocznie wznacznie większy, większy niż nasz. Podobno 2 tysiące ale tego już nie wiem dokładnie. Tak samo wiele wyszek dookoła. I tam właśnie, to były jeszcze dni słoneczne, widocznie było jeszcze lato, czy może początek jesieni, co 4 godziny prowadzono nową grupę katorżan, katorżników po rosyjsku. To było oczywiście swoiste, widok był jedyny w swoim rodzaju. Bo, mówię, widok, to nie znaczy, że lekceważąco się do tego odnoszę. Mnie w tej chwili mrówki po skórze chodzą. To była czwórkami uformowana jakaś brygada. Kilka czy kilkanaście tych czwórek. Każdy miał czarny ~~km~~ kombinezon i czarną czapkę, prawie czarne twarze i ręce od miazgu węglowego, białą farbą numer swój wymalowany na kolanach i plecach i czapce. Tam właśnie pracując przy podnoszeniu, podsypywaniu kolei żelaznej, co 4 godziny przechodził mimo nas mały oddziałek, kilkanaście, kiladziesiąt osób. Raczej kilkadziesiąt, za każdym razem, katorżan. Każda grupa w czworobokach, czwórkami uformowana, miała jako pierwszą czwórkę czterech z instrumentami grającą marsza. Ta czwórka maszerowała w takt marsza. Pozostałe czwórki, jak się mówiło po rosyjsku plilis, czyli te nogi i ręce, pochylone głowy, to cały czas migwały przed oczami, oczywiście nie w takt marsza. Ale co było tutaj, znowóż taki jest świat mały. Ten marsz grany tam, był jednym z dwóch, które grano w Gimnazjum Sióstr Nazaretanek na fortepianie kiedy schodziłyśmy na modlitwę przed lekcjami, na małą salę. Długo

pamiętałam co to za marsza, teraz już nie pamiętam.

Teraz jeszcze parę scenek. Kiedyś o zachodzie słońca. Niebo czerwone. Wyprowadzano kolejną, taką kolumnę, kołonnę. W tym wypadku kołonnę ludzi, kolumnę ludzi do pracy. I w jednej z pierwszych czwórek idzie ktoś jeszcze nie w tym drelichu, kombinezonie górniczym ale w mundurze oficera wojska polskiego. Idzie równo, wyprostowany z podniesioną głową, w takt tego marsza. Co się przeżywało, tego się nie wypowie, widząc to.

Scenka inna. Przy przechodzeniu tych katorżan, kobiety pracujące w tej brygadzie, w której ja byłam, jak w ogóle przy wszelkich możliwościach kontaktów^{tów} męsko - damskich, korzystały z każdej okazji żeby coś jednak dla siebie urwać. Tak było pod wagonami czasami, początki ciąży. Tak było w tym wypadku. Jakiś bilecik któraś z kobiet przygotowała. Zrobiła maleńką paczuszkę, kamuszek do środka i rzuciła pod nogi przechodzących. Tej grupie, tej kolumnie więźniów. Idący obok strażnik, pamiętam, maleńki, niskiego wzrostu, z Kaukazu. To taki typ dający się zauważyć. Spostrzegł, chwycił ten bilecik, i więźnia, który miał w ręku go, odprowadził na bok. Cała kolumna poszła dalej do szachty. On, ten wachtior, zdjął z siebie gwintówkę czyli karabin i kazał się więźniowi położyć, no więc zastrzeli. To było kilkadziesiąt metrów od nas. Kobiety zaczęły krzyczeć, podniosły krik straszny, spazmatyczny. Niektóre padały na ziemię, płakały, szlochały. Każda matka myślała o swoim synu, o swoim ojcu, o swoim mężu. To tam są te więzy rodzinne tak bardzo gorąco utrzymywane w sercu. W tamtych czasach Boga brak, życia duchowego brak, życia politycznego, życia społecznego. Jest to naturalne zupełnie, to bardzo piękne, bardzo ludzkie. Widocznie, czy się przestraszył, że to na oczach wszystkich bo może by odpowiadał za to, nie wiemy. Bo za pobieg, czyli za odłączenie się nawet na parę króków miał prawo wystrzelić mu w plecy ale w tym wypadku tego nie było. Zarzucił sobie na ramię strzelbę, chwycił leżącą jakąś ogromną gałąź i zaczął go bić. Po tej scenie kazał mu wstać. Podniósł się mężczyzna, oczywiście politycznej. Widać, że inteligentny, z leciutkim, bladej. uśmiechem na twarzy. Cię kawe, że ten sam uśmiech miał mój komendant, kiedy kiedyś wpadliśmy,

jak opowiadałam, do wiejskiej chaty a za nami wpadł sowiecki żołnierz na szczęście nie szukający partyzantów tylko chcąc zapalić. Czyli uśmiech w obliczu śmierci. Tak mi się wydawało wówczas. Piękny, bardzo, bardzo delikatny. I przed sobą pognął go z powrotem do zony, czyli do karceru. Skończyło się na szczęście tylko tym, nie wiem co tam było dalej. W każdym razie więzień ocalał. Ale kobiety, w ^{tym} wypadku, już nie ze świata przestępczego, o ile się wtedy orientowałam, podjęły myśl zemsty, na tym właśnie ochranniku. Ponieważ będzie on znowu prowadził następną grupę, ponieważ ma swoją służbę. Zemsta była jedyna z możliwych. Znalaziono przy torach kawałek papieru. Jedną z kobiet szybko mogła się załatwić, jeszcze ciepłym, jak powiedziała. Zapakowano to w paczuszkę małą jak liścik i czekano. Szedł z następną grupą ten sam wachtior. Podrzuciła ona zręcznie pakunek pod jego nogi. On chwycił, zaklął siarczyście, w tył zwrot i poszedł szybciotko do zony. Jeszcze wiedziałyśmy, że oni są bardzo czysti. Dalszy ciąg tego zdarzenia. Następnego dnia, znowu tam na tym samym przejeździe przez kolej żelazną. Jedną z grup, chyba nawet pierwszą, dziwne, poprzedza ktoś w mundurze sowieckim z oznakami wyższego szczebla i jeszcze do tego twarz z bokobrodami, z krótkim zarostem i zupełnie amanta filmowego. Zdumienie, ale ktoś już wiedział że to jest naczalnik właśnie tego łagru. Kiedy doszli do kolei żelaznej, ten naczalnik podszedł do nas, reszta poszła dalej do szachty i zaczął z nami rozmawiać, że to co miała miejsce to było wielkim naruszeniem ze strony tego wachtiora, że to się więcej nie powtórzy, że będzie za to ukarany.

Że kobiety i mężczyźni starali się mieć jakieś kontakty, to oczywiście jest to naturalne, tylko, że nieraz kończyło się to tragicznie. Tam też słyszałam, opowieści, że robiono to, przez tych wachtiorów, ochranników dla uzyskania wysokiej nagrody. Jak słyszałam za zastrzeżenie bieżenca czyli biegleca, może to będzie lepiej bieglec, uciekiniera. Czasami dopuszczano do takiej umowy między katorżaninem i więźniarką, do spotkania gdzieś w miejscu pracy, i wówczas wachtior strzelał w plecy temu, którego zgodził się trochę wypuścić i miał za to nagrodę pieniężną.

Jeśli chodzi jeszcze o tamte sceny związane z katogą. Kiedyś pracując tam zimą, scena. Dwie sceny miały się w tej chwili przypominać. Jedną to, śnieg bezbrzeżny, niebo się zlewa z ziemią i widać, z zony wychodzą. Para, zupełnie do przodu pochylonych, czarnych sylwetek więźniów ciągnących czymś naładowane sanie i dwoje z tyłu jeszcze żardziami popycha. Wywożono zmarłych żeby zakopać w tej zmarzłej ziemi. Drugi obrazek, to z zony wychodzi grupka w kierunku stacji kolejowej, beznogich, bezrękich. Sami inwalidzi, jak mówiono obróbki czeławieczeskije, resztki ludzi. O ile wiem, to była aktirowka, tzw. czyli zwalniani. Nie wiem czy to miała miejsce z katorgi, przypuszczam, że ~~tak~~ tak, bo z nich już korzyści żadnej. Przypuszczam, że tak ale nie mam pewności. To było na pewno na stację kolejową, tak już sobie przypominam, to było na swobodę, na wolność. Do innych obozów to była grupa, z psami z karabinami a to było grono, grupa kilku, kilkunastu osób, na stację kolejową. Jak było w innych przypadkach nie wiem.

Jeśli chodzi o ucieczki, też takie trzy przypadki, o które się otarłam. Jeden to na kolonii, na dalekiej północy, gdzie było niebo i ziemia. Tylko już wiadomo było, że złapano. Tylko słychać było z tego maleńkiego pomieszczenia karceru przy wachcie krzyki, krzyki, ~~kr~~ krzyki kobiety widocznie bitej przez tamtego naczelnika. To już był ktoś inny nie Wasiljew albo może podnaczelnik, bo to nie on był, jak potem się okazało, to kobieta niespełna rozumu uciekała gdzie niebo i ziemia, tundra. Czy była niespełna rozumu już aresztowana czy tam nastąpiła ta zmiana w człowieku, tego oczywiście nie wiem. Drugi przypadek. Ja nie widziałam bo moja brygada weszła wcześniej do zony, a ta, która w innym czasie szła koleją żelazną, bo to była jedyna droga, którą się chodziło do pracy, to właśnie po tych szpałach czyli po tych podkładach w lewo lub w prawo. To na ich oczach jeszcze złapano inną, innego nie wiem tylko czy mężczyznę czy kobietę z Workuty, czyli nie z naszej kolony, na pewno. Szła ta osoba na czworakach, nogi już nie służyły, podganiana, podpędzana. I tam, jak potem powiedziano na wachcie, wyprowadzono wszystkich mieszkańców i na oczach ich zastrzelono. Trzeci przypadek to już był w jed-

nym z lazaretów. W tym, o którym wspominałam kilka razy, gdzie pracowałam przez krótki czas jako techniczny laborant. Przyszłam do baraku męskiego pobierać krew i do jednego z więźniów leżących zwróciłam się może o podanie ręki czy wyciągnięcie palca. Zauważyłam tylko że twarz ma taką dziwną, szaro - zielonkawą, na której nie widać było wieku. Twarz człowieka tak straszliwie chorego ale w bardzo dziwnym stanie, z zamkniętymi oczami. I po tym zdaniu skierowanym do niego nagle z jego ust słyszę, mat' radnaja, ja stolko wremieni žensko-wo gołosa nie słychał, matko rodzona, ja tak długo nie słyszałem głosu kobiecego. On tu był przywieziony ze spec- lazaretu w innym miejscu, ponieważ po ucieczce miał odbite wszystko i to co mieliśmy w laboratorium to była krew z nerek, żołądka i płuc. Nie mogło być mowy o tym by wyżył.

Na dalekiej północy jeszcze słyszało się opowiadania . Opowiadania także w tym wypadku chcę wspomnieć o tych dziwnych sytuacjach związania się człowieka ze zwierzęciem, związania się płciowego. Opowiedano, że na tej kolonni gdzie ja się znajdowałam, siedmaja kolonna, przez jakiś czas tam chodził dookoła niedźwiedź i ryczał. W końcu go zastrzelono. Przychodził czasami w nocy i ryczał. Opowieść brzmiała w ten sposób. Kiedy kobiety wyprowadzano latem na zbieranie jagód bo tam rzeczywiście był ocean jagód czarnych, maroszki potem tej gąłubki, tych błękitnawych, podobnych do czarnych jagód i trochę innych. Tam podobno jakaś kobieta miała stosunek z niedźwiedziem. Wróciła do zony ale niedźwiedź zapamiętał ją sobie i przychodził tutaj z tęsknoty. Mawiają, że słyszałam specjaliści, to jest niemożliwe ze względu na odpowiednie różnice w urządzeniu, wielkości narządów płciowych. Ale to opowiadanie słyszałam jeszcze w innym przekazie i w innym miejscu. Jedna z kobiet pracujących w którejś z tych kolonii gdzie byłam opowiadała sąsiadce. Ja się przysiadłam i słyszałam. Ta kobieta mówi, była na Syberii i tam gdzieś, gdzie ona się znajdowała. Nad rzeką siedziała ze swoją jakąś znajomą i ta znajoma jej opowiadała. O widzisz ta ścieżka, tropinka, która prowadzi od rzeki tutaj do nas, a tam nad rzeką, to jest właśnie ta, którą biegły wówczas ta kobieta. I historia była taka. Kobieta zbierająca jagody

gdzieś w lesie w dalekiej Syberii, we wspaniałych lasach została schwytana przez niedźwiedzia, zaniesiona do jego barłogu czy też legowiska. I ten niedźwiedź strzegł ją bardzo, bardzo srogo. Korzystał z niej jako z partnerki seksualnej. Nosił, przynosił jej mięso surowe i nawet jakieś przedmioty zwędzone, skradzione jakimś geologicznym czy innym ekspedycjom. Ale miejsce, to widocznie jakaś pieczara, bo zamykał ściśle na okres swego odejścia czy kamieniem czy jakimiś pniami drzew, tego już nie pamiętam. Kobieta myślała oczywiście cały czas o ucieczce. W tym czasie urodziło się dwoje, pół niedźwiedziątek pół ludzi czyli człowieczków owłosionych. Skąd to wiadomo?, zaraz w dalszej opowieści to się wyjaśni. Wówczas kiedy one już podrastały, może miały roczek, czy może mniej, bo to przecież niedźwiedź szybko, od razu staje na nogi i chodzi, niedźwiedź zaczął mieć mniej podejrzliwości. Zaczął ją wypuszczać czy też może zostawiać otwarte to miejsce aby mogła ona z tymi niedźwiedziatkami sobie spacerować. Ona zapuszczała się coraz dalej i dalej, wracając oczywiście, starając się nigdy nie budzić podejrzeń u niedźwiedzia. I w ten sposób dowiedziała się, że jest rzeka niedaleko, zresztą chyba o tym wcześniej wiedziała, znalazła tę tropinkę, tę ścieżkę do rzeki. I któregoś dnia zdecydowała się na ucieczkę. Kiedy tylko niedźwiedź wyruszył na łowy ona wybiegła, potem dobiegła do rzeki i za nią te dwa niedźwiedziątka. Trzeba trafu czy też może usłyszała jakiś sygnał, syrenę płynącego statku. Ona krzyząc rozpaczliwie zwróciła na siebie uwagę. Statek przybił do brzegu, zabrał ją ale dosłownie w ostatniej chwili. Niedźwiedź się zjawił, straszliwie wściekły, rycząc dziko i rozszarpał te niedźwiedziątka na jej oczach z wściekłości. Ona ocalała i to opowiedziała rzekomo tej kobiecie, która potem przekazała tej, która już słuchała. Czy to było rzeczywiście nie wiadomo, chociaż różne rzeczy są możliwe, być może. Przecież na podstawie faktów istnieje w Starym Testamencie to potępienie współżycia ze zwierzętami. Zresztą w starożytnej Grecji też są ślady tego w niektórych poematach czy też w prozie. Być może to było możliwe. -
Takie to dziwne opowieści z dalekiej, dalekiej północy.

Do prac na tamtej dalekiej północy należało nie tylko odrzucanie

śniegu ale też rozbijanie zmarzniętej zupełnie powierzchni być może od silnego wiatru czy wysokich mrozów następujących po jakimś lżejszym okresie. Do tego służyły tak zwane łomy czyli żelazne drągi ogromnie ciężkie, które trzeba było nieść na ramionach i potem tam nimi się posługiwać. Tutaj została w mojej pamięci na zawsze zwyczajna, prosta kobieta wiejska, ciocia Katia Bajewa. Pracując tak samo jak wszyscy brała obok swego łomu na ramię też i mój, widząc, że jestem słaba, młoda. I nieraz tam przy pracy mówiła: pastoj dietka, ja za taboj parobotaju, postój dziecko, ja za ciebie popracuję. A jeszcze potem, będąc już po pracy w zonie, na noc szła do kuchni na mycie naczyń. I tam oczywiście sama mogła się najeść i mnie przynosiła z rana, po nieprzespanej nocy, bo to był ranek - czut swit, ledwie świt, w jakiejś żelaznej puszcze jeszcze zupełną żebym ja mogła przed pracą zjeść. Są tacy ludzie, takich na pewno jest więcej niż my o tym wiemy.

Kirki, łomy, łopaty to te narzędzia, które tam się wówczas nosiło. Tam spotkałam się sama z tak zwaną wieczną mierzlatą, czyli zmarzliną wieczną. To ^{nie} było nie zimą. Pod cienką warstwą gleby, gliny, której nie można było rozkirkować dalej ani rozbić łomem, okazało się, że to jest jedna z takich plam, które podobno występują nieregularnie, wiecznej zmarzliny. Wiem teraz co to jest. To jest twardsze chyba od najtwardszego kryształu, może nie. W każdym razie to jest jak gdyby szkło, które nie daje się przebić. I z ogromną siłą wbijając tam drąg żelazny można odbić maleńkie kawałeczki, maleńkie blaszki. To jest ten pancierz, pod cienką powierzchnią gleby, na której rośnie to morze, ocean jagód, który nie dopuszcza do zakorzenienia się drzew. Tam tylko są te karłowe, karłowate brzoźki, karłowate wierzby wyglądające jak gałązka takiego drzewa z mikroskopijnymi listkami tego gatunku, leżąca po prostu na ziemi, ponieważ wiatr ją do ziemi przyciska. A to jest całe drzewo.

Wieczna zmarzlina to jest zamarznięta ziemia, która tak długo marzła że się już nie rozmrażała, a inne miejsca, nawet niedalekie tych miejsc rozmrażały się i zamarzały na zwyczajną ziemię, która odtaje w czasie bardzo gorącego, krótkiego lata. To były gniazda nierozmar-

zające i prawie nie poddające się rozbiciu. Myśmy nie badały jak było to głębokie, trzeba zapytać geologów, specjalistów od północy. Myśmy tego nie rozbiły. W ogóle to jest nie do rozbicia. Tylko próbowałyśmy i musiałyśmy natychmiast odejść do następnego miejsca. To występowało pod powierzchnią niegłęboką ziemi. To może być parędziesiąt cm wgłąb i już spotykało się to. W innych miejscach ziemia była normalna. To było takie moje zetknięcie osobiste z tym.

Ziemia tam otaczająca nasz łagier, a właściwie naszą kołonnę, do horyzontu czysta, zielona, lekko pofalowana miała gdzieś tam na małych wzgórkach widoczne strumyczki. I tam też widziałam, pierwszy jedyny raz w życiu, jak tęcza z rzeczek wodę pije. Tak się mówi w opowieściach rosyjskich. To jest piękne. Kiedyś gdzieś na jakimś obrazie, w tej chwili tak mi się przypomina, nie wiem, niderlandzkim, czy może innym, właśnie jest to podnoszenie się tęczą z pewnego miejsca z rzeczek. To ma rzeczywiście miejsce tam, gdzie się rozpoczyna ona w takim strumyczku. To jedno.

Jeszcze drugie przypomnienie z tamtego miejsca, jeszcze jeden moment pracy. Mianowicie, mimo trzeciej kategorii trzeba było razem ze wszystkimi wywozić dużymi głazami pochyłość wysokiego brzegu rzeczek. Na tym brzegu leżał mostek i szły tory kolejowe. To była praca dla I kategorii. To była praca zupełnie wyjątkowa dlatego, że musiało się wziąć ogromnie ciężkie kamienie i jeszcze jakieś metry wyżej, wyżej, wyżej wciąż je zanosić, układać, jeszcze potem te trochę przybijać. Miało się takie kuwały, ogromne młoty żelazne na długich rączkach, którymi się przybijało albo rozbijało mniejsze kamienie na drobne i zasypywało się nimi szczeliny między tymi ogromnymi głazami. To taka była praca. I jeszcze jeden obrazek z tych prac na północy. To było już zimą. Nad samą rzeczką, na brzegu leżały pnie drzew, ogromne pnie drzew. Przywiezione, zrzucone prawdopodobnie dla tych podpórek w szachtach czyli w kopalniach, bo tam takie nie rosły. Wyprowadzono nas z zony żebyśmy wyciągnęły, wyniosły na wzgórze, na tę górną powierzchnię te olbrzymie pnie. Wyglądało to, bo widziałam siebie jak gdyby z góry, jak gdyby filmowaną całą tę scenę. Z przodu, na początku i końcu każdego tego długiego kilkumetrowego, grube-

go pnia, przyczepione do tego pnia więźniarki na zboczach pokrytym grubą, powyżej kolan warstwą śniegu, pełzące takie robaki tych pni wyciąganych przez ludzi. Padało się na kolana, zsuwało się w dół. To chyba jakaś dziwna, dziwna góra, jak gdyby Golgota chociaż to nie było podobne w rzeczywistości. Ale takie słowo tam przychodziło wówczas na myśl. Wszystko można było zrobić, wszystko trzeba było zrobić. Rękawice były z brezentu i też musiały wystarczyć w tamtych mrozach. Tamta praca na północy bardzo dalekiej, jak mnie teraz już pamięć sprostowała, to była nie 7 kolumna ale siedmoje oddzielenie czyli siódmy oddział. Nie wiem co to znaczyło, jakiś podział łagrów. Praca skończyła się oczywiście chorobą. Po upływie, zdaje mi się pół roku, jak każdy pobyt na innych koloniach i na innych pracach kończył się też kolejnym lazaretem, kolejną chorobą.

W każdym razie teraz przedstawię rodzaje prac a potem ogólnie sytuacje spotykane, przeżywane w lazaretach. Potem, ponieważ ciągłość ta wyliczanie i kolejność nie jest ani ciekawa ani konieczna, zresztą może się to mylić.

Stamtąd po lazarecie czyli po poprawie zdrowia względnej, trafiłam do C.P.K., zdaje się, że to taka kolejność pracy. CPK to jest Centralny Poszywczy Kombinat, czyli praca lekka. Praca lekka polegała na tym, że to było rzeczywiście szycie na maszynach nożnych, elektrycznych, co dla mnie było nową zupełnie pracą. Jakoś to trzeba było opanować. Nie było wyjścia. To i tak było o całe niebo lepsze niż kopanie, kirkowanie itd. śniegu, ziemi. Szyło się tam specówki dla roboty, dla pracy. Być może lepsze specjalistki robiły kurtki czy spodnie, tego to już nie jestem pewna. Natomiast praca dla niewprawionych to były rękawice z czegoś w rodzaju brezentu, z jednym palcem - rękawicy. Szycie to, jako chrzest bojowy prowadziłam na początku niewprawnego, niewprawną taką szwieję, do przekłucia igłą przez paznokcie palca. Sytuacja była przykra o tyle, że pomijając ból noga się automatycznie zatrzymywała, czyli maszyna się zatrzymywała. Tylko nie było nigdy wiadomo czy igła szła w dół czy w górę, czyli czy trzeba igłę cofnąć do góry. Kończyło się zwykle to dobrze. Też miałam ten chrzest bojowy. Dlatego dla zapobieżenia zakażeniu

potem się otrzymywało tzw. margansówkę, nadmanganian potasu to zdaje się nazywa. Rozpuszczało się w ciepłej wodzie kryształki ciemnofiole towe i moczyło się wieczorami ten palec przekłuty i kończyło się bez infekcji. Lepsze tam były warunki znacznie. Zdaje mi się, że były nie - piętrowe nary i że była jakaś pościel czy też przykrycie tej pościeli. I pamiętam, że jakaś poduszka u mnie była jakąś marleczką przykryta, jakaś szafka koło tej pościeli. Były takie nary parzyste, dwuosobowe, ale to były zupełnie inne warunki. O ile pamiętam, wówczas był tym naczelnikiem czyli kierownikiem, dyrektorem tej części proizwodstwiennyj, czyli tej wykonawczej, Węgier, chyba Węgier z Polski albo mający żonę Polkę. Ale nie jestem tego w tej chwili pewna. Ostatnie już miesiące, chyba z ostatniego roku właśnie tam dosiadywał. Człowiek kulturalny. Potem, nie pamiętam już w jakiej okoliczności pokazywał mnóstwo książek zakupionych, które chciałby przewieźć tam, do siebie. Nie pamiętam czy do Polski czy do Węgier. Pokazywał fotografię swojej żony. Tamta atmosfera była już zupełnie inna. Jeden z takich tylko ważnych punktów. W pewnym okresie, ten Poszywocznyj Kombinat otrzymał zamówienie na jakąś ilość, której już nie pamiętam, być może nie znałam, koszul bardzo dziwnych. Niesłychanie długich z okropnie długimi rękawami. Powiedziane było, że to dla szpitala psychiatrycznego. Tak zwane koszule bezpieczeństwa, w które się zakrecało chorego psychicznie w momencie szału. Inna informacja była taka, być może prawdziwa, czy to było tam czy to już było znacznie później ale jeszcze w łagrach, że stosowano je przy badaniach w więzieniu, które też było w łagrze, w którymś z miejsc tych północnych. To były tortury. Związywano te długie końce odciągając do tyłu ręce i nogi, wieszano więźnia do krwotoku w uszu i ust. Tak opowiadano. Może miałam szczęście, że nie szylam tych koszul. Czy dalej był lazaret czy inne miejsca pracy nie jestem pewna. W każdym razie inne miejsce pracy to był Kielzawod, to była cegielnia. Cegielnia ta stała w tundrze głęboko, gdzieś między koczkami, to takie pagóreczki. Tam się jechało pociągami, potem się szło. W każdym razie w cegielni to był taki cały mały światek. Też oczywiście zona czyli te baraki ogrodzone. Budowano nowy budynek dla proizwodstwa,

dla wyrobu cegieł. Jednocześnie w starym już produkowano cegły. Różnorodność prac tam była. Bardzo ciężka fizycznie to oczywiście mieszanie gliny, formowanie gliny, cegły, wnoszenie ich do pieca. Tam brała udział w różnych pracach. W tej chwili to wygląda jak ciekawe obrazki, chociaż to nie były obrazki ale jako ciekawe doświadczenia różnorodności zajęć fizycznych. To nie jest ani z uśmiechem ani z ironią ani z pogardą ani z lekceważeniem. Po prostu po upływie dłuższego czasu to się własny film ogląda, z własnym udziałem. A jednocześnie jakiś jeszcze udział w tamtych czynnościach pozostał. Tak to w tej chwili czemuś mi się to przypomina i układa to przypomnienie. Jakie były zajęcia? Z tych miejsc gdzie była spalana ogromna ilość węgla trzeba było wywozić szlak tak zwany, czyli popiół, resztki dopalającego się węgla. To była duża, płaska część równiny, potem ona opadała lekko ku jakiejś kotlinie, tam było troszkę krzaczków i jakiś malusienieczeni zupełnie domeczek, w którym znajdowało się coś z urządzeń termicznych czy też wodociągowych dla regulacji czy kontroli. A ta płaszczyzna, pusta zupełnie do tego miejsca, w którym zaczyna opadać w dół, była wysypiskiem tego szlaku, popiołu, z którego parowało, właściwie unosiły się dymy, unosiły się jeszcze te gazy spalinowe. To była chyba zima ponieważ pamiętam, że byłam ciepło ubrana w ten buszkat i w watowane spodnie. To woziło się taczkami. Na położonych deskach trzeba było utrzymać równowagę, wbiec z taką pełną taczka. Ale może najbardziej egzotyczne to było to, że ogromna płaszczyzna, świt, bo się od wczesnego ranka pracowało do tego momentu kiedy znowu zaczynało się zmierzchać, więc w takim półmroku, te watowane postacie pędzące przed sobą pojedynczo oczywiście, każda figurka z tą taczka po tych deskach i wysypujące, wracające. I nad tym dymy, dymy, dymy, popioły szare, jeszcze gdzieś żarzące się pod nogami. To taki zupełnie niesamowity wygląd jakiegoś piekła kiedyś malowanego, nie z tej ziemi, nie ze znanych nam obrazów rzeczywistości. Taki był obrazek. Ta praca fizycznie może nie była tak ciężka ponieważ ten popiół był lekki z tym tylko, że gazy, oczywiście, były bardzo ciężkie dla organizmu i dla głowy. Inna praca bo była przy budowie fundamentu pod przyszły budynek ce-

gielni, wożenie na taczkach kamieni, całych głazów. To też trzeba było utrzymywać równowagę, dobiec do tego wykopu, zręcznym pochyleniem taczki wyrzucić ten głaz. Kiedyś znalazłam się z głazem w tym wykopie, uderzyła-m się mocno ale wszystko skończyło się dobrze. Troszkę, może na parę chwil straciłam, mnie się wydaje, mowę, potem przyszło wszystko do normy. Praca taczki to jest ta jedna z najcięższych, może najcięższa praca. Czemuś organizm tam wytrzymał na bardzo, bardzo krótko, znowu przez kilka miesięcy. Praca jeszcze cięższa w sensie fizycznego wysiłku, to było wynoszenie na tak zwanych kozłach cegieł z pieców. Piece te były chyba okrągłe, wyłożone wewnątrz cegłami, tymi jeszcze surowcem. Nie wiem w jaki sposób się zewnątrz czy wewnątrz to wypalało. Po prostu w tym się nie orientowałam. Tylko po czasie już potrzebnym zostały rozbijane zamurowane przedtem gliną wejścia i do jeszcze gorących wewnątrz trzeba było wchodzić i stamtąd wynosić te cegły. Tam nakładano te cegły na tzw. kozły. Kozły to był rodzaj maleńkiej drabinki z dwiema poprzeczkami zakładana na metalowymi czy drewnianymi hakami na ramiona, z tyłu na plecy i zatrzymująca się na ramionach. I na tej poprzeczce drabinki układano nie pamiętam, dwie, cztery czy sześć. Chyba więcej niż trzy, cztery się nie niosło ale nie jestem pewna. Może tylko dwie. W każdym razie wchodziło się do tego gorącego pieca i tam podstawiało się plecy pod te cegły. I to wkładanie cegieł na kozły, przy czym człowiek się wciąż bardziej pochylał do przodu i wynosił, w końcu zmiany to już w ogóle pod prostym kątem, nawet jeszcze bardziej niż pod prostym, zupełnie pochylony do ziemi. To nakładanie cegieł jest bardzo dziwne nie rozumiem z czym tu jest podobieństwo ale to było podobne do policzkowania. To znaczy to było tak przykre, chociaż zupełnie inne oczywiście w fizycznym odbiorze. To było coś tak moralnie przykrego jak otrzymanie policzka. Nasza zmiana miała akurat nocne wynoszenie, do przerwy. Do przerwy nie na posiłek. Po prostu wówczas ryczała syrena. Tam na miejscu, na dźwięk syreny padało się tam gdzie się stało i zasypiało się. Kto był w piecu padał w piecu. Kto był na podwórzu na śniegu, padał w śnieg. Zasypiało się do syreny budzącej na drugą połowę tej zmiany. To była ta praca. Jeszcze któraś z prac,

już nie pamiętam na czym polegała. Być może już było dzienne wynoszenie, też na kozłach tych cegieł do wagonów, na które je ładowano. I wówczas pamiętam, że była też przerwa i na tę przerwę ja akurat znajdowałam się koło drzwi jakiegoś baraku, więc po prostu weszłam do tych drzwi, a może to była noc, nie pamiętam, i upadłam za tymi drzwiami na ziemię i zasnęłam. Po następnej syrenie się obudziłam, wyszłam i kiedyśmy się znowu zebrały, ta nasza brygada, czy też grupa, pytały mnie kobiety patrząc podejrzliwie gdzie to ja byłam. Odpowiedziałam, że za tymi drzwiami w tym baraku. Było straszne zdumienie z przerażeniem włącznie i pytanie i co? i nic?. Ja mówię, że nic. Mówią, wiesz tam to nikt nie sypia w nocy, bo tam jest strasznie. I co się okazało. Ten barak, to była szopka na jakieś narzędzia miał złą sławę. Po prostu doświadczenie było bardzo ciężkie u tych, co się tam czasami znaleźli samotnie i w nocy. I też były jeszcze inne miejsca ale już tam nie było garncarni. Kiedyś było miejsce wypalania cegieł. Specjalny budynek z piecem dużym i wtedy był tam świat przestępczy, czy w większości czy w danym momencie czy w danej brygadzie i przy wypalaniu garnków w trakcie kłótni między sobą, jedną z światła przestępczego wrzucono do pieca, spalono ją żywcem. I po pewnym czasie tam już nikt w nocy nie mógł pracować, Po prostu coś było tak przeraźliwego, tak straszego działającego na psychikę, że nie dawało się wytrzymać. Potem ta garncarnia została zburzona. Nie było już w ogóle tego rodzaju pracy. Natomiast pozostała z jakiegoś powodu taka ciężka, straszna nie do wytrzymania atmosfera w tej szopie. Na tym to zawodzie był też taki przypadek z tych dziwnych, psychicznych zjawisk, które zresztą teraz mają potwierdzenie w różnych już pozycjach w literaturze, doświadczeniach, eksperymentach itd. Był tam majster, taki surowy człowiek. Pamiętam go, ostry, no taki typ po prostu. A może do tego, że był tym majstrem musiał utrzymać jakiś porządek, czy też prestiż zawodowy, starał się wywiązywać jak najlepiej ze swego zadania aby go nie zepchnięto do szeregów, rzędu pracowników fizycznych. I był tam człowiek, który pracował na jakimś stanowisku, nawet niepodrzednym, który miał już ostatni z 10 lat do odbycia, odbycia w łagrze i cieszył się bardzo tym, że wkrót-

ce będzie wolny. Wskutek jakiejś bardzo przykrej sceny, awantury zrobionej przez tego majstra dostał zawału. Najpierw zrobiło mu się gorąco, niedobrze, a potem musiał się położyć i tego samego dnia zmarł. Nie wiem co tam dalej było, bo to oczywiście to pewne zdarzenie było, że miał gdzieś jakąś rodzinę, miałam /miano/ zawiadomić kiedy ma być pogrzeb itd. Nie widziałam i nie wiem.

Natomiast kiedyś z tego zawodu trafiłam znowóż do kolejnego szpitala, lazaretu. Tam spotkałam na korytarzu właśnie tego majstra, tego surowego. I historia była taka. Ten majster jest na leczeniu, jęka się. Jest w bardzo złym stanie nerwowym. Co się z nim zdarzyło? To z opowiadania, które tam przekazywano. Po śmierci, z jego winy, tamtego człowieka, majster któregoś dnia zszedł do tej malusienieczkiej hudeczki w dolince żeby sprawdzić coś w tych urządzeniach. Otwiera drzwi i tam stoi ten człowiek, którego przyprawił o zawał i o śmierć. Ten człowiek stoi i mówi mu, daj prikurit, daj zapalić, czy ognia czy papierosa. Majster skamieniał. Wyciąga do niego paierosa czy zapalke, już nie pamiętam, i pada bez przytomności. Tam go po pewnym czasie znaleziono, odwieziono, ocucono w tym lazarecie. To taka historia jego bhoroby nerwowej.

Tamte prace dawały duży pajok czyli dużo chleba. To były przeważnie Ukrainki bardzo młode, silne. Warunki w barakach, jakie były, nie pamiętam już zupełnie. Może inne jeszcze rodzaje z tamtego obozu przypomnę. Na razie na tym się kończy to wspomnienie. Następne było po kolejnym lazarecie czy może nawet po paru kolejnych lazaretach, bo też tak było, że przewożono z jednego do drugiego. Kiedyś przewieziono z jednego do nowego zupełnie miejsca wyznaczonego pod lazaret. To była ogromna, pusta zona bez wyszki na rogach. Zawalone to było śniegiem. Barak był zupełnie pusty, zimny. Zaczęto tam palić w piecach, te nary dwupiętrowe, jakoś na nie wpełzłyśmy w swoich walonkach, buszłatach itd. Czasami tak się zaczynało te losy lazaretowe. Potem tam już przyjeżdżał lekarz, jakiś inny, który miał studia medyczne.

W każdym razie następne miejsce pracy to , o ile pamiętam, był sowchoz Fijon, czyli po ~~presta-sowchoz~~ ^{polsku to chyba} będzie sowchoz. To była gospodarka rolna. Co i gdzie uprawiano pojęcia nie mam, tego nie wiedzia-

łam, nie obserwowałam. Natomiast byłam tam wyznaczona do brygady remontników, czyli tych co będą remontować mieszkania, budować itd. Początek mojej tam obecności był chyba latem. Dostałam jakieś półbuty na nogi bose, potem sukienkę taką długą, to takie ogólne, jakieś ciemnoszare czy też granatowe. Można było sznurkiem przepasać się, żeby nie wisiało workiem, gdzieś od kogoś dostałam sznurka kawałek. No i miejsce pracy. Najpierw było bielienie ściany zewnętrznej, już poza zoną. Wyprowadzono nas za zonę i małymi grupkami odkomendowano, to znaczy przydzielono do remontowania ewentualnie do bielienia z zewnątrz jakiegoś budynku. Tam był sklepik, tam były jakieś mieszkania dla pracowników już nie obozowych, nie - więźniów. Były cielećniki, obory chyba czy może inne miejsca dla zwierząt. Trzeba było bielić te ściany. Pamiętam, że taki był budynek, chyba jakiś mieszkalny, oczywiście drabina, oczywiście trzeba wejść. Trzeba było do ręki wziąć ten kist, czyli ten pędzel po raz pierwszy w życiu. Na szczęście takie małe były grupki, jakaś starsza kobieta z przestępczego świata, jakaś ciotka czy babka, matka takich przestępczyń. Na pewno to była godna kobieta i z pewną dozą humoru, oczywiście znająca i chleb łagierny, obozowy i różne rodzaje prac. To była praca bardzo dobra, bo przy budynkach, jeśli deszcz, to można było się schronić. Poza tym, to jest praca lekka bo tylko machanie tym pędzlem. Oczywiście, teraz mi się przypomina, że takie machanie całonocne pędzlem to najpierw też przynosiło rozpuchnięcie mięśni barków, w nocy już nie można było w ogóle zasnąć. Potem to się już przyzwyczaiły mięśnie do tej pracy całej. Z tym wszystkim jakoś organizm potem sobie dawał radę, adaptował się. Praca wyglądała w ten sposób, że były przywiezione beczki z suchą izwiestją, czyli wapnem. To już teraz chyba się nie używa wapna, ponieważ to wapno bardzo gryzie palce, przejada skórę ale wówczas to było wapno. Potem trzeba było przynieść w wiadrach wodę. Ta właśnie starsza kobieta z długim kijem mieszała to do potrzebnej gęstości, myśmy dolewały wodę, próbowała ręką, bo знаła już w palcach kiedy będzie potrzebna właściwa/ gęstość tej zawiesiny do malowania ścian. Wówczas do wiadra dostawałyśmy /zawiesinę/ i trzeba było te wiadra wnieść na drabinę, gdzieś zawiesić

czy umocować, pędzel wziąć do ręki i zaczynać. Troszkę tam zerkałam oczywiście na tych, którzy to już robili i umieli, no a poza tym to była rzeczywiście praca bardzo przyjemna. Lubiłam kiedyś malować, oczywiście pędzelkiem na papierze a to było przecież bardzo podobne więc sobie z przyjemnością pociągałam w górę w dół itd. Wyglądało to równo, ładnie. Doczekałam się w jednym z pierwszych dni, którejs z więźniarek pytania, a to wyście chyba i na swobodzie tak pracowali, prawda?. No cóż mogłam odpowiedzieć, że nie pracowałam tak. Ale to była taka przyjemna praca. Teraz następna praca. Jakaś obora czy cielętnik, też malowanie. Potem była praca przy budowie nowego, ogromnego cielętnika. Jeszcze to była lato, nie lato, to już był początek zimy wówczas, tak. Był zdun, który budował duży piec. Myśmy musiały robić zamazkę czyli po układce tych cegieł, z których piec był zbudowany trzeba było tę zamazkę na specjalnych szpadlach nie szpadlach, jak to się nazywało nie pamiętam już, zamazywać, wyrównywać, wygładzać. Tam było parę rodzajów tych narzędzi, to wszystko nie była wielka sztuka. Zaczynało nam już pod tym szpadlem zamarzać myśmy miały nadzieję /skończyć/. Trzeba było zdać bo musiał potem, ten kto tam liczył metry zamazane, zamalowane, zasmarowane, zbudowane, to potem się przeliczało na procenty wykonanej pracy. Z tego wyliczało się pajok czyli ilość chleba. Tylko była nadzieja, ponieważ zamarzało nam już pod pędzlem i pod tym szpadlem, że mróz do wiosny to przetrzyma. Te procenty to już będziemy mogły zjeść, mogli bo byli mężczyźni, ten zdun tam pracował, może nie on jeden. A wiosną to rozpułynie się po prostu pod wiosennymi strugami czyli ta woda roztopi to wszystko. O to nas już oczywiście głowa nie bolała. No niestety taka praca była. Tam też była ciekawa praca. Mianowicie byłam przydzielona do mieszania, robienia zaprawy w kotle. Kocioł był olbrzymi w takim małym pomieszczeniu. W kotle tym miano podgrzewać pokarm dla cieląt. To był gigantyczny kocioł żelazny. Pod kotłem było palenisko. W tym palenisku musiałam codziennie rozpalać, to była jedna z moich absolutnych nie - umiejętności. Ktoś mi zawsze pomagał rozpalić. Tam też mężczyźni co pracowali mi pomagali. Bo tam byli też ci, co pracowali z łopatami i tam gdzieś jeszcze w polu. To wsz

wszystko było razem. Zawsze ktoś mi pomagał rozpalić i potem przenosiliśmy ja i inni wiadrami glinę, piasek i śnieg - jako wodę. To się wszystko topiło i wiem, że chodziłam dookoła po samej krawędzi tego kotła. Para buchała, olbrzymią łopata mieszalam to. To tam bardzo śmiesznie kłaskało jakoś bo się przysysało do brzegów tego kotła. To rzeczywiście też taki był obraz troszeczkę z obrazów piekielnych. Bo w kłębach niesamowitych pary, ktoś z olbrzymią łopata w waciaku chodzi po brzegu takiego kotła i miesza w tym kotle taką straszną zawiesinę. Skończyło się to w bardzo dziwny sposób bo nagle zaczęło palenisko po kilku dniach gasnąć, syczeć i okazało się, że zgasło. Znowóż tam przyszedł ktoś, zdun czy ktoś inny od paleniska zbadać. Co się okazało, ten kocioł przetopił się na wylot. Ta rozgrzana masa cegły z piaskiem była tak rozpалona, że przetopila ten kocioł. Trzeba by go było w przyszłości wyrzucić i przywieźć nowy. Znowu to nie była nasza sprawa rzecz.

Inna praca tam, też ciekawa, właśnie dla takiego malowania. To był klub zbudowany, bardzo duży ze sceną. Oczywiście był poza zoną. Ale my pracownicy tamtej brygady pabiekszczyków i remontników mieliśmy to malować w środku. Ściany wewnątrz były już wybielone a trzeba było na suficie zrobić kolorową rozetę. Ja dostałam takie zadanie, oczywiście różne drabiny itd. Do pomocy dostałam chłopczyka, chłopaczka, no chyba małolata 15, 16 lat może miał, takiego żulia, woryszkę, złodziejaszka. Za co siedział nie bardzo on wiedział. Coś gdzieś ukradł, właściwie to go wcale nie interesowało. Oczywiście prokurator był winien, że go zasądził. I myśmy we dwoje tam ^{malowali} pracowali. Przychodziliśmy potem po skończonej pracy, nie wiem, chyba też na jakiś sygnał gdzieś z kotłowni, wracaliśmy do zony.

Teraz tak trochę chaotycznie, bo to są dość różne obrazki z tego tam nie wiem czy to było pół roku czy osiem miesięcy. W każdym razie to było lato, jesień, początek zimy i chyba zimą skończyła się tam moja kariera.

Jeszcze chyba tam, zimą było czyszczenie kominów. To była dla mnie zupełnie koszmarna praca. Domki Komi ludzi wolnych, nieduże, parterowe, stromy dach, komin. Pokryte to warstwą półmetrową, metrową

śniegu. Gdzieś tam otwór komina w środku tkwi. Jaskrawe słońce, mróz bardzo wysoki, blask niesamowity rżnie zupełnie oczy. Przystawiona drabinka do brzegu dachu. Ma się tam jakieś miotły, jakieś haki, coś takiego jeszcze. Trzeba wejść, wyczyścić z góry komin. Trzeba to było robić. Jak się trzymał człowiek, co przeżywał, jakie poty oblewały, to już tego nie pamiętam ani nie mogę opowiedzieć. W każdym razie myśli tam były najstraszniejsze, nawet jedna taka - była, żeby to wszystko bomba trafiła. Niestety taka też myśl była. W innej takiej podobnej sytuacji na dachu, kiedyś mi przyszła myśl żeby nareszcie trafić, choć z gruzlicą, to niestety się spełniło. Bomba to nie. To tak mniej więcej te prace były przedstawione. I jeszcze remonty w mieszkaniach. Jeszcze to czyszczenie kominów. Trzeba było jeszcze wejść do mieszkania, znaleźć w piecu, bardzo czysto wybielonym wewnątrz, to miejsce gdzie był oddusznik, to się nazywało inaczej, maleńkie drzwiczki zasmarowane. To trzeba znaleźć, odbić, otworzyć stamtąd wygarnąć cały popiół, zasmarować, zabielić itd. To wszystko dla mnie były udręki nie do wyrażenie, udręki moralne dlatego, że nieumijętność, lęk, obawa i to wszystko co się wtedy przyżywało. Czasami się uławało, czasami na moje szczęście rezygnowali mieszkańcy, że niech tak zostanie, nie trzeba tego pieca w mieszkaniu psuć. Widziałam wewnątrz ich mieszkania, takie podobne w rosyjskim stylu. Mogłam tylko raz to zobaczyć na filmie "Bracia Karamazow" w rasządzieckim już wykonaniu. Właśnie z sitca, takiej bawełnianej tkaniny w różne wzorki, kwiatuszki, jak gdyby taka zasłona nad pościelą, taki trochę w rosyjskim stylu. Na ogół czysto. Mieszkania mi się wydawały bardzo, bardzo czysto utrzymane. Jeszcze była praca przy remoncie, przy tym bieleniu mieszkania od wewnątrz. Trafiliśmy do mieszkania lekarza. Ja z kimś jeszcze, z jakąś kobietą, z całym swoim arsenałem narzędzi. Mieszkanie też w takim domku parterowym. Na środek pokoju dość dużego wysunięte wszystkie meble, przykryte jakimś olbrzymimi ceratami, jakimiś zasłonami itd. Bieda w tym, że zjawił się lekarz po podróży do miasta, w bardzo dużym stopniu upićca się, chwiejący się na nogach, po wielkiej biedzie, bo mu tam ukradli portfel z pieniędzmi, z dokumentami. Co

z nim robić? Żona gdzieś miała wyjechać na ten czas. Służąca ich, była też taka dziewczyna do posługi, ona w każdym razie nie przeszkażala ale lekarz był nie do wyniesienia, nie do wywiezienia z tego mieszkania. Ułożyliśmy go na łóżku przykryliśmy taką ceratą ogromną i rozpoczęliśmy to malowanie. Sufit, ściany. Z tego sufitu oczywiście kapie, to takie było bębnienie bum, bum za każdym razem, jego krzyk oj, oj! Taka troszkę operetkowa sytuacja. W każdym razie mieszkanie to zostało też wybielone. Po takich bieleniach pomieszczeń, jeszcze niejednego zresztą, potem był skład na warzywa. Mieliśmy też takie bielenie pomieszczeń od wewnątrz. Było oczywiście mycie podłóg, to było też bardzo ciężkie. Przy bieleniu sufitu to było zaproszenie oka. Nieraz się zdarzało, że jednak ta kropelka tam trafiała. To były straszne bóle, długi czas łzawienie, zaczerwienienie. Jakoś to przechodziło. A przy bieleniu, na początku w tych pierwszych tygodniach pracy z wapnem to były przegryzione dziureczki w skórze opuszków palców, czyli tego miejsca najczulszego, takich miałam największą ilość 11 na dwóch rękach. To był strasznie ostry ból więc ubranie się, mycie, branie narzędzi, to wszystko było połączone z bardzo, bardzo silnymi bólami. Była dawana wazelina do smarowania na noc, no a potem skóra twardniała to były mniejsze te konsekwencje. No ale to mycie podłóg po zachlapaniu wapnem, ani gazet, ani żadnej słomy, tam tego nie było. Zachlapało się naszą nieumiejętnością podłogę, to potem zmywanie tego wapna rozprowadzonego wodą przy zmywaniu to znowóż było ranienie swoich palców. To wszystko trzeba było normalnie znosić.

Teraz jeszcze baraki. Tutaj, pamiętam, baraki stały w rzędzie, - tak wzdłuż jeden przy drugim. Zona była dość obszerna. Był sklepik. I w tym sklepiku przez jakieś miesiące, chyba letnie, sprzedawano. Ponieważ zarabialiśmy, za tę ilość metrów, która była ponad normę, dostawaliśmy jakieś niewielkie pieniądze. Przez parę miesięcy ta przyjemność była i tam sprzedawano masło i jabłka. Pamiętam, że raz czy dwa razy mogłam sobie kupić, nie wiem, może z pół kilo masła czy z kilogram jabłek na miesiąc. Dlaczego o tym mówię? bo o tym zaraz wspomnę w innym miejscu. Jakie warunki były, nie pamiętam czy były lepsze higienicznie. Wiem tylko, że tam spałam nie na górze a

na narach dolnych. I przy tym, w środku tego baraku, pod oknem nad którym już tych górnych nar nie było. I którejś nocy się budzę, nade mną stoi patrzący na mnie naczalnik. To był potężny człowiek, chyba Rosjanin, typu chyba takiego lwa jeśli chodzi o znaki zodiaku. Taki groźny, straszny jak o nim mówiono. Zima, więc był w takim bardzo dobrym palcie zimowym z karakułowym beretnikiem, i wpatrzony we mnie. Oczywiście mnie to wtedy nie obchodziło, po prostu na tym się skończyło. Ale co się potem okazało. Tam już miałam ataki astmy, które się zaczęły wcześniej znacznie, jeszcze w Pieczorze, więc znowu zaczęło się to straszne duszenie któregoś dnia. Nie mogłam złapać zupełnie wydechu. Znaczący wdychała, nie mogłam wytchnąć. Ręce i nogi mi zupełnie mdlały, drewniały, oblewałam się zimnym potem. Nie mogłam się ruszać. I znowu znalazłam się w tym med-punkcie. Nie pamiętam czy zaszłam, czy mnie tam zaprowadzono czy zaniecono. Chyba jednak zaszłam. Tam ta med-sestra czyli pielęgniarka, która obsługiwała ten lazaret, ukłękła przy moich nogach. Zdjęła mi pantofle, sama położyła mnie. To było zdumiewające, co to takiego znaczy. Potem przy dalszej pracy kiedy byłam na tym bieleniu, na tym właściwie malowaniu rozety kolorowej w klubie, zjawia się sam naczalnik. Ja jestem w małym pokoiku, tam znajdowały się pokoiki, szatnie, jakieś za sceną garderoby itd., też to myśmy z tym chłopakiem bielili. Jestem tam sama i wchodzi ten właśnie naczalnik. Zaczyna ze mną rozmawiać w ten sposób: pyta mnie, jak ja oceniam tutaj ten byt. Czy to mogłabym porównywać z innymi obozami. Czy jest lepiej może czy gorzej. On się stara, on się stara żeby więźniom było lepiej tutaj. Stara się żeby jednak jakoś im tę dółkę ulżyć. No i przy takiej rozmowie, trzymam ten pędzel pełen mokrego wapna w ręku, pochyla się aż do kolan przede mną. Ja kiedyś słyszałam, potem czy wcześniej, zły znak. Zły być może taki, nie wiem czy to oznacza chęć owładnięcia, nie wiem. W każdym razie tym swoim pędzlem troszkę pomachałam, on zapalał zapałkę za zapałką, był tam mrok, oświetlał moją twarz i na rozmowie takiej to się skończyło. Potem co jeszcze w tej rozmowie powiedział, no przecież patrz czy patrzcie, toż tutaj możecie sobie kupować, przecież zarabiasz czy zarabiacie, możesz sobie jabłka kupo-

wać, masło. Przecież ja się staram żeby jednak i tobie było tutaj lepiej. Odpowiedziałam, że specjalnych porównań nie mam z innymi barakami, w jednym było gorzej, w drugim było lepiej w tych miejscach gdzie byłam przedtem. Oczywiście dobrze jest, że on się stara. Powiedziałam kilka bardzo mądrych zdań, tak przypuszczam, bo taka tendencja zwykle była. I się skończyła ta rozmowa.

Jeszcze tam spędziłam Wigilię i Boże Narodzenie. Co było w Wigilię. Ten baraka, w którym byłam, to jako pracująca za zoną, bo te wszystkie osoby, które bieliły, pracowały w brygadach jako remontniki pracowały za zoną swobodnie. Ta zona tyle tylko, że zagubiona w tajdze ale nad samym brzegiem, nad wysokim urwistym brzegiem dużej rzeki. Czy to była Pieczora to już tego nie wiem w tej chwili, Trzeba będzie kiedyś zobaczyć, bardzo, bardzo szeroka, olbrzymia rzeka z wysokim, stromym brzegiem. W dniu Wigilii, to było już zupełnie ciemno, tam się paliły oczywiście lampy nad strażnikami na wyszkach, nad bramą wejściową gdzie była wachta. Od biedy tego światła było. Może gwiazdy, już nie pamiętam. Wracam sama, czemuś już ostatnia do zony. I myśl, bez choinki, co zrobić żeby tu choć gałązkę znaleźć, przecież tu nie ma lasu. Możliwości żadnych, jak to będzie bez najmniejszej gałązki choinki. I nagle widzę w dole, w jakimś ogromnym zmięczeniu, leżącą na samym brzegu, zamrzniętym brzegu rzeki choinkę. Czy to były jakieś przywozy drzewa, drewna, nie wiem jakim przypadkiem. Co robić? Oczywiście turlam się do samego brzegu rzeki, po tym śniegu jak bałwan cała i tam z ogromny trudem, tymi rękawicami, skostniałymi rękami odłamuję gałązkę. No ale teraz trzeba się z nią wygrzebać na wierzch. To było niełatwe. Wsunęłam jakoś koniec za pazuchę tego buszlatu i nie wiem jak, wygrzebałam się, wydrapałam na wierzch. Doszłam do wachty. Przeszłam przez wachtę. Wpuszczono mnie. Na szczęście już bez objiska, to zresztą tam już nie robiono objiska. I kiedy stanęłam na progu tego baraku to był krzyk. Wyglądałam zupełnie na bałwana śniegowego. Tylko, że potem radość, bo ta gałązka była. Nie było tam Polek, nie pamiętam żeby ktoś był, może był ktoś z Litwinek, ktoś z Ukrainek. W każdym razie gałązkę oddałam i poszłam się rozbierać, myć bo tam była taka możliwość. Jakies takie miejsce było

gdzie można było się umyć, przebrać, oddać to wszystko swoje do suszarki, do suszylki. I kiedy podeszłam do swojej pościeli, to na szafce przy naszych narach stała ta malusieniczka choineczka w jakimś chyba słoiczku, przybrana odrobiną waty czy gazy i było to prawdziwe święto Bożego Narodzenia. Więcej nie nie pamiętam z tamtych dni.

To zimą już, pewnego wieczoru, nagle, wywołują taką, taką, taką. Odmaszerujecie do innej kołony. Uformowano z nas takiego długiego węża. Weszliśmy, jak się okazało, na zamarzną rzekę. Czy to była ta sama, czy jakaś odnoga węższa, chyba jednak węższa odnoga tej rzeki, ~~zrozumiałam, że to~~ ^{bo wiemy, że szliśmy} potem środkiem tej rzeki. Zrozumiałam, że to prawdopodobnie dlatego, że tutaj nie dałam żadnej korzyści temu naczelnikowi, który mógł sobie wybierać ale nie miał odwagi, a potem nie byłam potrzebna, zresztą, kto wie. Okazało się, że tamto miejsce było znacznie lepsze dokąd ja poszłam. Tylko, że najpierw był ten marsz. Mnie się zdaje, że to było około 30 km czy może troszkę więcej. Tak się mówiło. Szliśmy chyba całą noc. Jechała jakaś furka jakieś sanie, na których troszkę naszego chłamu, jakieś worki, coś kto miał z sobą, leżało. Kogoś tam widocznie sadzano kto był zupełnie słaby. Tylko wiem, że się szło, szło, ileś godzin bez przerwy. Patrzyło się tylko na walonki migające przed oczami u poprzedniego człowieka, u tej więźniarki przed sobą. W jaki sposób przedstawiało się nogi, nie wiem. W każdym razie to już były nie moje nogi, nie moje przedstawianie. I w końcu jednak doszliśmy.

W innym przypadku, kiedy tak szłam z grupką kobiet do innego lazaretu, wtedy nas jeszcze wieziono rzeką, gdzieś tam potem. Ale kiedy szłam wtedy to już jakąś drogą, to tam wiem, że kiedy szłam też już tak nie wiedząc zupełnie, nie czując siebie, to potem już czułam jak padam powoli. Wyciągnęłam się tak, że już wiem jak to się pada powoli. To już było poza, byłam świadoma tego, ale poza moją możliwością zareagowania. To wtedy tam już pasadzono mnie na jakąś przejeżdżającą ciężarówkę i podwieszono do lazaretu.

Tym razem doszłam. Wprowadzono nas na szczęście bez ceregieli przed wachtą do jakiegoś baraku. Tam kobiety wstawały już na padjom do pracy. I wiem tylko, że tam z tym swoim woreczkiem, który każda

miała, usiadłyśmy tak w środku baraku, gdzie kto tylko mógł i skończył się film. Wiem tylko, że już można było siedzieć. Dalej się już nie pamięta z tamtego. I tam się zaczęło już dalsze życie. To była zima, miało się już chyba ku wiosnie dlatego, że pamiętam tam już prace wiosenne. Po pierwsze to była zagubiona w lasach, dokąd się tylko szło po łodzie albo płynęło tam barką latem. Innej drogi nie było. Mała kołonna, lesorubka, tzn. tam był wyręb lasu. Pracowało się na wyrębie lasu. Kobieca kołonna. Były dwa baraki, jeśli się nie mylę. Może jeden dwuczęściowy, duży. Dwupiętrowe były nary, z tym, że były dość obszerne, dość luźne w środku. W tym baraku gdzie ja byłam, przede wszystkim była dniwalna, kobieta, która pilnowała porządku. Była komnata, to się nazywało sanitarna, czy jakoś inaczej się nazywała. W każdym razie była beczka zawsze z wodą i z ciepłą wodą. Były miski, miednice do umycia się, do jakiejś toalety osobistej. Można było coś przeprać, coś wysuszyć. Była zawsze czysta woda do picia na stole w tym baraku. Poza tym kiedy myśmy tam przybyły, czy to było wtedy czy to może już wiosną, robiono pobielkę czyli znowu to bielienie i odpluskwanie. To rządkiem parzyło się wszystkie nary, stawiało się potem te końce nar do jakichś blaszanek z naftą żeby całkowicie umożliwić jakieś rozprzestrzenianie się. W każdym razie była to ogromna akcja zniszczenia pasożytów. Możliwości czystości, umycia się. Poza tym była tam jadalnia, stołowa. To był nieduży budynek, kwadratowy chyba i właśnie tam zostałam przydzielona do takiej, nie brygady, ale była to mała grupka pobiel-szczyków czyli malarzy pokojowych, kobiet. Ponieważ czy powiedziałam czy ktoś powiedział, czy ja się może kiedyś dzieliłam z kimś, że kiedyś trochę interesowałam się malowaniem, no oczywiście nie pokojowym, to tamtemu naczalnemu zostało to jakoś powiedziane. On mnie wezwał do siebie i zapytał czy umiem malować kolorami. Odpowiedziałam, że ja kiedyś po prostu byłam w takim kółku malarskim w swojej szkole. Powiedział żebym pokazała jak się plastycznie kolorem pokazuje głębię. Kolorem albo też linią. Wiedziałam oczywiście, że linia to przecież kładę wciąż mniejszym do środka, ewentualnie kolor, wciąż ciemniejszy do środka danej figury geometrycznej. Powiedział,

że to się zgadza. Wobec tego ja jestem dwienniewoj, czyli kierowniczką tego zwiena czyli grupki tej o czym nie śmiałam powiedzieć tym kobietom. Oczywiście nie mówiłam nigdy, ale właśnie miałam za zadanie wykonywania prac takich już bardziej artystycznych. W tej jadalni trzeba było, według jego zamysłu, zrobić bortiur czyli taki pas na ścianie, niewysoko, ~~biały~~^{cały} z wzorów geometrycznych. Kolory były dwa. Kolor ceglasty i czarny. Kolor czarny z sadzy, ceglasty z tartej cegły. I trzeba było zrobić rozetę wokół lampy wiszącej w środku sufitu. To myśmy wszystko wykonały. Ściany były czystutkie. Stoły zostały wyskrobane szkiełkami do białości, to jest taki rosyjski zwyczaj. Podłoga i drewniane stoły, przedmioty muszą być białusienkie, żółte jak żółtok, jak żółtko jaja. Podłogi były wyskrobane do żółtości, wieszak był na ścianie. Kiedyśmy po pracy przychodziły tam do jadalni, do tej stołowej to się na wieszaku wieszalo wierzchnie ubranie. Jaka różnica między tamtym na dalekiej północy. Zdejmowało się walonki, szło się w skarpetach, kto chciał to i boso. Było zawsze napalone, bardzo ciepło. I tam myśmy normalnie spożywały posiłki. Poza tym jeszcze była kuchnia, to oczywiście przy tej stołowej. W tej kuchni gospodynią była Rosjanka. Taka typowa chyba Sybiraczka. Taka okrągłutka, miła, spokojna, łagodna, przyjemna i była rzeczywiście taką tam matką. I co ona potrafiła? Tam przede wszystkim nie było kradzenia. Ja wiem, że to różnica jest duża między latami poszczególnymi żywienia w łagrach północnych i między obozami kobiecymi i męskimi. Może ze względu na pruydział, może ze względu na zapotrzebowanie organizmu albo ze względu na ilość i możliwość kradzenia. W męskich lazaretach wiem, że to były czasami cienie mężczyzn, które przestawały nawet myśleć. Natomiast kobiety mimo tych wychudzonych ramion i wzdętych brzuchów miały siłę do pracy. Oczywiście mnóstwo marło na gruźlicę i z powodu różnych chorób. Natomiast tam nie było rozkradzania przez wolnych albo i przez przestępcy świat, tamtych racji. Myśmy miały normalne posiłki do tego stopnia, że mąkę, którą się dawało do zaprawiania zup to gospodyni zbierała za cały tydzień, dostawała ilość oleju taką, że mogła nam kwaszoną kapustę zaprawioną olejem dawać, kto tylko chciał sobie wziąć

osobno. A z tej mąki na oleju raz w tygodniu piekła nam placuszki. To takie było tam zupełnie, zupełnie inne życie. Przyjemne warunki, przyjemne stosunki i normalne żywienie.

Praca była jak? Tego kierownika, naczelnika widziałam raz jeden. Malusieńki domek miał gdzie mieszkał. Nie pamiętam już czy myśmy to remontowały czy nie. Wiem tylko, że tam trafiłam najpierw do brygady pracy remontowej a potem do rąbania drzew już przywiezionych. Przy rąbaniu pracowałam z pewną kobietą, akurat Polką, taką chyba z biednego środowiska, może z targówek /z Targówka/, taki specyficzny typ taki troszkę bazarny. Takiej żyłistej, suchowatej ale energicznej, pełnej siły fizycznej, z taką pewną ironią, humorkiem, lubiącą i umiejącą pracować. Z nią byłam wyznaczona co codziennego zaprzęgnięcia konia do sanek czy też może do wozu. Nie pamiętam, to chyba jeszcze zima była, sanki były. Pojechania do lasu gdzie ten lesopowal był, tam naładowanie drzew na zabezpieczenie opałem tej malusieńkiej zony, codziennie. To były dwa baraki, kuchnia, stołowa, baza czyli właściwie jakieś składy, domek naczelnika i domek pracowników umysłowych czyli administracyjnych. Te drwa musiałyśmy przywieźć, wyładować, popiłować we dwie, porąbać i rozwieźć zdaje się do tych budynków. To było codzienne zadanie nasze. Nauczyłam się zaraz zaprzęgać i rozprzęgać konia. Z tego byłam bardzo dumna, zapomniałam już oczywiście. To wszystko myśmy wykonywały. Były tam siły, była dobra atmosfera. Nauczyła się rąbać i miałam siłę w garści, naprawdę bardzo dużą także nie było z tym trudności.

Pamiętam, była już wiosna, więc Wielkanoc. Pamiętam tylko to jedno, że ktoś dostał listy to takiego dnia kiedy był Wielki Piątek. Takie dziwne wrażenie. Dziś, byłyśmy już po pracy, Wielki Piątek. Nie-samowite. Do tego stopnia się wypadło z kalendarza w ogóle. Nie tylko z kalendarza kościelnego ale z kalendarza w ogóle, z liczenia dat. Pamiętam, że w dniu Wielkiej Nocy, to była już wiosna, czyli w niedzielę, to był ten wychodny, wolny dzień. Pamiętam, że spacerowałam koło baraku, chodziłam sobie sama w sukience. A więc wówczas przygrzało bardzo słońce.

Skończyła się tam znowu moja kariera szpitalem bo zaczęłam gorączko-

wać i to poważnie. Jednak płuca. Trafiłam do drugiego lazaretu czyli tuberkuloznowo, gruźliczego.

Jeszcze może p z prac, które pamiętam z północy. Kiedyś w jakimś miejscu, prace też z rzędu budowlanych, ale różnego rodzaju. To też dla mnie było, dla obserwatora, bo jednak takim pozostawałam obserwatora życia, siebie i ludzi, no i przyrody. rodzajów działalności człowieka, możliwości człowieka. To było jeszcze inne. Raz to było wyładowywaniu węgla z tzw. pulmana. Na którejś kołonnicy, nie pamiętam już, na której. To było na ochotnika, kto chce teraz wieczorem, czy może nocą. To było nocą chyba. Sześć czy siedem kobiet było potrzebnych, z tym, że następny dzień, zdaje się, byłoby się już w zonie. To było nawet takie zdarzenie, że akurat wówczas, w tej zonie zatrzymała się z występem swoim, jak już wspominałam, jakaś grupa, też więźniów, tym razem muzykantów. Nawet miałam spotkanie z Węgrem - skrzypkiem. Oczywiście była to niezwykła, bardzo przyjemna chwila i pomyślałam sobie, że zarobię sobie w ten sposób na ten wolny dzień i wieczorem będę mogła niezmęczona pójść na obiecany koncert. To zresztą wówczas miało miejsce. Mimo, że prąd był wyłączony, bo jakaś awaria, ale po ciemku, przy kopciłkach ten koncert był.

No ale to wyładowywanie węgla. To też trzeba było mieć wówczas młodzieńczy, naprawdę, zapał. Nie tylko zapał ale to była chęć do pracy. Chęć do pracy fizycznej, która dotychczas, to jest bardzo ciekawe, bo to były dwa przypadki chętniej, bardzo chętniej, z wielkim zapałem. Jedno to było to wyładowywanie węgla to było szurowanie, z góry zrzucono, do otworów wsypywano, z dołu, z otworu się przerzucało na szyny a z szyn poza szyny. Stamtąd dopiero się zabierało jakimiś ciężarówkami. To było przerzucenie iluś ton węgla przez te kilka kobiet. To dziwne, bardzo ciekawe dla mnie, obserwacja ciekawa, doświadczenie własne, które spotkałam potem w opisie w książce "Oдин dzień Iwana Denisowicza", ta słynna, jedna z pierwszych książek z lagru pisanych przez Rosjanina. Tam to był chyba wiśniak, przez postać wieśniaka autor jego przeżycia, wrażenia opisał. I tam on, przy budowie, przy kładzeniu cegły, miał ten piękny, wspaniały, ludzki, bardzo ludzki zapał, radość pracy. Ja tego dwa razy doświadczyłam.

Czytałam Danisowicza znacznie później, oczywiście. Raz przy wyładowywaniu węgla i drugi raz przy budowni, przy podawaniu cegieł. W innym jakimś miejscu coś budowano, pamiętam tylko, że się po trampach czyli takich drewnianych płaszczynach z małymi poprzeczkami wchodziło, wносиło najpierw całe wiadra rzadkiej gliny. To było smarowanie czerdaka czyli smarowanie podłogi strychu taką rzadką gliną, co miało potem wysychać i dawać izolację cieplną w mieszkaniach. Nie bardzo lekka była praca to wnoszenie i malowanie, ciężar ogromny. Druga praca to było podawanie cegieł. To podawanie cegieł, to tam przeżyłam po raz drugi tę radość pracy fizycznej, i co jest bardzo ciekawe, że dotychczas kiedy patrzę na prace budowlane, właśnie z podawaniem cegieł, to we mnie cały czas dotychczas ożywa. Bardzo chętnie bym teraz pracowała, oczywiście nie w tych latach, nie w tych siłach i nie z tym czasem. Ale to coś co zostało przeżyte i okazuje się w człowieku może coś takiego być, budzić się czy też pozostać obudzonego.

Jeszcze tylko może z tych warunków fizycznych, któreśmy mieli, tak czysto już bytowych. Zimą, kiedy się pracowało na trasie nad nami stał strażnik z wintówką, karabinem. W jaki sposób kobiety załatwiały swoje potrzeby? No to było - sadis gdzie stoisz czyli trzeba było siadać do śniegu, ohnażać się. Tam czasami kobiety ze świata przestępczego robiły specjalnie wystawiając w jego stronę pupę. Czym się można było wytrzeć? No śniegiem i wyszarpywanymi kawałkami waty z tego watowanego ubrania, które się miało. Więc dlatego to ubranie sorok czetwiortowo sroka to było bardzo, bardzo nadwątlone przez to wyszarpywanie waty na potrzeby swoje.

I teraz już chyba /wróć/ do lazaretów. Drugi lazaret to było ogromne miejsce, tragiczne, bardzo, bardzo smutne. Nie wiem ile było tych baraków. Wiem, że jakiś jeden to był ten ostateczny z odkrytą gruźlicą. Kiedy byłam badana przy przyjęciu stwierdzono przez osłuchanie odkrytą. Natomiast okazało się, że to były tylko jeszcze zamknięte ogniska, przy czym jedno było w takim miejscu bardzo niebezpiecznym bo bardzo blisko serca i byłam w tym baraku z zamkniętą gruźlicą, jeszcze bez prątkowania. Były tam męskie baraki. We wszystkich lazaretach stołowanie było najniższego rodzaju, najbiedniejsze. Jasne oczywiście, że komu siły starczyło, witalności organizmu

ten pokonywał chorobę przy tych warunkach. A kto nie, no to widocznie na niego szkoda było wysiłku. Minimalne były też leki. Wtedy jeszcze nie było tych znanych, bardzo silnie oddziałujących. Zresztą zostały wynalezione znacznie później. Tak to mówiono, że właściwie to wszystko są przyszłe umarlaki, że tylko zaorać i bombami zarzucić. Stamtąd też wyszłam, jakim cudem, w jaki sposób, nie wiem. Co tam z tych szczegółów, to już raz mówiłam o tym zakażaniu się mężczyzn. To z tym się spotakałam. Przede wszystkim świat przestępczy tam trafiał. Przy swoich, po pierwsze 300 gramach jednak chleba przy odmowie najczęściej wychodzenia do pracy czy wykonywania pracy przy, może życiu wyniszczającym w ciągłych więzieniach i ciągłych obozach.

W innych lazaretach w ogóle ogólnych było tak: jedna zmora lazaretów to była co pewien czas tak zwana komisowka. Przyjeżdżało paru lekarzy, oczywiście wolnych, którym musiały być przedstawione wszystkie karty balezni, czyli historie choroby. Wówczas błąd strach padał na wszystkich. Szczególnie na tych słabszych, którzy wiedzieli, że nie mają siły do pracy ale, że ich stan według oceny lekarza, niestety nie wybroni przed wypiską, przed wypisaniem na kołonnę. To było jedno, te straszne przeżycia w czasie tych komisówek. W kobiecych szpitalach to było po prostu wazwanie każdej kobiety, nie pamiętam żeby było w inny sposób. Natomiast ta znajoma, która już po obozie przyjęła mnie do siebie, do swego pokoiku, pracowała jak medsestra czyli jako pielęgniarka w paru lazaretach, mówiła, że taka komisowka w męskim lazarecie wyglądała w ten sposób. Wszyscy mężczyźni musieli na korytarzu się przygotować, w długim szeregu, nago. Wchodził kolejny więzień przed oczy lekarzy, jeśli w miejscu pośladków miał jamy był zostawiany. W każdym innym, wypisywany na kołonnę. Teraz druga straszna sytuacja w lazarecie, to lekarz nie wierzył. Lekarz nie wierzył dlatego, że jak się potem przekonałam, po wielu, wielu latach i w świecie wolnym, nie wszystkie stany absolutnego wyczerpania z powodu braku mikroelementów, witamin czy może jakichś innych jeszcze faktów były możliwe do uchwycenia przez tamte dość prymitywne, w każdym razie nieliczne metody badania. To była analiza krwi,

analiza moczu, osłuchanie, rentgen, nie wiem czy był poza szpitalem, nie pamiętam, może był w szpitalu gruźliczym, oczywiście płwociny i wszelkie dydaliny były w laboratorium badane. Przy czym jeśli serce i płuca dawały, przy osłuchaniu, względną normę, a mógł być organizm zrujnowany zupełnie wskutek innych niedoborów, a chory nie miał gorączki, a często gorączka nie występowała przy tych straszliwych, zupełnych osłabieniach organizmu, to lekarz nie wierzył. Lekarze to byli więźniowie ale też był różny stosunek do więźniów. Różne były osobowości. Spotykałam się z bardzo, bardzo życzliwymi lekarzami. Czy to były stosunki raczej w kobiecych szpitalach, czy to były sytuacje kiedy on mógł pozwolić na utrzymywanie, przetrzymanie dłużej chorego, tego nie wiem. Stosunek zawsze spotykałam dobry, życzliwy u lekarzy, osobisty. Jak wyglądało to dla innych ludzi, nie wiem. Wiem tylko, że dla mnie to było koszmarem kiedy uświadomiłam sobie, że nie mam gorączki ewentualnie gorączka jest niska, stan podgorączkowy. Wiedziałam, że stan podgorączkowy może świadczyć o bardzo głęboko ukrytej, bardzo poważnej chorobie. Początku gruźlicy, początku stanów bardzo różnych, mogą to być nowotwory itd. Natomiast to nie była gorączka, która uzasadniała leczenie w szpitalu. Ten strach został na całe życie. Zresztą uzasadniony potem też w innych sytuacjach. Strach właśnie przed tym, że lekarz nie mając dowodów na moją chorobę nie wierzy moim relacjom. Potem to było już z innych powodów, ponieważ lekarze, przecież tam nie orientowali się, to co mówili to była bzdura. Teraz się widzi, że jest inaczej. Niestety tak była. Mnie się zdaje, że pojęcie limit zwolnień jest raczej nie łagierne. Ale może także tam istniało, o tym nie mam pojęcia. W każdym razie mieli tylko jedno, straszny bicz w postaci tych komisówek. Być może /limit zwolnień/ to były ramy tego, by szpitale nie były przeciążone, by jak najwięcej ludzi, więźniów było na trasie. Być może. Oczywiście były sytuacje kiedy lekarz miał tam już swoją żonę, to takie miał inne, inną itd. Były propozycje by nią zostać. Oczywiście była odmowa.

Trzecia zmora to była czystość. Czystość w tym sensie, że jeśli nie można się było wykazać przed komisjami, bo nie tylko to były te ko-

misówki, zdaje się, że były też inne komisje: sanitarne, może jakieś więzienne, obozowe itd. To musiało być wszystko w stanie błyszczącej, lśniącej czystości. Podłogi drewniane i drewnine prycze, jeśli nawet to były łóżka to chyba to wszystko było drewniane, to musiało być wydrapane szkiełkami do koloru żółtka, do białości. I chorzy, którzy nie mieli sił na nic, nawet na spełnienie z tej pryczy byli zmuszani przez innych, ze świata przestępczego albo nawet tych którzy mieli siły, mieli gorączkę, wysoki opad a mieli jeszcze siły. To są różne osobowości, różny stopień witalności, różny stopień reakcji organizmu na dane schorzenie. To była straszna udręka, znęcanie się, zmuszanie i ten strach, że a może znowu spędzą z tego spokojnego już leżenia chociażby tutaj, do tego drapania, do tego znowu poniewierania się dopóki to wszystko nie zostanie doprowadzone do porządku. Inna jeszcze bieda to był chłód. W jednym z tych lazaretów kolejnych, kiedyśmy spały we trzy na takiej podwójnej pryczy, na niej były sienniki napełnione zdaje się słomą, jakiś koc i ten podgołownik czy jakiś worek z sianem czy ze strużkami pod głową. To do tego stopnia myśmy zamarzały, że położyłyśmy się na deski pod te sienniki ze słomą, i tym siennikiem i kocem przykrywałyśmy się. Jednak było troszeczkę cieplej. A wyciągnąć rękę po to żeby wziąć termometr z rana, wymagało to heroicznego aktu wysiłku woli. To była też jedna z tych udręk lazaretowych.

Żywnienie było tam zasadniczo. obszczyje, bezsolewoje i czasami zakaznoje, czyli na zamówienie. Bezsolewoje to znaczy dla chorych z chorobami serca i wątroby, pozbawione soli. A kazakaznoje to było w najcięższych wypadkach. Prawdopodobnie często, może zawsze, ale tego nie wiem, ten człowiek, który już nie jadł w ogóle, zamawiał czy może ktoś zamawiał kto tam był jego sąsiadką i ta sąsiadka już podawała mu sudna czyli te naczynia i wносиła wypróżnienia, pomagała mu się przewracać. Więc ta opiekunkająca się osoba zjadała ten obiad, a ta osoba już nie jadła albo nie jadła prawie nic.

To z tych warunków, obrazków lazaretowych. Były też inne światła i ciekawe. Zależało od miejsca, od naczalstwa. To były takie ogromne skale, ogromne przeciwieństwa. Dwa takie światła, jasne momenty by-

były. Jeden nie pamiętam czy opowiadałam już o Wielkanocy w lazarecie. O stole wielkanocnym na stole operacyjnym.. W każdym razie w jednym z lazaretów gdzie była widocznie bardzo ciepła i dobra atmosfera. W tej sali chorych gdzieśmy leżały zbierałyśmy, ponieważ się zbliżała Wielkanoc, a wyglądało na to, że nie zostaniemy wypisane, zbierałyśmy wszystko. Chleb ten ciemny razowy, bo tam taki był codziennie, te maleńkie pajki suszyłyśmy przy piecu. Zbierałyśmy te maleńkie porcje cukru, które nam dawano i maleńkie porcje margaryny. Przez długi czas byłyśmy tego pozbawione ale to wszystko było magazynowane. Cukier i czarne suchary były rozcierane słoikiem szklanym na desce i z tego się robiło potem tort. To kiedyś przyniosłam ze sobą na północ przepis, gdzieś wyczytany, jeszcze w innych czasach, na tort chlebowy mrożony. Tarte sucharki z razowca, masło i puder cukrowy utartę na krem zmieszany z tym tartym sucharkiem. Robiło się z tego masę, układało w formie tortu, przeładało kremami czy czymś innym, dekorowało i zamrażało. Potem się podawało jako tort mrożony chlebowy. Wtedy tego nie próbowałam nigdy wykonać, bo nie było potrzeby, teraz tam myśl powróciła i to było zupełnie genialne. Mróz za oknem był i te trzy elementy myśmy zdobywały. W ten sposób zrobiłyśmy sobie jakiś torcik. Z reszty jaja, chyba to już opowiadałam, to się potem wykreśli, ktoś dostał w jakiś sposób trochę mąki, zrobiło się trochę ciasta. Chciało się upiec w piecu w trupiarni. Ten piec, okazało się - nie zamykał się komin, więc ciasto osiadło. Zrobiło się z tego, wobec tego, jeszcze jeden tort. I ponieważ Wielkanoc wypadła w niedzielę, a więc był dzień wychadnoj, wolny, nie było lekarzy. A widocznie pielęgniarka czy też ta inna obsługa była z nami, to znaczy po naszej stronie. W takiej maleńkiej, bo tam była taka sala operacyjna, bo to przypuszczam była ropna chirurgia, a może i czysta, już tego nie wiem, na stole operacyjnym, jedno z prześcieradeł posłużyło nam za obrus i tam miałyśmy wspomniały stół wielkanocny i miałyśmy taki wielki pirczyli wielką ucztę. I nie wiem w jakim lazarecie innym, inny był moment, też taki światły. Wtedy to była zima. Zbliżał się Nowy Rok. W tej sali szpitalnej były osoby takie właśnie łagodne, jakoś zgra-

ne. Jedna z nich to była Estonka, bardzo otyła ciocia Ina, która potem w strasznych mękach zmarła od nowotworu narządów kobiecych, ale wtedy jeszcze leżała jako chora i jeszcze ileś tam chorych. Kto był organizatorem już nie pamiętam, zdaje się, że ja i ktoś jeszcze. Ktoś jeden napisał malusieńkie wierszyki dla każdego z obecnych, ktoś podał inicjatywę żeby zebrać prezenty, niespodzianki, to było: agrafka, pamiętam od cioci Iny, malusieńki ogryzek ołówka od kogoś, guzik od kogoś. Tego rozmiaru były właśnie te prezenty. Skądś ktoś dostał czy w paczce czy z opakowania czy skądś malusienieczkie kawałeczki papieru i na nich ~~wywy~~ powypisywał na każdej karteczce, każdy z tych malusieńkich wierszyków z dodaniem malusieńkiego jakiegoś elementu noworocznego. I wówczas najważniejszy, czy może najbardziej taki teatralny element tego no to ded maroz, czyli nasz święty Mikilaj, tam dziad mróz. Zrobiłam z siebie dziada mroza. Dwie poduszki na brzuch, na plecy ktoś z obsługi pożyczył kożuch do ziemi, e sznurkiem się przepasało, walonki od obsługi, dostałyśmy z czegoś watę, to się z tego zrobiło ogromną brodę i wąsy. Czapkę uszankę też od kogoś z obsługi. Jedna z obsługi w koszułce białej też w czymś jeszcze białym na sobie była nie aniołkiem tylko śnieżynką i roznosiła te prezenciki. A dziad maroz chodził do każdej, w kolejności, sali chorych. Wrażenie było niesamowite. Byłam z ogromnym kosturem, stukałam na korytarzu, wchodziłam z gromkim, tułalnym głosem, życzeniami, pozdrowieniami, żartami. Ta śnieżynka wszędzie tam składała życzenia a w naszej sali chorych rozdawane były te malusieńkie prezenciki. To była taka bardzo, bardzo jasna chwila, jasne godziny w tamtym życiu. W tych lazaretach, nie wiem jak było w męskich, w męskich to chyba było jeszcze znacznie gorzej ze względu na to, że mężczyźni ze świata przestępczego to były przede wszystkim typy ogromnie brutalne. Więc zabieranie, odbieranie, krzywdzenie, straszenie, znęcanie się, to wszystko w dużym stopniu pogarszało sytuację mężczyzn, politycznych więźniów w łagrach i w lazaretach. Z opowiadań się wiedziało, że na kółkach męskich kucharzem musiał być człowiek nie tyle heroiczny co niemal zwierzęcej odwagi i oczywiście jak się tam słowami nazywało specjalnymi, nieznanymi lęku bo inaczej on by

kucharzem tam nie mógł być. A wobec tego musiał być absolutnie odja-
bleny, otczajeny. tzn. nie znający granic w ostrości, brutalności
zachowań. Jeden^z przykładów to jest przykry nawet w wypowiedzeniu.
Kiedy przyszedli błatnyje z jakiegoś baraku na kuchnię, żądając, z no-
żami oczywiście, od kucharza żeby dał im to i to. Kucharz jako o-
bronę miał, może to zresztą wyczytałam gdzieś potem, ale to w tam-
tych warunkach też tak było, tylko rozpalonym tłuszczem z patelni
mógł chlusnąć im w oczy. Takie były realia. To były te straszliwe
rzeczy. Wiem też z opowiadań już tam na północy, już potem kiedy
mieszkałam wolna, jeden z byłych kucharzy, też pracujący jako ku-
charz ale gdzieś, wracał codziennie tą drogą, którą ja chodziłam,
zresztą, przez takie duże, puste zupełnie miejsca, do domu w Pieczo-
rze gdzie mieszkał. Miał ze sobą za pazuchą odważniki, jeden czy
dwa, ciężkie odważniki. I miał taką przygodę. Ci przestępcy, już na
swobodzie, którzy go tam przypilnowali, chcieli się zemścić na nim.
Z nożem czy z nożami chyba ze czterech się rzuciło na niego. To by-
ło w nocy oczywiście, bo we dnie raczej by nie śmieli. On się za-
machnął, uderzył odważnikiem jednego w pierś. To była straszna rzecz
bo to jak się mawiało, do końca życia plucie krwią jeżeli nie śmierć
w mękach gruźliczych. To wystarczyło żeby czuli mores przed człowie-
kiem, żeby więcej go nie napastowali. To takie to prawo nie tyle
dżungli co prawo północy, łagrów. To było to samo prawo kiedyś na
tych pryłiskach, czy w kopalniach złota w innych miejscach na kuli
ziemskiej. Te sama prawa.

Charakterystyczne dla życia więźnia było to, że kiedy nagle po pra-
cy, najczęściej oczywiście fizycznej, gdzieś tam na trasie znalazł
się w lazarecie, przede wszystkim to było marzenie, marzenie wielu
dni, w wielu najstraszniejszych sytuacjach, leżeć na tej pryzy, na
tym sienniku słomianym czy pod tym kocem ale leżeć żeby ciebie nikt
nie ruszał i żebyś nie musiał iść. Żebyś nie musiał, nie musiał, nie
musiał czegoś robić. I kiedy człowiek wreszcie trafiał do lazaretu
często spał kilka dób pod rząd, Ja spałam dwie albo dwie i pół doby
bez przerwy. I stąd się dowiedziałam, że tak samo i wielu innych.
Człowiek się tylko budził może raz na dobę za swoją potrzebą, zasy-

piał natychmiast, padał. I kiedy się obudziłem tak, że już nie miałam poczucia, że jestem senna, to nie widziałam gdzie się znajduję. To się ~~szczęście~~ ^{rzadko} w ogóle w życiu zdarzało, takie wyłączenie, częściowe wyłączenie świadomości. Trzeba było dłuższych chwil czy może nawet minut żeby zaczęło wracać uświadomienie gdzie w ogóle ja jestem. To było też bardzo ciekawe dla mnie, dla samoobserwacji. I taki jeden z lazaretów był ostatnim miejscem mego pobytu w łagrze.

Miałam 14, jak potem naliczyłam, zabiegów chirurgicznych ale takiej lekkiej chirurgii. To były ropniaki pod pachami, to były tzw. podsadki od astmy brionchialnej czyli wycinki, w każdym razie wsadzane pod rozciętą skórę, spinane potem klamerkami. To były też takie bardzo dziwne wlewania pewnej substancji gdzieś tam w jakąś zatokę szyjną, też od astmy brionchialnej. To były też operacje głębokiego ropniaka po nieczystym zastrzyku. I ostatni zabieg to był już appendix tzn. usunięcie wyrostka robaczkowego.

Takie może wspomnienie. Wiem, co się odczuwa kiedy człowiek jest krajany na żywo. Chociaż to było nieduże ale kiedy miałam jeden z tych ropniaków pod pachą, nie było środka znieczulającego. Zgodziłam się na to żeby mnie cięto bez znieczulenia. To było może 5 - 7 cm, już nie pamiętam, może trochę mniej. Można było wytrzymać ten ból ale to jest bardzo, bardzo nieprzyjemne uczucie. Pomyślałam sobie, że teraz od razu, następnego dnia, na drugie takie doświadczenie już by mi chyba nie wystarczyło odwagi.

Miałam tam jeszcze możliwość, o lazaretach mówiąc, zobaczyć na własne oczy operację. Przy tym nawet niejedną. W tym ostatnim lazarecie, w którym byłam, tam zdaje się miałam tę operację wyrostka robaczkowego. To było pod miejscowym znieczuleniem i potem nawet, póki leżałam jeszcze na stole operacyjnym pokazał mi chirurg jak on wyglądał, już wycięty. Rzeczywiście przekrwiony, jakiś długi, cienki, śmieszny, już był nasączony ropą, więc już najwyższy czas. Ale jednocześnie, chyba już potem kiedy mi się poprawiło, poprosiłam go czy bym nie mogła widzieć ^{tego}, czy bym nie mogła być obecna na jakiegokolwiek operacji. Ta straszna chęć widzieć, obserwować, poznawać wciąż coś nowego co dotyczy człowieka, co jest mu potrzebne. Zgodziłam się. Z radości podskoczyłam strasznie wysoko w swojej sali szpitalnej

nej. Nadszedł dla mnie taki, bardzo ważny dzień. Dano mi ten białyj chałat, biały fartuch i mogłam oglądać. Oglądałam parę operacji. W każdym razie dwie drobne i tego samego dnia, na tej samej sali, trzecią, wewnętrzną, też pod miejscowym znieczuleniem ale z rozcięciem brzucha. To mam już, powiedzmy, zaliczone, bardzo się z tego cieszę.

Na tym ostatnim lazarecie kończyło się moje 8 lat, miałam 8 lat istroitielno trudowych łagieriej za przestępstwo według § 58 1 A 11 i piat let parażenija w prawach. Dwa miesiące miałam już, zapomniałam jak to się nazywa, zapracowane minus, czyli o dwa miesiące wcześniej mogłam, miałam być zwolniona. Aresztowana byłam 26 lipca, to miało być 26 maja, miałam być zwolniona. Jak to się mówi w łagrze, s gorki bystreje bieżył srok, to znaczy kiedy się do połowy jeszcze zbliża, ta pierwsza połowa się strasznie długo, bez końca ciągnie. Pierewalit za połowinu, kiedy się już przez tę górkę przejdzie, wtedy idzie szybciej.

To takie przy tym zakończeniu łagru, to było ciekawe też, bo się zdawało na początku, że to było nie do wyobrażenia, nie do przyjęcia. Znaczący nie do rozumowego jakiegoś przyjęcia, że to możliwe jest żeby się osiem lat odsiedziało. Nie. To wszystko było gdzieś w sferze absolutnie surrealistycznej, to oczywiście nam dali ale zaraz wszystko się zmieni i będziemy znowu w ojczyźnie.

Czemuś te lata płynęły, płynęły i nagle, właściwie nie nagle ale w którymś momencie się uświadomiło sobie, że zbliża się wyjście. Dokąd wyjście?. Nie było dokąd, dlatego, że nie było kontaktu z rodziną. Po tamtym liście z wezwaniem jako członka rodziny, rzekomego członka, na wyjazd do Polski poza obecną granicę, która nie miała żadnych szans na realizację, miałam jeszcze parę razy listy od swego Franusia i odpisywałam też, co dla niego też było bardzo cenne. I potem już na zupełnie innej kolonnie, chyba kiedy byłam w CPK, nagle wzywają mnie, pieredacza dla tebjja, może inaczej, w każdym razie paczka. Zdumienie bezgraniczne, kto mógł paczkę mi przedać?, kto zna mój nowy adres? przecież do nikogo nie pisałam stąd. Nie wiem w jaki sposób on się dowiedział, wywiedział, to na zawsze zos-

tanie tajemnicą, bo on już nie żyje. Rzeczywiście miałam paczkę. Ja Jak on już wiedział co jest potrzebne więźniom. Trochę słoniny, trochę cukru, trochę kopert i chyba trochę mąki, już tego nie pamiętam. Wtedy to była wielka radość z kim tam mogłam się podzielić troszkę. Potem będąc na innej kałannie od kogoś usłyszałam, że na jeszcze innej zupełnie, dla mnie była paczka. Tam mnie już nie znalazła. Na tym się skończyły w ogóle wszelkie, jakiegokolwiek kontakty z innym, z tym światem mojej ojczyzny. Teraz kiedy mam wyjść, dokąd mam iść? Próbowałam posyłać przez jedną czy dwie osoby, które odjeżdżały z północy już na wolność. Jeden to był lekarz, który miał jechać do Polski czy miał już te możliwości, czy rodzinę czy wezwanie. Nie wiem. Prawdopodobnie nie znalazł tam mojego ojca. Zresztą nie mógł znaleźć, w czasie kiedy byłam na północy musiał zmienić miejsce pobytu. Wciąż czekał na mnie, wciąż i wciąż, mając nadzieję, że wrócę. Kiedy się dowiedział od kogoś ze znajomych, życzliwych sąsiadów, że mają po niego przyjechać, aresztować go za córkę z AK. Jednego dnia spakował trochę uli, odrobinę dobytku na jakąś furkę i pojechał z bratem do miejsca za granicą tej Polski obecnej.

Żadnego adresu, żadnego kontaktu, żadnych więzi z jakąkolwiek rodziną. Dokąd mam wracać, dokąd mam jechać?

Kiedy zostałam już tam wezwana z rzeczami, miałam wtedy drewnianą walizeczkę. Nie pamiętam zupełnie, mnóstwo ludzi, mnóstwo tych dobrych, wszystkich życzliwych sytuacji, stosunków. Ktoś mi bardzo życzliwy tę walizeczkę zrobił czy podarował. Innej w ogóle wówczas nie było tam możliwości dla takich jak ja. Może ktoś inny miał jeszcze. Coś tam miałam z bielizny czy ubrania. Miałam taką poduszczeczkę uszytą kiedyś z tych materiałów, z których myśmy tam rękawice kiedyś w CPK szyły. Malusienką, owalną z takich kawałeczków zszytą i w tej poduszczeczce przewoziłam nawet listy, które otrzymałam chyba od tego mego znajomego jeszcze z Pieczory. Może te listy od Franusia też. W każdym razie w jakimś momencie już to wszystko zniszczyłam, wiedząc, że tak czy inaczej wpadnie to w ręce ochranników i zostanie zniszczone przez nich. I tak te parę przedmiotów miałam w tej swojej walizeczce, i miała się stawić tam na wachcie, chyba wach

cie. Powiedziano mi, że dostanę ochrannika, żołnierza, z którym pojedę do Pieczory. I tam w tym miejscu oficjalnym, administracyjnym otrzymam dokumenty jako człowiek wolny. Jechałam po tych ośmiu latach po raz pierwszy. Nie pamiętam wagonu, nie pamiętam otoczenia. Wiem tylko, że on jechał razem ze mną. Tam pamiętam budynek, w którym znajdowała się milicja, czyli ten urząd tez, tzw. miejski czy urząd być może paszportowy. Tam właśnie, kiedy milicjant wprowadził mnie do pokoju, siedział urzędnik, przyniósł prawdopodobnie tę moją kartę, dokument obozowy. Urzędnik przeczytał moje nazwisko, jeszcze sprawdził, zapytał mnie i powiedział: proszę poczekać. Żołnierza już odprawił, pozwolił mu odejść. Siedzę sama. Czekam. Wrca ten urzędnik z jakimś niewysokim, drobnym człowiekiem, który się do mnie zwraca: ja mam się wami Janina Ignatjewna zaopiekować. Zdumienie, sytuacja bajkowa, człowiek nieznany w pierwszej godzinie mojej wolności w Pieczorze. Urzędnik załatwia sprawy, tzn, coś zapisuje, coś wypisuje, każe mi się, chyba następnego dnia, zjawić po dowód osobisty, tam nazywa się to pasport. I wówczas z tym nowym znajomym wychodzę w świat. W świat wolny, w Pieczorę. On mi mówi, że jest znajomym Polki, takiej to właśnie. Rzeczywiście, przypominam sobie. W jednym z lazaretów leżała też chora Polka. Piękna, okazałej postury, taki typ szlachcianki z dawnych czasów. Była psychicznie jak-koś już zrezygnowana z życia i miała tylko jedną chęć, żeby skończyć samobójstwem. Myślała tylko o tym jak to zrobić. Pamiętam, że długie godziny myśmy spacerowały po korytarzu tego lazaretu i tłumaczyłam, opowiadałam mnóstwo rzeczy ze sfery nauki, odkryć, myślenia, filozofii, religii itd. Prawdopodobnie jakoś to podziało, zostawiłam ją w lepszym stanie psychicznym. Okazuje się, takie są dziwne dalsze losy. Ona wyszła już na wolność, przede mną, wcześniej. Tutaj z tym człowiekiem się poznała. On też po obozie ale już pracował tutaj jako naczelnik, kierownik jakiejś bazy drewna czy bazy przeładunku. Ona jego poprosiła, wiedziała kiedy mam wyjść z łagru, żeby się mną zaopiekował. To było takie zupełnie nieoczekiwane wyłdowanie, powiedziałabym miękkie lądowanie było w tej pierwszej sytuacji bez domu, bez rodziny, bez nikogo, w kałanni dwara,

tak się mówiło, ani gwośza przy duszy. I jest już ktoś. Najpierw, wiedziałam gdzie mam załatwić jakieś sprawy meldunkowe, i inne, ale jeszcze jeden też ciekawy moment. Kiedy mi zostawał rok do ukończenia ośmiu lat w jednym z lazaretów kolejnych, zetknęłam się z okulistą, Rosjaninem, który kiedyś jako okulista odwiedzał Klinikę NIB, kiedy tam leżałam jako chora. Nie było żadnych stosunków znajomości między nami, po prostu on nazwisko moje tam wtedy poznał jako lekarz. Miałam przecież to zapalenie spojówek, miałam różne historie, które on konsultował kiedyś. Po iluś, po wielu latach w zupełnie innym miejscu, kiedy spotkał mnie w innym lazarecie, wiedział, pamiętał. Nie wiem zupełnie w jaki sposób to wszystko się odbywało, że został mi rok. Może zresztą zapytał mnie, nie pamiętam. I powiedział, za rok będziesz w Pieczorze. W Pieczorze ja mam domek z ogródkiem, z żoną mieszkam. Kiedy tylko załatwisz swoje dokumenty przychodź do mnie. Pomieszkasz ile tylko ci będzie trzeba, dopóki nie rozejrzysz się w sytuacji, dopóki nie znajdziesz sobie czy miejsca pracy czy też będziesz mogła wyjechać na rodzinu, do ojczyzny. Nazwisko jego znałam, adresu tam żadnego bo wprawdzie były numery ale tego wtedy jeszcze nie pamiętałam. Powiedziałam nowemu znajomemu otakiej propozycji, on mnie tam zaprowadził. Okazuje się że właśnie na terenie byłej Kliniki NIB, bardzo blisko. To był nowy szpital oczywiście, tam niedaleko były te domki, w jednym mieszkała ta rodzina, tak się okazało. Ponieważ to był maj, koniec maja tak sobie wyliczyłam, w każdym razie była pora ciepła. W tym domku nie znalazłam lekarza z żoną. Natomiast znalazłam dość młodą kobietę, która, jak powiedziała, opiekuje się jego mieszkaniem, to już tak nie pierwszy rok. Kiedy oni wyjeżdżają, on z żoną na dwumiesięczny chyba urlop, na południe. Wówczas tę panią angażują. Też poznali ją ^{gdzieś} w łagrze, prawdopodobnie. Ona zresztą też była po 10 latach łagru, Niemka z Krymu. Ją tam zostawiają na gospodarstwie. Ona pilnuje domu, karmi psa i kota i korzysta ze wszystkich produktów, których mają bardzo duży i dobry zapas. Przed ich przyjazdem robi generalne sprzątanie, przygotowuje coś do zjedzenia i w ten sposób ona sobie zarabia trochę pieniędzy, płacą jej za to i to utrzymanie a więc swoją tę bardzo mizerniutką zapłatę sobie zaoszczędza, bo

sama ma bardzo, bardzo trudne warunki. Jako była więźniarka polityczna nie może pracować oficjalnie jako pielęgniarka. Pracując jako pielęgniarka ponieważ ma ten zawód, była zanotowana i otrzymywała zapłatę jako czy sprzątaczką czy jakąś odźwierną. W każdym razie to były takie tam porządki, czego potem sama doświadczyłam. I tak ona z otwartymi ramionami mnie przyjęła. Była ode mnie starsza chyba o 15 lat. Była bez rodziny zupełnie. Jej ojciec był propowiadnikiem czyli kapłanem w sekcji menonitów, no powiedzmy w kościele menonitów. Tam nie było eucharystii tylko było kazanie czyli propowiadanie i nabożeństwo, śpiewanie pieśni, hymnów, modlitw. On został aresztowany już po raz drugi. Do łagru trafił, już nie wrócił. Matka jej zmarła a brat jedyny też został aresztowany i też więcej go nie zobaczyła. Miała po 10 latach też to porażenie w prawach, tylko tyle, że nie miała dokąd wyjeżdżać i tam właśnie została. Zamieszkała w malusieńkiej komóreczce, w jednym z takich baraków, w tym baraku, w którym kiedyś była klinika NIB w swoim pierwotnym pomieszczeniu i budynku. I ten lekarz, który się przypadkiem zetknął z nią w obozie zaproponował jej taki sposób dorabiania. Przyjęła mnie z otwartymi ramionami ponieważ powiedziałam jej, że ten lekarz proponował mi zatrzymać się u niego. Jednocześnie ten nowy znajomy pomógł mi, po prostu towarzyszył mi kilka razy do miasta. Początek formalności był taki. Nie mogłam zostać zameldowana dopóki nie miałam dokumentu z miejsca pracy. Nie mogłam zostać przyjęta na miejsce pracy dopóki nie miałam meldunku. Oczywiście następnego dnia kiedy się stawiłam po pasport, po dowód osobisty, otrzymałam go. Wzięłam go do ręki i wtedy sprawdziłam, nie pamiętam wtedy czy w następnych dniach, zawartość jego. Mówiono mi, że tam jest taki znaczek specjalny, mówiący o przeszłości politycznej, nie wiem to chyba coś w numerze kolejnym się mieściło. Może w jakiejś literze przy numerze. Tam było: narodowość polska, obywatelstwo radzieckie. Było to dla mnie uderzenie straszne a jednocześnie otrzymałam go do ręki i nie miałam żadnej możliwości zmiany tego. Zresztą wytłumaczono mi bardzo prosto, aresztowano mnie na terenie Związku Radzieckiego, tj. aresztowano mnie w lipcu, kiedy w maju

już wojna się skończyła i Wileńszczyzna już należała, nie wiem na jakich tam zasadach, to już wiedzą historycy do Związku Radzieckiego. Teraz to już wiem oczywiście na jakich zasadach.

Teraz praca. Na szczęście tam właśnie, na terenie byłej Kliniki NIB gdzie wylądowałam po przyjeździe na północ niektórzy pracownicy byłego NIB-u zostali. Wiem tylko o jednym, mianowicie o botaniku. Właśnie botanik, który był w NIB-ie pracownikiem, leningradczyk, został już po wyjściu na wolność i tam hodował, rozwijał tę hodowlę warzyw i kwiatów, która była zapoczątkowana w czasie istnienia Kliniki NIB i ponieważ tam miałam z nim kontakt, ktoś mnie z nim skontaktował. Dzięki temu, że się zetknęłam tam od razu z botanikiem, zresztą znajomym z NIB-u, znalazło się dla mnie miejsce pracy. W centrum miasta Pieczora, a był tam już klub, ładny, zresztą mam fotografię, znajdował się kiosk, który miał być kioskiem kwiatowym. Obok był spory sklep, coś w rodzaju uniwersum przy głównej, jedynej w tej części miasta ulicy. Ten kiosk to było coś zupełnie nowego, próba sprzedawania kwiatów. Trochę było ciętych, trochę było w doniczkach. W takim mieście jak Pieczora kwiaty w kiosku, do sprzedaży, jeszcze tego w ogóle tam widziano. Nie wiadomo czy zechce ludność, mieszkańcy, wydawać na to pieniądze. To była taka próba, trochę ryzyko i do tego akurat potrzebny był człowiek. Żadnych do tego nie było potrzeba umiejętności a policzyć tamte eda odrobinę pieniędzy no to bym potrafiła. Wóz zaprzęgnięty w konia zawiózł jednego z tych pierwszych dni caluteńki ładunek. Co tam było? W doniczkach były palmy. Znowóż ciekawostka. Malusienkie, podobno ten sam gatunek nad Nilem rośnie, ozdobne, rzeczywiście dekoracyjne, cienka łodyga i taki leciutki, równo rozłożony pionowo piórppusz listków. Jakies były jeszcze rośliny i trochę było kwiatów ciętych. Otwarte okienko... i czy będą kupujący? Zainteresowanie przeszło wszelkie oczekiwania. Kolejki się ustawiały. Wykupowano codziennie bardzo dużą część tego co zostało przywiezione. A więc radość, przyjemność, bardzo przyjemna praca, ciągle z ludźmi, ciągle wśród roślin, wśród kwiatów. To był początek lata, było ciepło. Po deszczach były straszne kałuże, trzeba było kłaść jakies

deski żeby można było podejść do kiosku. I to była ta nowa, piękna rzecz w tym miejscu.

Ale teraz jeśli chodzi o dokumenty. Musiałam otrzymać zameldowanie no gdzie? chyba w tym domku, do którego mnie przyjęto, w mieszkaniu tego lekarza, bo zdaje się, że nie było innej możliwości, ale już nie pamiętam w tej chwili. I musiałam otrzymać dokument o przyjęciu do pracy. Jak to pogodzić? Na szczęście w jednym budynku, tym właśnie urzędowym, administracyjnym, gdzie były okienka naprzeciwko siebie, jedno do meldunków, drugie do wydawania świadectw pracy, dosłownie, to nie jest fantazja i to nie jest bajka. W jednym okienku musiałam powiedzieć, że właśnie otrzymuję meldunek a w tym drugim, że w tym pierwszym wydają mi dokument o przyjęciu do pracy. W ten sposób napisane zostały oba. Pokazałam dowód osobisty tam i tam i miałam spokój z dokumentami.

Nigdy nie słyszałam, nie wiem jak inni sobie radzili z tym jednym z paradoksów.

Też taka ciekawa obserwacja, że niemożliwe jest możliwe.

Dalej życie płynęło już w tym mieście, w tych realiach. To było życie w mieście północnym, bez żadnego kontaktu z ojczyzną, z rodziną, z życiem religijnym, bez jakiegokolwiek wiedzy o tym co się dzieje z ojcem i z bratem, w nową osobą, w nowych warunkach. To co przynosiło to życie, to właśnie tak się układało.

Jednocześnie tu jeszcze może przypomnienie, że próbowałam jeszcze w paru miejscach otrzymać pracę. To chyba, czy było ostatnim, czy też może po dwóch miesiącach letniego funkcjonowania kiosku, może potem były te próby poszukiwania pracy. Tego już nie pamiętam. W każdym razie też ciekawe obserwacje.

Myślałam o tym, to chyba raczej po zamknięciu kiosku z powodu już nadchodzącej zimy, żeby wstąpić do jakiegoś zespołu, może tanecznego, no bo czułam, że trochę mam siłę. Byłam zresztą jeszcze młoda, dość młoda. Był tam zespół teatralny, bardzo ciekawy, ponieważ do takich miejsc, takich oaz ratujących ludzi na północy trafiali zwykle nieprzeciętni ludzie, bardzo różni. W tym przypadku do tego teatru chyba właśnie w Pieczorze czy wędrownego czy stałego, trafiłam, z własnym projektem, że może potrzebny jest ktoś, nawet nie

chodziło mi o taniec. Chodziło mi o prace plastyczne, o prace dekoracyjne, tak mi się to w tej chwili przypomina. Dekorator nie był potrzebny. Już go mieli. Natomiast zapytano mnie czy bym nie zechciała, bo teraz w czasie opowiadania pamięć mi to wyciąga, w zespole tanecznym występować. Powiedziałam, że nie, tańczyć nie umiem ale popróbować mogę. I miałam też takie ciekawe doświadczenie. Mistrzem czy też nauczycielem tańca, kierownikiem tego zespołu tanecznego, okazało się, był tancerz, nawet balletmeister, tak się to nazywało kiedyś, jakiegoś dużego teatru baletowego. I z nim na scenie odbyłam próbę różnych ruchów, różnych pas, różnych kroków. Lekkość jego była cudowna oczywiście. Ja byłam ciężka w porównaniu z nim. Ta próba niczym się nie skończyła. Niestety nie pasowałam tam. Czy z tego powodu powiedziano mi, że coś innego jest, że żona dyrektora teatru jest bardzo zazdrosna i młode osoby żeńskiej płci nie są przyjmowane albo też są przyjmowane z dużymi szykanami. Tak czy inaczej ale to mi nie wyszło. Dalszy ciąg to już były prace różne.